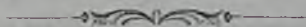


BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM, PRZEMYSŁOWI I SPRAWOM SPOŁECZNYM.



ROK PIĘCDZIESIĄTY.

SERYA V.

WRZESIEŃ.

1890.

TOM 3.—ZESZYT 3.

W A R S Z A W A.

Adres Redakcyi: NOWY-ŚWIAT Nr. 41.

1890.

T R E Ś Ć.

strona

I. Niemcy i Anglia w Afryce wschodniej. (Znaczenie traktatu niemiecko-angielskiego z dn. 1-go lipca r. b. Przez Eugeniusza Lipnickiego.	329
II. Pessimizm w Niemczech. Przez Wojciecha hr. Dzieduszyckiego.	359
III. Zniesienie propinacyi w Galicyi (c. d.) Nap. Stanisław Starzyński.	370
IV. Spuścizna literacko-pedagogiczna Stanisława Jachowicza. (dok.) Przez Floryana Łagowskiego.	392
V. Elewatory i warranty, ich znaczenie handlowe.	405
VI. Brzydka dziewczyna. Powieść. Przez Zygmunta Grabowskiego.	421

VII. PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO.

Wydawnictwo Gebethnera i Wolffa: 1) Jak się uczyć i jak uczyć innych. Napisał Dygasiński. Warsz. 1889 str. 239. 2) Jak mówić po polsku? Gramatyka popularna. Napisał A. G. Bem. Warsz. 1889. Str. XI + 342. Errata II. Spis rzeczy IV. 3) Jak pisać po polsku czyli Stylistyka języka polskiego. Napisał Władysław Korotyński. Warsz. 1889 str. IV, 213. Przez L. W. Szczerbowicza.	441
Marya Rodziewiczówna. Ona. Warszawa 1890. Przez Kazimierza Kaszewskiego.	454
Die Begründung des deutschen Reichs durch Wilhelm I. Vornehmlich nach den preussischen Staatsacten von Heinrich von Sybel. München und Leipzig 1890. Bd. I—IV. Przez Zygmunta Lisiewicza.	462
Władysław Łoziński. Lwów starożytny. II. Patrycyat i mieszczaństwo lwowskie w XVI i XVII wieku. Z 73 rycinami w tekście. Lwów 1890. Przez Ernesta Deichesa.	470

VIII. Kronika miesięczna. — Rzut oka na stosunki międzynarodowe państw europejskich. — Przemówienie Waddingtana. Sprawy wewnętrzne w Austro-Węgrzech, we Włoszech, Niemczech i Francyi. — Bułgaria i Armenia. — Projekt inspekcji zbożowej w cesarstwie rosyjskiem. — Wnioski t. zw. komisji rolniczej Senatora Płowego, przy ministerstwie spraw wewnętrznych w kwestyi przesilenia rolniczego. — Z dziedziny naukowej: Posiedzenie Wydziału historyczno-filozoficznego Akad. Um. w Krakowie dn. 20 czerwca 1890 (Stanisław Krzyżanowski „Dyplomy i kancelarya Przemysława II-o; A. Blumenstock „O nieznanym Zbiorze kanonów w Bibl. Geneviève w Paryżu“) „Krajowa komisya statystyczna“ w „Wydziale krajowym“ w Galicyi. — Dobroczynność: „Schronienie Galignaniego pod Pary-

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 199.

**BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.**

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM, PRZEMYSŁOWI I SPRAWOM SPOŁECZNYM.

1890.

Tom trzeci.

W A R S Z A W A .

Adres Redakcyi: NOWY-ŚWIAT Nr. 41.

—
1890.



De. II. 1.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 23 Августа 1890 г.

Niemcy i Anglia w Afryce wschodniej.

(Znaczenie traktatu niemiecko-angielskiego z 1-go lipca r. b.)

Przez

Eugeniusza Lipnickiego.

I.

Aby słusznie ocenić najnowszy traktat, zawarty pomiędzy Anglią a Niemcami, a będący uzupełnieniem uchwał konferencji londyńskiej z października r. 1886-go, musimy się przedewszystkiem wyzwolić z pod wszelkiego wpływu tendencyjnych wywodów prasy opozycyjnej zarówno angielskiej, jak niemieckiej. Porównując ze sobą te wywody, widzimy, że według zapewnień opozycji angielskiej, traktat stanowi istną klęskę dla Anglii, gdy według dowodzeń pewnej części prasy niemieckiej, kanclerz Caprivi poświęcił „najżywniejsze interesa Niemiec“. Nie tak gwałtownie, ale zawsze jeszcze nadto stanowczo wypowiadają byli ministrowie niezadowolone z rzekomych błędów ministrów w urzędzie. Ks. Bismarck, który widocznie wierzy w aforyzm Pascala: „Lesilence est la plus grande persecution“, nie czekając na wyrok dziejów, ciągle teraz mówi: w pierwszych dniach lipca, wobec korespondenta pewnego dziennika frankfurckiego, oświadczył:

„Nie byłbym traktatu zawarł w ten sposób. Jeżeli mieliśmy koniecznie osiąść Helgolandą (pragnął tego cesarz), to, zdaniem mojem, mogliśmy tę wysepkę otrzymać taniiej. W razie wojny mogłaby się nam stać nawet niebezpieczną, gdyby nie została silnie obwarowaną. W r. 1870 Helgolandya była neutralną. W przyszłej wojnie, opanowana przez Francuzów, mogłaby stać się groźną przeciwno nam pozycją. Wysepka ta będzie więc wymagać bardzo znacznych sum na ubezpieczenie“. Podobnie w izbie panów angielskiej 10 lipca były minister spraw wewnętrznych (w gabinecie Gladstonea), lord Rosebery, dowodził, „że on nie byłby zawarł traktatu na tych podstawach, które przyjął lord Salisbury, nie byłby uczynił tak wielkich ustępstw“. Natomiast zwykle niesłuchanie zaścięty Gladstone, gdy 24 lipca „Pile Helgoland“ stanęła na porządku

dziennym obrad izby gmin, oświadczył, że traktat jest korzystny dla wszystkich stron i tylko oskarżał rząd, że wytaczając sprawę przed izbę poselską, narusza przywileje korony. Argument zaiste dziwny w ustach przywódcy whigów!

Kto zatem przystąpi do ocenienia traktatu w duchu tendencyjnym, temu łatwo przyjdzie powołać się na wywody ks. Bismarcka i pewnej części prasy niemieckiej, aby dowodzić, że największe korzyści odniosła Anglia, albo też, podnosząc wywody przywódców i dzienników opozycji angielskiej, wykazywać jasno jak na dłoni, że największe korzyści z układu ciągną Niemcy. Podobne tendencyjne traktowanie doniosłych wydarzeń na polu wielkiej polityki międzynarodowej, usprawiedliwione chwilową taktyką stronnictw, nie przystoi obserwatorom bezstronnym, do których pragniemy należeć. Nam chodzi jedynie o to, aby na podstawie faktów wyjaśnić prawdę.

Obeznani z faktami, czyli z miejscowemistojunkami w wschodniej Afryce, do których głównie odnosi się umowa niemiecko-angielska, śmiemy oświadczyć, że ona jest korzystną dla stron obydwóch.

Rzeczywista wymiana posiadłości terytoryalnych nastąpiła tylko na dwóch punktach: Anglia odstąpiła Niemcom wyspę Helgolandzką, Niemcy zaś odstąpiły Anglii tak zwany „sultanat“ Witu, leżący na północ od ujścia rzeki Tany do oceanu indyjskiego.

Wartość każdego przedmiotu jest w ogóle względna. Przedmiot, posiadający ogromną wartość dla jednego, nie ma często żadnej wartości dla drugiego. Wystawmy sobie, że polujący w centralnej Afryce na słonia murzyn, uzbrojony łukiem i dzidą, znalazł przypadkiem kosztowny dyament, za który jubiler paryzki lub londyński wypłaciłby bez wahania milion franków. W danych okolicznościach dyament ten nie ma żadnej wartości dla murzyna w głębi Afryki, lecz jest kamykiem, jak wszystkie inne. Przypuśćmy jednak, że w te strony zabłąkał się podróżnik europejski, polujący także na słonie dla rozrywki, otoczony liczną karawaną, rozporządzający kilkunastu wybornymi karabinami repetirowymi z odnośną amunicją, a mianowicie temi eksplodującymi kulami, któremi teraz łowcy europejscy ubijają tyle słoniów; Europejczyk taki, np. książę Coburg-Gotha, który przed kilku dziesięciu laty polował z liczną świtą w Abisynii, albo węgierski hrabia Teleki, który w r. 1887 także z bardzo liczną karawaną zwiędził śnieżne góry równikowe Kilima-Ndżaro i Kenią, oczywiście do dyamentów przywiązuje całkiem inną wagę, niż ów murzyn. Jeżeli taki Europejczyk nabędzie dyament za dwa karabiny repetirowe i znaczny zapas prochu i kul, niezawodnie obie strony zrobią bardzo dobry interes. Bo ów murzyn, który o łuku i dzidzie nie mógłby nigdy z głębi Afryki dotrzeć do brzegu, aby znaleziony brylant spieniężyć, dzięki otrzymanym karabinom stanie się królem wszystkich czarnych łowców swjej okolicy, stanie się niesłychanie silnym, bezpieczniejszym i będzie odtąd ubijał słonie gromadami, a jak wiadomo kość słoniowa w Afryce zastępuje nasze złoto.

Tak samo, jak wartość, którą w świecie cywilizowanym, a raczej w tak zwanym wielkim świecie, przyznajemy dyamentom, jest wyłącznie idealną, polegającą na przesądach, na modzie, na upodobaniu w błyskotkach, a jednak nie można jej na teraz zaprzeczyć, tak samo w. Helgoland dla Niemiec posiada wielką wartość idealną. Położona blisko ujścia Wezery i Łaby, wysepka ta obejmuje tylko pół kilometra skał, na których stale mieszka około 2000 rybaków, a latem przebywa kilkanaście tysięcy gości kąpielowych, przeważnie z Niemiec. Helgolandczycy są Niemcami plemienia Fryzów, różniący się od niektórych swych pobratymców tak przykładową uczciwością, że nigdy na Helgolandy nie było więzienia, że zamykanie drzwi na klucz dotychczas uważają tam jako zbytek i że podobno dopiero w ostatnich latach wydarzył się tam ku powszechnemu oburzeniu pierwszy wypadek kradzieży. W 14-ym wieku wyspa dostała się pod panowanie książąt Holstein Gottorp, w 17-ym wieku przeszła pod władzę królów duńskich, w r. 1807 opanowała ją Anglia i przywłaszczyła sobie traktatem r. 1814. Niemcom, wyruszającym z Hamburga lub Bremy na morze północne, sztandar angielski, powiewający nad Helgolandją, był widokiem przykrym. Chociażby nie czuli do potężniejszych pobratymców germańskich żadnej niechęci, ani zazdrości, nie mógł ich radować ten przed samą bramą Niemiec zawieszony sztandar angielski. To też od bardzo dawna odzyskanie Helgolandy zajmowało w narodowych aspiracjach niemieckich to samo wybitne miejsce, jak w aspiracjach Hiszpanów odzyskanie Gibraltaru, a we włoskich Malty. Zaspokojenie takiego narodowego życzenia, nie traci wcale swój ceny, chociaż druga strona nie uczyniła wielkiej ofiary.

Rzeczywiście w. Helgoland dla Anglii w terażniejszych okolicznościach była raczej ciężarem, niż korzyścią. W rozprawach izby panów 10 lipca szczerze wykazywał lord Salisbury, że Helgoland nie przedstawia dla Anglii żadnej korzyści ani jako stacya handlowa, ani jako pozycya strategiczna; w razie wojny z Niemcami flota niemiecka zajęłaby wyspę przed nadejściem pancerników angielskich, w razie wojny z innem mocarstwem trzebaby wysłać do Helgolandy całą eskadrę. Gibraltar zabezpiecza flocie angielskiej wjeście do morza śródziemnego, Malta jest ważną stacyą dla parowców angielskich, płynących przez kanał suezki do Indyi, Helgolandja zaś nie posiada podobnego znaczenia. Anglicy łatwo więc mogli odstąpić Niemcom tę wyspę, ale to wcale nie zmniejsza idealnej doniosłości jej odzyskania przez Niemcy.

Zdaje się zresztą, że obok tej idealnej doniosłości, w. Helgoland dla Niemców stanowi także ważną pozycją strategiczną. W czasie wybujałego militarizmu, omawianego przez powódź broszur, książek, nawet romansów militarnych, z wstydem wyznajemy, że nie umiemy sami ocenić doniosłości strategicznej wyspy Helgolandzkiej.

Musimy się zatem powołać na berliński „Tagblatt“, który w numerze 348 z niedzieli 13 lipca r. b. ogłosił odnośny artykuł wstępny, pochodzący, zdaje się, z niemieckiego źródła jak najkompetentniejszego.

„Aby flota niemiecka mogła na morzu północnym wywiązać się należycie z zadania swego, to albo Helgolandya musi być stacją niemiecką, albo też trzeba wykopać drugi kanał od Wilhelmshaven do Brunsbüttel, aby pancerniki z Wilhelmshaven móżd bezpiecznie połączyć z eskadrą stojącą pod Brunsbüttel. Ale i najlepszy kanał stanowi pośledniejszą komunikację, niż morze, bo nie dostarcza podobnej swobody ruchu. Pomimo ogromnych kosztów, na jakie byłoby nas naraziło wykopanie tego kanału, byłibyśmy otrzymali tylko lichy środek komunikacji. Odstępując nam Helgolandyi, Anglia niejako darowała nam grube miliony, których rząd niemiecki byłby się niewątpliwie domagał od parlamentu (nazbudowanie kanału), o czém już mówiono w kołach parlamentarnych. Anglia więc oszczędziła nam duże wydatki i umożliwiła dopiero Niemcom organiczny rozwój i należyte użytkowanie ich floty. Uwolniła nas od szukania „jajka Kolumba“, czém istotnie było uzyskanie Helgolandyi. Ci zatem mężowie, którzy nabyli Helgolandyą wyświadczyli dobru Niemiec niepospolitą przysługę, i dobrze wiedzieli, co czynią, nabywając tę wyspę ustępstwami w Afryce. Zapewnili nam wolną żeglugę na morzu północnym, a zarazem najlepszą pozycyą strategiczną, jakiej tam Niemcy szukać mogli.

„Niewątpliwie nabycie Helgolandyi pociągnie zmiany w niemieckich projektach militarynych co do zabezpieczenia brzegu północnego. Rząd nasz był już pono zdecydowany obwarować nie tylko Brunsbüttel, lecz także Cuxhaven. Dokładnie badano brzegi szleswicko-holsztyńskie, aby wynaleźć punkt odpowiedni celem sparaliżowania pozycyi Helgolandzkiej. Teraz to wszystko zbyt cenne. Słowem nabycie Helgolandyi pozbawiło nas wielkich kłopotów. Wyspa ta, leżąca równie blisko Brunsbüttel jak Wilhelmshaven, z natury rzeczy była zawsze pierwszym celem operacyi przeciwnika (1864, 1870), bo dostarczyć mu mogła wszystkiego, czego pragnął. Flota nieprzyjacielska mogła tam spocząć, zaopatrzyć się w węgle, zabezpieczyć się torpedami i przez wysłane wedety niepokoić brzeg niemiecki. Dla tego też odstąpienie Helgolandyi wywołało tak wielkie oburzenie w państwach, z któremi może będziemy toczyć wojnę. Już dziś, bez obwarowania zapewnia nam w Helgolandzka największe korzyści strategiczne, albowiem w trójkącie, oznaczonym punktami Helgolandya, Wilhelmshaven i Brunsbüttel, flota niemiecka zawsze może się bezpiecznie zebrać“. Dodajmy jeszcze, że artykuł wspomniany wykazuje, iż wskutek nabycia Helgolandyi, stotysięczna armia niemiecka, potrzebna przedtem do obrony północnych brzegów, staje się wolną dla służby czynnej.

O tém wszystkim naturalnie nie wspomina traktat 1-go lipca. Artykuł 12-ty sucho tylko opiewa:

„Z zastrzeżeniem przyzwolenia parlamentu angielskiego, królowa odstępuje cesarzowi niemieckiemu rządu nad wyspą Helgolandyą i jej przynależnościami.

„Osobom, pochodzącym z odstąpionej dzielnicy, rząd niemiecki przyzna prawo optowania obywatelstwa angielskiego; odnośne oświadczenie tych osób, względnie rodziców lub opiekunów osób małoletnich, powinno być złożone przed 1-ym stycznia 1892 r.

„Helgolandczycy i dzieci ich, urodzone przed dniem podpisania ugody, będą uwolnieni od służby wojskowej lub marynarskiej w Niemczech.

„Krajowe ustawy i zwyczaje, o ile możności, będą zachowane i nadał.

„Rząd niemiecki przyrzeka do dnia 1-go stycznia 1910 r. nie podwyższać taryfy celnej, która obecnie obowiązuje na wyspie wymienionej.

„Wszystkie prawo majątkowe, nabyte przez osoby lub korporacje wobec rządu angielskiego, zabezpieczają się na przyszłość; odpowiednie zobowiązania przechodzą na niemieckiego cesarza; do tych praw majątkowych należy także prawo sygnałowe „Lloyda“.

„Zatwierdzają się: prawo angielskich rybołówców zarzucania kotwicy przy każdej pogodzie, pobierania wody i żywności, naprawiania łodzi, przenoszenia towarów z jednego statku na drugi, sprzedawania ryb, przybijania do brzegu i suszenia sieci“.

W téj prozie stylu dyplomatycznego niepodobna doczytać się ani śladu owéj doniosłości strategicznej Helgolandu, ani owéj romantyki, w imię której nowy cesarz niemiecki starał się o odzyskanie wyspy i którą zaraz po ogłoszeniu preliminaryrów ugody w czerwcu jeden z dzienników niemieckich obwieścił w następujących słowach: „Niepospolity urok historyczny owiewa tę wymianę. Nie chodzi tu o nic wielkiego (?), co najwięcej o nową stacyą węgla i wedetę przed ujściem Wezery i Elby. Romantyczno-narodowy blask ozłaca jednak fakt, że Helgolandya powraca pod władzę Niemiec, a nie najmniej zadziwiającą jest okoliczność, że nagrody za te ustępstwa doszukano się tam daleko na kontynencie afrykańskim, dokąd przed 20 laty za ledwie zabłąkał się wzrok geografów niemieckich, a gdzie dziś państwo niemieckie rozdawać może kompensaty. Z tego punktu widzenia trzeba spojrzeć na traktat niemiecko-angielski. Wtedy poznamy, że nie może być mowy o stracie i wygranéj, o ustępstwie lub zdobycy. Helgolandya zapewne pod względem idealnym jest nabytkiem, ale odstąpienie kraju Witu i Somalów nie jest pod względem materialnym stratą. Owe bowiem zapędy kolonialne, które nie wahały się wkraczać w angielską sferę interesów i które naruszały bardzo ważną dla spraw europejskich zgodę Anglii i Niemiec przez problematyczne przedsięwzięcia w Afryce, — niebezpieczne te zapędy zapалу kolonizacyjnego nie były nigdy w Niemczech popularne“.

Z tego stanowiska i my zapatrujemy się na odstąpienie przez Niemcy „sultanatu“ Witu i ościennego brzegu w kraju Somalów, co artykuł 2-gi traktatu angielsko-niemieckiego zaznacza w następujących słowach:

„Niemcy zrzekają się swego protektoratu nad Witu na korzyść Anglii, W. Brytania zobowiązuje się uznać władzę sułtana Witu nad terytoryum, które się rozciąga od Kipini aż do oznaczonego w r. 1887 jako granica punktu na przeciwko wyspy Kweiku.

„Niemcy zrzekają się dalej protektoratu nad ościennym brzegiem aż do Kismaju, zrzekają wszelkich pretensyi do kraju na północ rzeki Tany, tudzież nad wyspami Patta i Manda“.

To jest jedynie odstąpienie przez Niemców kraju, który przynajmniej nominalnie stał od niedawna pod protektoratem niemieckim. Rzut oka na kartę uczy nas, że Niemcy na seryo nie mogli wcale myśleć o kolonizowaniu tego brzegu od równika aż do ujścia rzeki Tany, oddzielnego od głównej kolonii niemieckiej przez strefę angielską pomiędzy Taną a Umbą. Osadzenie się na tym brzegu od samego początku uważano jako sposób zapewnienia sobie kompensat. W r. 1886 pewna sekcya wschodnio-afrykańskiego towarzystwa kolonialnego nabyła od kupców braci Denhardt ich pretensye do sułtana Witu; na jesień wymienionego roku wysłała tam ekspedycyą pod dowództwem kapitana Rabenhorsta i porucznika Schmidta. Rzeczywiście jednak Niemcy osiedli tylko na wysepkach Mandzie i Pacie, a dalej na północ ochrzcili zatokę przy ujściu rzeki Szeri do Oceanu indyjskiego „portem Hohenzollern“. Wprawdzie rząd niemiecki w roku zeszłym przyjął nibyto protektorat nad tą najnowszą kolonią niemiecką, atoli nie zamierzał jej zapewne zachować, ponieważ nie tylko kompania niemiecka nie zajęła faktycznie brzegu, ale nadto Anglia oddawna uważała go jako należący do „sfery swoich interesów“. Rzecz naturalna, że organa specjalnie zainteresowaniéj w téj kwestyi kompanii niemieckiej, mianowicie berlińska „Kreuzzeitung“, z powodu odstąpienia protektoratu nad Witu wydają straszne jęki boleści i wystawiają krok taki jako istne marnotrawstwo kancлера Capriwego; tym bowiem sposobem zamyślają uzyskać od rządu pewne wynagrodzenie, ale rząd niemiecki, wyrzekając się pretensyi do protektoratu, nieuznanego przez Anglią, a nieopartego na żadnej realnej okupacyi, nie spełnił wcale ofiary. Owszem nabycie Helgolandyi za bardzo niepewne widoki w sułtanacie Witu i na brzegu Somalów — jest to bardzo dobrym interesem dla Niemców.

Powiedzieliśmy wyżéj, że wymiana Helgolandyi za Witu stanowi jedyną zmianę terytoryalną, jaką zawiera traktat niemiecko-angielski. Szowiniści i fanatycy kolonialni w Niemczech, do rządu rzekomych boleśnych ofiar zaliczają i to, że rząd niemiecki uznał protektorat angielski nad Zancybarem. I tak adiutant głównego wodza w niemieckiej strefie afrykańskiej p. Gravenreuth, bawiący obecnie w Bawaryi, oświadczył, że wpływ i pieniądz Zancybaru sięga

aż do jeziora Tanganiki, że zatem uznanie angielskiego protektoratu nad Zancybarem, strefę niemiecką pomiędzy wymienionem jeziorem a brzegiem pozbawia wszelkiej wartości i t. d. Atoli nasamprzód owe uznanie angielskiego protektoratu nad Zancybarem nie nastąpiło wcale bezwarunkowo. Artykuł bowiem II traktatu angielsko-niemieckiego opiewa; „Wielka Brytania zobowiązuje się użyć całego swego wpływu dla przywiedzenia do skutku ugody, na mocy której sułtan Zancybaru posiadłości swe na stałym lądzie, objęte koncesyą, uzyskaną przez niemiecko-afrykańską kompanią, z ich dependencyami tudzież wyspę Mafię—odstąpi Niemcom. Jego Wysokość sułtan otrzyma odpowiednie wynagrodzenie za stratę dochodów, wynikającą z tego odstąpienia.

„Niemcy zobowiązują się uznać protektorat Anglii nad resztą posiadłości sułtana Zancybaru, włączając wyspy Zancybar i Pemba, tudzież nad posiadłościami sułtana Witui ościennego kraju Kismaju. Ustanawia się, że gdyby odstąpienie brzegu Niemcom nie nastąpiło przed objęciem przez Anglią protektoratu nad Zancybarem, rząd Jéj Królewskiej Mości, obejmując protektorat, użyje całego swego wpływu na sułtana, aby go w najkrótszym czasie skłonić do owego odstąpienia za odpowiedniem wynagrodzeniem“.

Niemcy więc przedewszystkiem zapewнили sobie uzyskanie na własność tego terytorium na brzegu, które sułtan Zancybaru właściwie kompanii niemiecko-afrykańskiej wydzierżawił tylko. O tém pp. Wissmann, Gravenreuth i fanatycy kolonialni w ciągu ostatniej wojny snać zupełnie zapomnieli i zdawało im się, że z dokonaną pacyfikacją, kraj ten przeszedł już na własność niemiecką. Rząd jednak niemiecki nie mógł podzielać téj iluzji.

Następnie musimy uwzględnić, że faktyczny protektorat, oparty na liczbie przebywających w tych stronach pancerników angielskich, tudzież na przeważnym wpływie konsula angielskiego, Anglia posiada już od bardzo dawna nad sułtanem Zancybaru. Niemcy, osiedleni w tych stronach dopiero od r. 1884, nie mogli wcale na seryo wystąpić w téj mierze jako spółzawodnicy Anglików; uznając tedy ich protektorat, uznali tylko stan rzeczy, który w praktyce istniał oddawna.

Pod względem zaś prawa międzynarodowego, ustępstwo rządu niemieckiego, znaczy tylko tyle, że Niemcy nie będą się opierać formalnemu objęciu przez Anglią protektoratu nad Zancybarem. Aby go objąć rzeczywiście, rząd angielski musi się jeszcze porozumieć z Francją, albowiem w r. 1862 pomiędzy Francją a Anglią stanął traktat, zabezpieczający neutralność Zancybaru. Niemcy później przystąpiły do tego traktatu. Teraz rząd niemiecki odstępuje od niego, ale nie odstąpiła jeszcze Francya. Zapewne niedoleźność Francuzów, którzy nie umieli ani nawet wyzyskać tak doniosłej pozycyi jak Hobok na wschód Abyssynii, i tam wypierani są od wszelkiego wpływu

przez Włochów, sprawi też, że Anglicy nie napotkają na stanowczą przeszkodę w zajęciu Zancybaru. Ale na teraz samo platoniczne uznanie tam angielskiego protektoratu przez rząd niemiecki, nie stanowi bynajmniej znacznej korzyści dla Anglii.¹⁾

O rozgraniczeniu strefy niemieckiej na północ i na południe, co stanowi główną treść traktatu z 1-go lipca, obszernie pomówimy później. Tutaj zauważymy tylko, że odnośne przepisy są logiczną konsekwencją dawniejszych umów angielsko-niemieckich z października i listopada r. 1886 (na konferencji londyńskiej). I w tej mierze Niemcy nie uczynili żadnych „boleśnych ustępstw“. Wyrzekli się jedynie mglistych roszczeń swych fantastycznych szowinistów kolonialnych.

Do rzędu takich mglistych pretensyj niemieckich należał plan wsunięcia się pomiędzy jeziora Wiktorji, Alberta Edwarda aż do jeziora Alberta a może nawet aż do dawniej równikowej prowincji (egipskiej) Emina. Kiedy Emin wyzdrowiał po kilkumiesięcznej ciężkiej chorobie w Bagomojo i na czele niemieckiej karawany wyruszył na zachód, w głąb Afryki, pewna część prasy niemieckiej wyprawy tej przypisywała najfantastyczniejszą doniosłość. Jedni dowodzili, że odzyska, ale teraz dla Niemców, swą dawną prowincją równikową, czyli „Aequatoryą“, jak ją nazywa Stanley w najnowszym swém dziele; drudzy twierdzili, że postępując w kierunku zachodnio-południowym, na południowej granicy strefy niemieckiej przerwie komunikacją angielską pomiędzy jeziorem Nyassą a Tanganiką. W tej chwili nie wiadomo jeszcze, dokąd właściwie udał się Emin? Pewno jednak, że ani na wykonanie pierwszego, ani drugiego przypisywanego mu planu nie wystarcza Niemcom środków. Jeżeli zatem rząd niemiecki w zawartym z Anglią traktacie wyrzekł się przypisywanych przez pewną część prasy Eminowi planów, nie poświęcił żadnej realnej własności, ani nawet interesu, lecz wyparł się tylko niemożliwych projektów.

Zrozumiemy to tém lepiej, jeżeli sobie przypomnimy, że dawniej, przed zawarciem traktatu 1-go lipca, wszyscy obeznani dokładnie z kwestyami kolonialnymi poważni pisarze niemieccy dobitnie zaznaczali konieczność porozumienia się z Anglią i uznawali, co też jest niewątpliwą prawdą, że dopiero taka ugoda utwierdzi pozycją Niemców w wschodniej Afryce. I tak Dr. I. Baumgarten, w wydaném na początku r. b. dziele „Ostafrika, der Sudan und das

¹⁾ Organ opozycji angielskiej „Daily News“ oświadczył, że kanclerz niemiecki nie był zobowiązany zwracać uwagi rządu angielskiego na traktat francusko-angielski z r. 1862, ale margr. Salisbury powinien go być znać. W czasach kiedy „realizm“, a właściwie egoizm góruje w stosunkach międzynarodowych gen. Caprivi istotnie nie był zobowiązany do takiej przysługi przyjacielskiej. W każdym razie „ustępstwo“ niemieckie co do protektoratu nad Zancybarem nie przedstawia po stronie Niemiec tak wielkiej ofiary, jak to udają niektórzy dzienniki niemieckie.

Seengebiet“²⁾, oświadcza: W kolonialnej polityce niemieckiej w wschodniej Afryce nastąpiła chwila stanowcza. Łatwo przewidzieć, że wskutek słumienia powstania, potężnie się rozwinie czynność nie tylko misyj, lecz także na polu ekonomicznym; że kwitnące dawniej 16 stacyi będą odbudowane i naturalnie nowe stacje i plantacje powstaną dalej na zachód, aby czem prędzej dotrzeć do jeziora Tanganiki, czyli do granicy państwa Kongo. Cele to wielkie; urzeczywistnienie ich w niedalekiej przyszłości stać się może niesłychanie ważnym dla wszystkich ekonomicznych, przemysłowych i handlowych stosunków ojczyzny naszej. Zachodzą jednakże okoliczności, zdolne zupełnie zwichnąć te wielkie zamysły.

„1) Ani kapitał niemiecki, ani przedsiębiorczość nasza nie odpowiada wielkiemu zadaniu. Strefę niemiecką w wschodniej Afryce z dwóch stron oblegają potężne kompanie angielskie: na północy angielska kompania wschodnio-afrykańska, rozporządzająca kapitałem 20 milionów marek, na południu południowo-afrykańska kompania z tymczasowym kapitałem 20 milionów marek, koncesyjonowana w październiku r. 1889 i wyposażona w wszelkie środki, aby założyć ogromne państwo południowe od rzeki Zambezy aż do Capstadt.

„2) W ścisłym porozumieniu z temi kompaniami i wspierana przez licznych misjonarzy „kompania angielska jezior“ pracuje nad tem, aby owładnąć strefą pomiędzy jeziorami Wiktoryą, Tanganiką i Nyassą i to kosztem strefy niemieckiej i państwa Kongo. Szerokim pasem od jeziora Wiktoryi do Nyassy zamierza odciąć posiadłości niemieckie od jeziora Tanganiki.

„Kolonizacyjny planom naszym zagraża więc nie tylko przewaga kapitału angielskiego, lecz także zaborcza chciwość angielska; bo odcięcie kolonii naszej od Tanganiki, a zatem od wszelkiej bezpośredniej komunikacji z państwem Kongo, pozbawiłoby osady nasze wszelkiej wartości i uczyniłoby je całkiem zależnymi od Anglii. Każdy zatem światły polityk kolonialny rozumie konieczność dokładnego określenia na mocy ugody z Anglią granic i to w ten sposób, aby jezioro Tanganika tworzyło zachodnią granicę osady niemieckiej“.

(Właśnie tę granicę ustanawia traktat 1-go lipca).

„Skoro w taki sposób zabezpieczona będzie granica osad naszych, nie będziemy mieli żadnego powodu opierać się korzystnej nawet dla nas angielskiej pracy kolonialnej. Otrzymawszy od Anglii rękojmię, że wymienione kompanie angielskie nie będą się wdierały w naszą strefę, pewni będziemy pokojowej i bardzo skutecznej wspólnej pracy dwóch narodów. Warunkiem jest tylko, aby posiadłości nasze docierały do jeziora Tanganiki i nie były odcięte ani od jeziora Wiktoryi, ani od jeziora Nyassy. Po spełnieniu tego warunku podamy sobie bratnią dłoń do wspólnej pracy“...

²⁾ U Fr. A. Perthesa, Gotha 1890 r. str. 558 i nast.

Wszystkie te warunki spełniła Anglia w traktacie z 1-go lipca, bo na mocy tego traktatu strefa niemiecka sięga na zachód do jeziora Tanganiki, ku północy obejmuje połowę jeziora Wiktoryi, ku południowi znaczną część jeziora Nyassy. Zestawiając zatem sformułowany przez tak znakomitego znawcę kwestyi kolonialnych, jak p. Baumgarten, na początku r. b. program niemiecki, z krytyką, jaką w pewnej części prasy niemieckiej wywołał traktat 1-go lipca, łatwo poznamy, że ta krytyka ujemna nie jest szczerą, albo też opiera się na pretensjach fantastycznych, których jeszcze na początku r. b. nie żywili szowiniści kolonialni niemieccy. Owszem jest to jeden z tych traktatów, które jak margrabia Salisbury oświadczył w parlamencie, „korzystne są dla obu stron“, ale które też bywają tylko zawierane przez dwa mocarstwa, które szczerze pragną usunąć od razu wszelkie preteksta sporu i postępować solidarnie w ważnych sprawach europejskich.

II.

Granice strefy niemieckiej w wschodniej Afryce artykuł pierwszy traktatu z 1-go lipca ustanawia w sposób następujący:

„Od strony północnej granicę tworzy linia, ciągnąca się od ujścia rzeki Umby do oceanu w prostym kierunku dążąca do jeziora Iipe, dalej na północnym brzegu tego jeziora przekraczając rzekę Luwi, kraje Tawete i Dżagga przecina środkiem, okrąży górę Kilima Ndżaro od północy i znowu w prostym kierunku dąży do wschodniego brzegu jeziora Wiktoryi, do którego dociera na 1° połudn. szerokości. (Ponieważ ujście rzeki Umby do oceanu przy miejscowości Wanga znajduje się na 4½° połudn. szerokości, północna granica strefy niemieckiej od oceanu dąży więc w głąb kontynentu w północno-zachodnim kierunku). Ztąd granica niemiecka na 1° połudn. szerokości przecina jezioro Wiktoryi, potem wzdłuż tego samego stopnia dociera do wschodniej granicy państwa Kongo. Jednakże góra Msumbiro nie należy do strefy niemieckiej. Gdyby się wykazało, że góra ta leży na południe od wymienionego stopnia (1-go), granica będzie naznaczona w ten sposób, aby te góry wykluczyła z niemieckiej sfery interesów.

„Południową granicę niemieckiej strefy tworzy linia, idąca od brzegu przy północnej granicy (portugalskiej) prowincyi Mozambiku rzeki Rowumy aż do miejsca, gdzie do niej wpada rzeka Msinia, ztąd wzdłuż dalej na zachód na 11° połudn. szerokości aż do jeziora Nyassy. Następnie, okalając jezioro ku północy, dociera do ujścia rzeki Songwy do jeziora, ztąd postępuje wzdłuż tej rzeki aż do tego punktu, gdzie się najwięcej zbliża do granicy opisanej w 1 artykule

berlińskiej konferencji, i naznaczonego na dodanej do 9 protokołu tej konferencji karcie hydrograficznego systemu Congo. Ztąd w prostym kierunku dąży do wymienionej granicy aż do punktu, gdzie się ona spotyka z 32^o wschodniej długości. Potem zwraca się w prostym kierunku do złączenia się północnego i południowego ramienia rzeki Kilambo, wzdłuż którego postępuje aż do ujścia do jeziora Tanganiki. Bieg tej granicy w głównym zarysie jest oznaczony według karty terytorjum pomiędzy jeziorami Nyassą a Tanganiką, urzędownie wypracowanej w r. 1889 dla rządu brytyjskiego.

„Zachodnią granicę strefy niemieckiej tworzy linia, która poczynając od ujścia rzeki Kilambo do Tanganiki aż do 1^o połudn. szerokości styka się z wschodnią granicą państwa Kongo“¹⁾.

Określona w ten sposób strefa niemiecka, przytykająca na wschód do oceanu, na zachód do jeziora Tanganiki, na północ do jeziora Wiktorji, na południe do jeziora Nyassy, a więc istne Interlaken w wielkim stylu, obejmuje ogromne terytorjum około 24,000 mil kwadratowych, a zatem jest dwa razy tak wielka, jak cesarstwo niemieckie. Odległość jeziora Tanganiki od oceanu w prostej linii (idealnej) wynosi 540 mil geograficznych, faktyczną zaś odległość z powodu gór, bagien i nieprzystępnego terenu obliczają na 900 do 950 mil. Sławny podróżnik angielski Burton odbył tę drogę w 100 dziennych marszach, czyli około 400 godzin, wyruszywszy od brzegu oceanu 27 czerwca r. 1857, dotarł do jeziora Tanganiki 18 lutego r. 1858. W odwrotnym kierunku terazniejszy major Wissmann, wyruszywszy z Udżyży nad jeziorem Tanganiką 9 sierpnia r. 1882 do oceanu dotarł 14-go listopada tegoż roku. Wielkie karawany arabskie zwykle maszerują 6 miesięcy, mniejsze o lekkich ciężarach 3 do 4 miesięcy.

Główny szlak karawan od Bagomojo nad oceanem do jeziora Tanganiki wiedzie w północno-zachodnim kierunku przez Mpwapwę do Tabori a ztamtąd wprost na zachód do Udżyży. Z Bagomojo do Mpwapwy karawany docierają teraz w 20 dniach, oddziały wojskowe w 12 dniach. W r. 1874 Stanley z bardzo liczną karawaną odbył tę drogę w 25 dniach. Wyruszywszy bowiem z Bagomojo 17 listop. przeprawiwszy się przez znaczne góry i lasy, postępując wreszcie na lewym brzegu rzeki Wami, płynącej do oceanu, 12 grudnia dotarł do Mpwapwy. Tutaj od dawna istnieje missya angielska, w której doznał gościnności Wissmann w r. 1882. „Wyszedłszy przed dom gospodarza mego d-ra Baxtera, opowiada Wissmann w dziele „Quer durch Africa“, — ujrzałem uroczą panoramę. Północny widokrąg zamyka pasmo ciemnych gór, za któremi mieszka wojownicze plemię Massajów. Ku zachodniej i południowej stronie z pod potężnych sykomor świecą białe namioty obozu, a kilka siół wśród zielonych la-

1) Wszystkie powyższe szczegóły czytelnikom naszym o tyle tylko będą zrozumiałe, o ile raczą spojrzeć na którą z nowszych kart Afryki wschodniej.

sów osiadły na pochyłości wzgórza, którego wierzchołek wieńczą zabudowania missyi. Wielki dom kamienny, kościółek, dom mego gospodarza i kilka oficyn dla służby, wszystkie były pobielone i wyglądały bardzo ładnie. Wszyscy europejczycy byli tu zdrowi i czestwi i chwalili klimat“. Według nowszych wiadomości, klimat jest tam przeciewnie niekorzystny a załoga niemiecka choruje na dysenteriją. Latem r. z. naczelnik powstańców Buszryi zdobył Mpwapwę, jednakże krótko przed przybyciem Stanleya i Emina, w październiku r. 1889, Wissmann znowu opanował tę ważną pozycją strategiczną.

Głównem ogniskiem handlowem w środku strefy niemieckiej stanie się z czasem Tabora (na 5° połudn. szerokości, 38° wschod. dług.), założona przed 30 laty przez arabów w Uniamwezi. Do Taborze ze wszystkich stron napływają karawany i tu formują się na nowo, bo zwykle nosiciele od brzegu nie zapuszczają się dalej w głąb kraju. Arabowie w Taborze posiadają wielkie haremy i mnóstwo niewolników, wuczonych różnych rzemiosł. W ich magazynach podróznik znajdzie wszelkiego rodzaju materje, bawełniane i płóciennne, perły i drut, które zastępują monetę, proch i kule, przedmioty aptekarskie, które płaci się pięć razy drożej, niż w Zancybarze. Teren prowincyi Unianembe tworzy wywyższona około 1000 m. nad powierzchnią morza płaszczyna, wystawiona peryodycznie na zalewy i na piekące upały, a przeto bardzo niezdrowa. Arab, jeżeli przez dwa miesiące nie zachoruje to, chwali się wyjątkowo silnym organizmem. Mieszkańcy Waniamwezi, trudnią się rolnictwem i chowem bydła, mocno ogradzają swe sioła, ale wiodą żywot dość nędzny, choć kraj jest urodzajny i produkuje mnóstwo ryżu. Władze dzierżą liczni, niezależni kacykowie, zwani Mtemi albo Mwane. Co do arabów, tworzą oni w Taborze niejako rzeczpospolitą kupiecką, jak dawne miasta hanzyatyczne w Niemczech. W r. 1875 sławny naówczas „Napoleon afrykański“, a właściwie herszt rozbójników Mirambo, napadł Taborę, zabił Khamisa bin Abdullę i 5 magnatów arabskich, osadę spustoszył. Później arabowie odzyskali ją i odbudowali. Osiedlona w pobliżu missya katolicka pod dyrekcją O. Haut-Coeur wystawiła obszerną zagrodę i uprawiała z powodzeniem rolę, aż śród zamieszek przeszłorocznych upadła. Kiedyś Tabora stanie się naczelnym punktem drogi żelaznej, wiodącej od oceanu do Tanganiki, a ku północy do jeziora Wiktoryi, gdzie za pomocą parowców połączy się z koleją angielską, projektowaną z Mombasu do jeziora Wiktoryi.

Odległość Taboru od Udżyży nad jeziorem Tanganiką wynosi 55 mil niemieckich. Dotąd Udżyża, gdzie w r. 1871 Stanley odszukał Livingstona, jest główną stacją na wschodnim brzegu jeziora. W dziełach Stanleya i licznych innych podrózników posiadamy dokładne jęj opisy. Major Wissmann, który tam przybył 2 sierpnia r. 1882, oświadcza: „Od czasu ostatniego pobytu Stanleya (r. 1876)

Udżyża widocznie podupada. Świadczą o tém liczne opuszczone i na wpół zapadłe temby (zagrody). Zresztą miasto podobne jest do osad arabskich, bo rzadko tylko widać chaty murzynów; niewolnicy mieszkają w chatach, ukrytych po za domami swych panów. Kilku bogatych arabów, do których się przyłączyli handlarze nadbrzeżni i mieszańcy, stanowią pierwszą klasę ludności; tubylcy plemienia Wadżyżów, po największej części rybacy i majtkowie arabów, tworzą drugą, niewolnicy trzecią. Ku wielkiemu oburzeniu arabów Said-Bargasz (ówczesny sułtan Zancybaru) mianował bogatego murzyna plemienia Suahelów Muini-Herego naczelnikiem miasta. Nad jego domem powiewała krwawo-czerwona flaga sułtanatu. Na odbywających się codziennie targowiskach można nabyć wszystkich płodów z okolicy:—ryb sprzedawanych przez Wadżyżów, owoców z ogrodów arabów, wyborniej soli z Uha, masła, niewolników, kości słoniowej z stref północnych i od brzegów Lualaby (Congo), jako też wszystkich przedmiotów, importowanych z Zancybaru. Drobna moneta stanowią szklanne czerwone i niebieskie perełki; bawełna i krzyżki miedziane zastępują nasze srebro, niewolnicy, rogacizna i kość słoniowa złoto. Jako port Udżyża wcale nie odpowiada zadaniu swemu. Brzegi są płaskie i otwarte, trzeba więc statki wciągać na ląd. Flota składa się z 40 wielkich czoleń (dauws), z których co najmniej 15 są już niezdatne. Nawet w najszczuplejsze wtlaczają po 25 niewolników, a czasem śród burzy wyrzucają ludzi, aby ocalić czółno. Razu pewnego arab, przewożący niewolników i osła, kazał wyrzucić 10 ludzi a zachował osła w czółnie¹⁾.

„Ze dotąd nie udało się wcale złagodzić grozy handlu niewolnikami, świadczy o tém list misjonarza Vinckiego z r. 1888. Oświadcza on: „Udżyża jest najludniejszą osadą arabską w pobliżu jeziora Tanganiki. Tu na drodze do Zancybaru zatrzymują się wszystkie nadchodzące z głębi Afryki karawany niewolników; tu zbierają się mieszańcy, aby się naradzać, w których okolicach rozpocząć okrutne łowy na ludzi; stąd wyruszają wszystkie bandy, które teraz zalewają kraj Maniemę i ludne dawniej okolice pustoszą. Jest to prawdziwa Sodomia, widownia wszystkich występków, wszystkich zbrodni, i wszelkiej grozy.

„Już dawniej kilkakrotnie zwiedziłem targ w Udżyży, ale wtedy niewolnicy byli mniej liczni i nie miałem sposobności dostrzedz całej ohydy tego handlu. W czasie mego ostatniego pobytu w tém mieście, było ono po prostu zalane tłumami niewolników z Manjemy, z Marungi, z Uwizy i Ubuari. Ten napływ niewolników sprawiał, że sprzedawano ich za bezcen... Cały wielki plac był okryty niewolnikami, stojącymi w długich rzędach, związani, mężczyźni, kobiety i dzieci w strasznym chaosie. Niektórym, przybywającym z Manje-

¹⁾ Wissmann „Quer durch Afrika“ Berlin 1889, str. 234.

my, przekłuto uszy i przeciągnięto sznury, któremi ich związano. W ulicach na każdym kroku spotykałem istne żywe szkielety, które za pomocą laski z trudnością poruszały się. Tym zdjęto okowy, bo nie potrzeba było obawiać się ucieczki. Z ich zapadłej twarzy przemawiała cierpienia i wycieńczenie; wszystko wskazywało, że ginęli raczej z głodu, niż z choroby. Zakrwawione rany na plecach świadczyły, czego doznali od swych okrutnych panów. Inni, leżąc w ulicy lub za domem pana, który przewidując śmierć ich, przestał dostarczać im żywności, wyczekiwali zgonu bez odrobiny pociechy, nieznanego im przyszłego życia. Pomiędzy osadą a jeziorem znajduje się rozległy plac, gdzie rzucają umarłych lub konających niewolników. Obowiązki grabarzy spełniają hyeny. Młody chrześcianin, towarzysz mój, który nie znał jeszcze miasta, zamierzał tędy dotrzeć do jeziora, ale na widok licznych, leżących przy drodze trupów na wpół poszarpanych przez hyeny i kruki, przełęczniony cofnął się. Na zapytanie, dlaczego trupy są tak liczne i leżą na ziemi, arab w najobojętniejszym tonie odpowiedział mi: „dawniej hyeny każdej nocy zabierały trupów; ale w tym roku liczba trupów jest tak wielka, że hyeny nie wystarczają już do ich sprzątnięcia—obżarły się już mięsem ludzkim!“¹⁾ Czytając podobne rzeczy, im więcej kto miłuje ludzi, tém łatwiej stać się może pesymistą i zawołać z mędrcom rzymskim: „homo homini lupus“.

W ostatnich czasach na obu brzegach jeziora Tanganiki powstały liczne osady czyli stacye europejskie, mianowicie na południe Udżyży na wschodnim brzegu jeziora założona w r. 1878 przez kapitana Cambiera belgijska stacya Karema, na przeciwko, na zachodnim, należącym do państwa Kongo brzegu, stacya Mpala, którą założył belgijski porucznik Storms, na tym samym brzegu na przeciwko Udżyży od dawna istnieje stacya missyi anglikańskiej Plymouth-Rock. Katolicycy misyonarze posiadają 15 stacyi w około jeziora.

Tanganikę dopiero w r. 1858 odkryli kapitanowie angielscy Burton i Speke. W r. 1869 dotarł tam Livingstone, 18 listop. r. 1871 odszukał go w Udżyży Stanley i razem z sławnym misyonarzem i podróżnikiem zbadał północne brzegi. Całe jezioro Stanley objechał na swęj drugiej sławnej wyprawie (od 11 czerwca do 31 lipca 1876 r.) w ostatnich latach głównie Belgijczycy dokładnie zbadali jezioro. Długim, wąskim pasem rozpościera się ono od północy ku południowi (od 3°8' do 7°47' połudn. szerokości). Długość wynosi 70 mil, szerokość 10 do 12 mil. Na niektórych miejscach 600 m. głębokie, jezioro pokrywa powierzchnie 500 mil kwadratowych an-

¹⁾ Powołując się na powyższy list misyonarza Vinckiego, kardynał Lavignerie 2 sierpnia r. 1888 wezwał księcia Bismarcka do położenia tym okrucieństwu końca, gdyż Ndżyża należy do niemieckiej sfery interesów.

gielskich. Największe po rosyjskich jezioro europejskie bodeńskie (Bodensee) pokrywa tylko powierzchnią 10-ju mil kwadratowych.

Burton z wielkim zapalem opowiada wrażenie, jakie na nim sprawił pierwszy widok tego ogromnego jeziora środkowej Afryki: „Nie podobna sobie wystawić nic bardziej malowniczego, jak ta zwierciadlana powierzchnia Tanganiki, iskrząca w promieniach równikowego słońca pomiędzy wzgórzami. Z stromego, skalistego brzegu zeszliśmy na bujnie zazielenioną łąkę, po za którą rozciąga się brzeg piaszczysty, gdzie niegdzie zarosły trzcina, na którym pluskają fale jeziora. Przedemną rozpościera się szeroko błękitna powierzchnia wody, dalej widnokrąg zamykają modre góry, w których ciemniejszym kolorem zaznaczają się otchłanie i wąwozy. Do koła nas na brzegu wśród dobrze uprawionych pól roją się sioła, po jeziorze przesuwały się łodzie rybackie. Wszystko to ożywione i urozmaicone, byle tylko jeszcze trochę sztuki, meczetów i kiosków, pałaców, will i ogrodów, a brzegi Tanganiki co do malowniczości dorównają najslawniejszym i najromantyczniejszym okolicom świata“.

(Burton: „Lake regions of Central Africa“).

Zanim jednak Niemcy faktycznie dotrą do przyznanej im zachodniej granicy swęj ogromnej „sfery interesów“ i podzielią się z belgijczykami ważnem zadaniem krzewienia nad brzegami Tanganiki cywilizacyi, dużo jeszcze upłynie czasu. Jeżeli się nie mylimy, jeden dopiero z Niemców, Wissmann, przeprawił się przez jezioro Z ogromnej strefy niemieckiej w wschodniej Afryce dotąd w rzeczywistości posiadaniu Niemców znajduje się tylko szczupłe terytorium, złożone z prowincyi Nguru, Usegno, Ukamii, Usagara blisko wschodniego brzegu Afryki.

Na teraz niepodobno dociec prawdy co do urodzajności tej strefy, zdolności tubylców do przyswojenia sobie cywilizacyi europejskiej, oswojenia się europejczyków z klimatem i warunkami życia w strefie równikowej. Z pisarzy niemieckich jedni powołują się zwykle na aforyzm znakomitego badacza d-ra Fischera, który w swem dziele: „Mehr Licht im dunklen Welttheil“, oświadczył: „Urodzajne strefy są nie zdrowe, zdrowe są nierodzajne“. Natomiast zwolennicy kolonizacyi przyznają, że w pobliżu oceanu, zwłaszcza przy ujściu rzek, klimat jest niebezpieczny i grozi europejczykom febrą równikową, ale twierdzą, że w głąb kraju, w okolicach górzystych, klimat jest zdrowy. W tej mierze przytaczają zdania licznych misyonarzy i podróżników. I tak O. Horner w r. 1870 zaznaczył o kraju Ukwerze: „Okolica ta, której zdrowy klimat nie ulega wątpliwości, bardzo korzystnie oddziałała na nasz stan zdrowia“. P. Bricc w r. 1878 chwali zdrowy klimat kraju Nguru i dodaje: „Co dotyczy zdrowia, nawet osłabione organizmy nie narażają się tam na niebezpieczeństwo“. Kapitan Fott w r. 1883 zauważył, że góry w prowincyi Nguru staną się przytuliskiem dla europejczyków z niżej położonych okolic. Inni chwalą czyste, świeże powietrze prowincyi

Ukami. Burton w r. 1857 góry prowicyi Uzagary nazwał istném sanatorium. Potwierdził to zdanie Stanley w r. 1871. Misyonarz angielski Last, które przez 8 lat przebywał w prowincjach Uzagara i Nguru, oświadcza: „Klimat tu bardzo zdrowy, od kwietnia do sierpnia tak chłodny, że ogień w piecu był nam pożądany. W południe temperatura dosięgała 18 stopni, w gorących miesiącach 32 stopnia, nigdy zaś upał nie jest tu tak silny, jak w Indyi. Usambare misyonarz Krapf porównuje z strefą alpejską, w której im wyżej wznosimy się, tem chłodniejszym i przyjemniejszym staje się klimat. Misyonarz Rebmann, przybywszy r. 1848 do prowicyi Teita oświadcza: „Zdawało mi się, że przebywam w Alpach lub w rodzinnej Wirtembergii, tak piękny tu kraj, tak przyjemny klimat.

Co się dotyczy masy ludności, należącój do szczepu Bantu, z jēj strony, zdaniem optymistów, nie grozi rozwojowi kolonii żadne niebezpieczeństwo, jest ona bowiem pokojowo usposobiona, i gotowa przyjąć z radością przybyszów, którzy ją obronią od łowiących niewolników arabów. Jest ona też pracowitą, tylko im bliżej oceanu, tem mniej wytrwałą. Ludność na samym brzegu pogrążona w lenistwie i wszelkiego rodzaju przywarach. W ogóle murzyn może być przyuczony do pracy. O tém już się przekonano na stacyach niemieckich. Murzyni wcale nie są tak niezdatni, jak często przypuszczamy, po części nawet odznaczają się niepospolitą zręcznością. Prawie wszędzie spostrzegamy dobrze uprawiane plantacye skrapiane za pomocą wodociągów. Tubylcy chodują bydło jak europejczycy w najwyżej stojących na szczeblach cywilizacyi krajach (?). Ochotę i zdatność murzynów do pracy, p Ryszard Dilthey, który robił na miejscu spostrzenia, podnosi w tych słowach: „Przypuszczano, że z natury leniwy a nie mający żadnych potrzeb murzyn, nie będzie się ubiegał o zarobek. Ale cóż się pokazało? Gdzie murzynom regularnie wypłacano odpowiednią płacę i gdzie im dostarczano sposobności nabycia szat i sprzętów, broni, przedmiotów zbytku, chętnie i wytrwale pracowali w służbie europejczyków. Tak np. w Lewie, wielkiej plantacyi tytoniu wschodnio-afrykańskiej kompanii niemieckiej, codziennie z okolicznych siół 300 do 400 ochotników stawało do pracy. Także w Pugu nie było braku robotników. Zarządy tych plantacyi wkrótce z zręczności murzynów byli całkiem zadowoleni“¹⁾. Dzienna płaca wynosiła 27 do 45 fenigów.

Pominąwszy nieurodzajny pas nad brzegiem, tudzież niektóre stepy i pustynie, kraj jest zadziwiająco żyzny. W strefie gór napotyamy ogromne lasy. Wyborne drzewo budulcowe znajduje się w

¹⁾ „Der Wirthschaftliche Werth von Deutsch Afrika“. Düsseldorf 1889.

Nguru, wielkie mnóstwo potężnych pniów w Uzagarze, Stanley widział tam pnie objętości 100 stóp, Cameron chwali wspaniałe lasy, misyonarz Rebmann w kraju Dżagalla napotkał na tak wysokie i wspaniałe pnie, jakich przedtem nigdzie nie widział.

Najważniejsze dla kolonistów płody stanowią: ryż, tytoń, bawełna, kawa, kukurydza i trzcina cukrowa. Ryż obficie rośnie w Usaramo, Ukami, w rozległych dolinach Uzagary i Nguru. Zdaniem misyonarza Lasta pod kierownictwem europejskiem produkcya ryżu ogromnie wzrośnie. Znawcy zapewniają, że osada niemiecka mogłaby dostarczyć wszystkim przybijającym do Zancybaru parowcom potrzebnej ilości ryżu, importowanego dotąd z Indyi. Tytoń uprawiają głównie w Chutui i w Usambarze. Burton twierdzi, że tytoń usambarski odznacza się wyborną jakością. Bawełnę uprawiają w Uzagarze i Usambarze. Misyonarz Krapf twierdzi, że kolonia niemiecka mogłaby dostarczyć dosyć bawełny, aby zaspokoić potrzeby całej Anglii. Kawy dostarcza głównie Usambara, kukurydzy Ukami, Chuta i Usambara, trzciny cukrowej Usagara i Usambira.

Co do zwierząt, to w okolicach górzystych znajduje się mnóstwo rogacizny. O. Horner zapewnia, że kacyki w Useguhi posiadają ogromne stada mlekodajnych krów. Według Burtona Chutu obfituje w rogaciznę i kozy. W Uzagarze Stanley napotkał na mnóstwo rogacizny i owiec. Konie i osły są w tych stronach bardzo rzadkie, do konnej jazdy używa się byków. Natomiast nader bogactym jest kraj w drób i zwierzynę, zwłaszcza w słonie. Według sposterzeń O. Hornera, w Ukami słonie w czasie wielkich deszczów zstępują nad rzekę Kingano i zbliżają się aż na trzy mile do Bagamojo. Stanley widział słonie w Uzagarze, Burton w Uzambarze. Anglik Johnston zauważył w r. 1884, że największe bogactwo tych stref stanowi kość słoniowa, co do jakości najlepsza z przywożonej do Zancybaru. W ostatnich latach wywóz kości słoniowej nie zmniejszył się. Musimy jednak zauważyć, że w tej mierze osada niemiecka ma do walczenia z konkurencją bogatszego jeszcze w kość słoniową państwa Kongo. W ostatnich latach Antwerpią stała się głównem targowiskiem na kość słoniową. Powtórę zaś transport kości słoniowej za pomocą nosicieli jest zbyt drogi. Dopiero więc wybudowanie kolei żelaznej od oceanu do jeziora Tanganiki ożywi w tych stronach wywóz kości słoniowej.

Wywody swe o wartości kolonii wschodnio-afrykańskiej sędzia Dilthey w wymienionem powyżej dziele kończy następującemi uwagami: „Właśnie nam, pozbawionym dotąd osad południowych, przyniosą one największe korzyści. Za wyroby kolonialne płacimy teraz obcym narodom ogromną sumę 500 milionów marek rocznie. Znaczna część takich płodów kolonialnych na przyszłość będzie nam przybywała z naszych własnych osad. Wiadomo zresztą, że wzrastające z rozwojem cywilizacji potrzeby osad zwykle bywają zaspakajane w państwie, które niemi władnie; wielki zastęp rolników, ogrodników

ków, inżynierów i geometrów, przenosząc się z przeludnionej ojczyzny do kolonii, gdzie nie ma dotąd ani dróg, ani mostów, znajdzie tam szerokie pole pracy i zarobku“.

Przypatrzyliśmy się teraz ważniejszym miejscowościom strefy niemieckiej na brzegu wschodnim. Główne ognisko powstania w roku 1888 Pangani (5 1/2 połudn. szerokości) leży nad ujściem do oceanu rzeki tejże nazwy, którą tubylcy nazywają najczęściej Kuwą. Przy ujściu rzeka jest bardzo szeroka a fale morskie w czasie przypływu wciekają jej korytem daleko w głąb kraju. Prawy brzeg tworzą wzgórza, wznoszące się do wysokości 80—100 metrów. Na niskim lewym (północnym) brzegu, pomiędzy oceanem a bagnami, osiadła osada Pangani, licząca około 3000 mieszkańców, arabów, indyjczyków i murzynów, otoczona palmami kokosowymi. Górzysty brzeg południowy gęsto zarosły kukurydzą, ryżem i trzcina cukrową, tudzież bananami, nad którymi wznoszą się wysmukłe palmy, a z ich zieleni witają nam ciemne strzechy murzynów, a niekiedy pobielone domy arabów. Pangani jest najniezdrowszą osadą na brzegu.

Główną stacją, skąd teraz prawie wszystkie karawany wyruszają w głąb ciemnego kontynentu, jest Bagomoyo, naprzeciwko wyspy Zancybaru, przy ujściu rzeki Kufy do oceanu. Największe zasługi około krzewienia tam cywilizacji zaskarbiła sobie wielka wzorowa misja katolicka (francuska). Już w r. 1874, organizując tutaj swoją wyprawę celem odkrycia biegu rzeki Kongo, Stanley zauważył: „Ojcowie francuscy udzielają nauki 250 dzieciom i zatrudniają około 80 dorosłych; oddano im 170 niewolników uwolnionych przez parowce angielskie, Notre Dame de Bagomojo znajduje się półtora mili na północ od miasta z widokiem na morze, przytykającą maź do stóp wzgórza, na którym wznoszą się zabudowania misyi. Cechują je gospodarność, porządek i przyrodzona francuzom schludność i zgrabność w urzędzeniu“... ¹⁾). Obecnie zakładem kieruje ojciec Etienne. Pod hasłem: religia i praca! misjonarze kształcą dzieci, nabyte od handlarzy arabskich. Jest tam już kuźnia, warsztat stolarski i ślusarski. Wszystkie zabudowania missyi. kaplice, dom mieszkalny, oficyny, stajnie, wystawili wychowawcy misyi; inni trudnią się rolnictwem. W osobnym zabudowaniu, pod kierownictwem sióstr, znajduje się ochronka dla dziewcząt. Dokoła stacyi z każdym rokiem mnoży się liczba siół chrześcijańskich, bo też misya cieszy się powszechnym szacunkiem i popularnością. Dopóki w tych stronach wrzała r. z. wojna, rozległe grunta misyi uważano jako strefę neutralną, do której nie wtargnął nikt z bronią w rękę. „Nie słyszałem nikogo oświadcza korespondent antikatolickiej „Gazety kolońskiej“, któryby o missyi francuzkiej odzywał się inaczej, jak w wyrazach najżywszej pochwały“. W ogóle wszyscy nieuprze-

¹⁾ „Przez czarny kontynent“, 1878, rozdział 4-y.

dzeni podróżnicy protestanscy bez zastrzeżenia misyom katolickim przyznają wyższość nad innemi. Świeżo wypowiedział to protestant, major Wissmann. Tego samego zdania, co naczelny wódz wojska niemieckiego w wschodniej Afryce, był także ś. p. Gordon, tragiczny bohater Khartumu. Kiedy król belgijski zapytał go o radę co do wyboru misyonarzy, najzdolniejszych do nawracania murzynów, Gordon odpowiedział: „Sire, envoyez là bas des catholiques romains, beaucoup de catholiques romains“.

Najważniejszym portem stanie się Dar-es-Salaam, położony nad wielką i bezpieczną zatoką. „Krajobraz dookoła tego miasta jest jednym z najprzyjemniejszych, jakie sobie wyobrazić można. Za płaskim brzegiem, pokrytym palmami wznoszą się do 1800 stóp wzgórza. Port stanowi prawie okrągła zatoka, wąskim kanałem połączona z oceanem. Od północy przytyka do zatoki miasto i las palmów. „Przechadzając się wieczorem po tym lesie, mówię sobie, że raj nie mógł być powabniejszy. Przedewszystkiem czaruje mnie uroczy spokój. Przy pięknej pogodzie promienie zachodzącego słońca tak cudownie barwią sklepienie niebios, że byłoby szaleństwem, chcieć to opisać. Przy wejściu do zatoki znajduje się kilka wysp. Dopiero, gdy je okrążymy, otwiera się przed nami coraz czarowniejszy widok na Dar-es-Salaam. Na owym przylądku, na lewym brzegu rzeki, gdzie sterczą ruiny pałacu misji protestanckiej, dnia 25 stycznia (r. 1890) silny zastęp arabów odcięto od wojska powstańców i wycięto. Na prawym brzegu rzeki, z gęstej zieleni wznoszą się kopuły na w pół wykończonego, ale wielce okazałego pałacu sułtana zancybarskiego. Said-Madgad zamierzał rezydencją swą przenieść do Dar-es-Salaam. Ale przy śmierci jego (1870 r.) pałac był tylko na w pół wykończony i w tym stanie pozostał. Także większa część domów, w których teraz mieszczą się żołnierze Wissmanna, są ruinami. Domy arabów zadziwiają niepraktycznością swoją. Ponieważ według stylu arabskiego, każde domostwo otacza dziedziniec, na który otwierają się nie widne z ulicy okna, balkony i ganki, zaś niedostaje tu szerokiej przestrzeni, izby najczęściej są tak szczupłe, że o koniecznej w tym klimacie zmianie powietrza nie ma mowy. Nie dziw zatem, że tu, jak w Zancybarze, mieszkańcy nie tylko wieczory, lecz całą noc spędzają na płaskich dachach. W każdym z tych kamiennych domów znajduje się łaźnia“¹⁾.

Podczas gdy do Bagomojo docierają tylko małe statki, zatoka Dar-es-Salaam, co znaczy „port pokoju“, zapewnia schronienie tak-

¹⁾ Według opisu urzędnika kompanii niemieckiej, przytoczonego w dziele dr. Baumgartena: „Ostafrika“, Gotha 1890.

że wielkim parowcom i bezpieczne wylądowanie towarów! To też wymienione miasto, daleko zresztą mniejsze od Bagomojo, stało się głównym arsenałem Niemców. W pobliżu znajdują się wielkie składy kopala. Ztąd też ma być wybudowana projektowana kolej od brzegu oceanu do jeziora Tanganiki.

Dalej ku południowi, ukryta wśród palm i innych drzew rozposciera się nad brzegiem osada Kilwa a Kiwinje, która przywłaszczyła sobie cały handel kwitnącej niegdyś stacyi portugalskiej Kilwa Kissivani, leżącej o 10 mil morskich dalej ku południowi. Liczne składy indyjczyków, którzy w tych strefach, jak u nas żydzi, tworzą kastę handlarzy, świadczą o ważności handlowej tej stacyi, mieszczącej około 3000 mieszkańców. Głównie ztąd wywożą kość słoniową, gumę, kopal i ryż, importują zaś z Ameryki i Bombaju materye, z Szwajcaryi chustki, z Anglii i Niemiec perły szklane, drut żelazny i mosiężny, tudzież broń palną. Port Kilwy nie dozwala przystępu parowcom właśnie dla tego zawołani handlarze niewolnikami z dawnej stacyi portugalskiej przenieśli się do Kilwy Kiwinie, bezpieczniejsi tu przed angielskimi parowcami wojennymi.

Jeszcze dalej na południe, przy ujściu rzeki Ukeredi do oceanu (10° połudn. szerokości) znajduje się Lindi. Wnioskując z gliczyszy potężnej warowni portugalskiej, jest to osada bardzo starożytna. Dopiero jednak w połowie bieżącego stulecia, arab Amir ben Abdallah bądź założył ją na nowo, bądź przywiódł do kwitnącego stanu. W sierpniu r. 1887 znany geograf niemiecki Peters, któremu Niemcy zawdzięczają ogromną kolonię wschodnio-afrykańską, zwiedzał te brzegi. Odpłynąwszy 6 sierpnia z rana na parowcu sułtana „Barawa“ z Zancybaru, w południe minął Dar-es-Salaam, 8-go sierpnia w południe dotarł do Kilwy Kiwinje, 9-go z rana odjechał do dawniej osady portugalskiej Kilwa Kisiwani, dokąd przybył w południe, 11-go, ztamtąd udał się w dalszą drogę, i 13-go sierpnia dotarł do Lindi. W odnośnym sprawozdaniu „Kolonial-politische-Correspondenz“ czytamy:

„Lindi jest perłą pomiędzy portami całego brzegu. Zatoka 6 morskich mil długa 3 mil szeroka, tworzy tu znakomitą przystań dla największych okrętów. Przy tej zatoce leży Lindi u podnóża 700 stóp wysokich i pokrytych gęstą wegetacją gór. Jest to osada nie wielka, ale pod względem handlowym bardzo ważna. Guma i kość słoniowa przybywa tu w wielkich ilościach od jeziora Nyassy, cała okolica tego jeziora towary europejskie sprowadza z Lindi... Noce są tu bardzo chłodne, przy wschodzie słońca termometr wskazywał tylko 10° R. Pokazało się, że murzyni są zahartowani na chłód, albowiem słudzy nasi spali na gołej ziemi, przykryci tylko lekkimi szatami bawełnianymi. Już dawniej zdziwiło mnie, że murzyni nie używają kołder, gdy w Indyi każdy tubylec posiada kołdrę i dywan, na którym sypia. W trzech następnych dniach odbywaliśmy wycieczki po okolicy. Kraj jest górzysty, uprawiany tylko

w około sióła, wystawionych na wzgórzach. W gęstych zaś zaroślach roi się od słoniów, hipopotamów, nosorożców, zebrow i antilop. Świeżość i tęgość drzew mango, otaczających sióła, świadczą o urodzajności roli, bo drzewa te nie dojrzewają w ziemi niezżyźnej. Co do ludności, to murzyni tutejsi od wychudłych i melancholicznych indyjczyków różnią się dobrą tuszą i wesołością. Ubogich tu murzynów nie spotkasz wcale. Pracując kilka miesięcy, w roku, murzyn na cały rok zaopatruje się hojnie w żyność i szaty, mieszka w schludnych chatach i żywi się maniokiem (korzenie, z których się wyrabia mąka afrykańska), kurczętami, owcami i rogacizną.

Dnia 21 go sierpnia podróżnicy wyruszyli do *Mikindaui*. Osada ta, składająca się z szeregu sióła, leży znowu przy bardzo głębokiej zatoce o wąskim wejściu, a zatem jakby stworzonej na przystań. W ostatnich latach znacznie się podniosła. W r. 1884 cały handel spoczywał w ręku kilku indyjczyków, których liczba od tego czasu znacznie wzrosła, co świadczy, że się handel podnosi. W jednej z dolin w pobliżu osady napotkaliśmy na bujną wegetacją, mianowicie palmy, mango, banany, krzaki bawełny i inne rośliny tudzież drzewa“.

W ostatnim roku te znane dawniej tylko fachowym geografom miejscowości szerszym kołom, przynajmniej w Niemczech, utkwily w pamięci jako główne punkta powstania tubylców przeciwko kompanii niemieckiej. Powstanie wybuchło w Pangani 15-go sierpnia r. 1888 pod naczelnictwem Buszyrego dawnego wodza sułtana Zancybaru, i znacznie się wzmogło, gdy powstańcom udało się 3 września zrabować statek, który przywiózł dla karawan 1000 beczulek prochu. Wprawdzie wysłaniec sułtana generał Matthews (anglik) nibyto przywrócił w Pangani pokój, skoro jednak 23 września opuścił Pangani, Buszyri ponownie stał się panem miasta i okolicy. W dzień przedtem wybuchło powstanie równocześnie w Bagomojo, Kilwie i Lindi. W Bagomojo admirał Deinhard zdołał obronić stacją niemiecką, z Lindi naczelnik stacyi niemieckiej zdołał ująć do Zancybaru. Natomiast w Kilwie naczelnik stacyi niemieckiej, Krieger, zginął przy napadzie powstańców na miasto, a drugi urzędnik, Hessel, widząc stacją zdobytą, zastrzelił się. Odtąd powstanie szybko się wzmagało: w styczniu r. 1889 Buszyri obległ Bagomojo a admirał niemiecki Deinhard widział się zmuszonym zawrzeć rozejm z naczelnikiem powstania.

Tymczasem rząd berliński zażądał od sejmu nadzwyczajnego kredytu i znanego już z kilku wypraw afrykańskich kapitana Wissmanna mianował swym komisarzem w wschodniej Afryce tudzież naczelnym wodzem oddziału wojskowego, który się miał uformować z Sudańczyków, Suahelów i Zulów. Dnia 31 marca kapitan Wissmann przybył do Zancybaru i w pierwszych dniach maja rozpoczął kroki wojenne. Dnia 9 maja zdobył obóz Buszyrego w pobliżu Bagomojo i rozproszył powstańców. Tymczasem w Salaami wystąpił

drugi naczelnik powstańców arab Bwana Heri, który się tytułował sułtanem Useguhi, twierdził, że sułtan Zancybaru nie posiada wcale zwierzchnictwa nad tą prowincją i dlatego traktat, zawarty przez tego sułtana z kompanią, nie obowiązuje mieszkańców. Od Buszyrego, mieszańca, bardzo pochopnego do okrucieństwa, Bwana Heri, arab czystej krwi, różnił się pewną wielkopańską grandezzą i rycerskością, nie dorównując mu zdolnościami wojskowemi. Jeden z oficerów Wissmanna, autor właśnie co wydanego dzieła o powstaniu w kolonii niemieckiej ¹⁾, tak opisuje Bwana Herego w chwili, gdy 3 kwietnia r. b. poddał się w Saadani zastępcy Wissmanna baronowi Gravenreuth: „Bwana Heri jest średniego wzrostu, liczy około 54 lat, twarz jego odznacza się inteligencją, powagą i pewną dumą. W żółto-jedwabnej koszuli, z niebieskim turbanem na głowie, z kosztownym sztykietem za pasem, władca Useguhi sprawiał wrażenie bardzo korzystne. Pomiędzy jego wódzami odznaczał się inteligencją Gomore Jahasi, były szef sztabu Buszyrego. Bwana Heri będzie i nadal rezydował w Saadani. Jak był odważnym i szacunku godnym przeciwnikiem, tak teraz będzie nam szczerym i pożytecznym przyjacielem. Wprawdzie Bwana Heri i Buszyri dążyli do tego samego celu, ale z odmiennych powodów. Bwana Heri jako władca wystąpił w obronie swój niepodległości i swego kraju, poddani walczyli pod jego sztandarem z przywiązania, posłuszeństwa i patriotyzmu. Ponieważ nigdy nie był uznał zwierzchnictwa sułtana Zancybaru, nie czuł się zawartemi przezeń traktatami zobowiązanym. Opór jego był zatem uzasadniony, a stawiał go tylko w własnym kraju i nie splamił się okrucieństwami. Buszyremu natomiast chodziło tylko o własne wyniesienie się“...

Bądź jak bądź, Buszyri nabawił Niemców nie małego kłopotu. Pobity pod Bagomojo, nagle 28 czerwca napadł ważną stacją Mpwapwę, gdzie jednemu z urzędników niemieckich, duńczykowi Nielsenowi własną rękę śmierć zadał. Jednakże niebawem z powodu nieprzyjaznego zachowania się ościennych plemion musiał opuścić tę okolicę. Wyruszywszy 6 września z Bagomojo, Wissmann przybył 29-go września do Mpwapwy i wznosił tam warownię. Tymczasem Buszyri zbliżył się nagle do Daar-es-Sulam. Wyprawa Gravenreutha na obóz Buszyrego w Zumbo (16 paźdz.) nie odniosła skutku. W pierwszych dniach grudnia Buszyri z nowym wojskiem zjawia się w północnej prowincyi Nguru, 8-go grudnia naczelnik niemiecki Schmidt z Pangani napada obóz Buszyrego, który i tym razem zdołał ujsć, ale w dni kilka potem przez kacyka Mohameda Soę wydany został Niemcom, i 15-go grudnia 1889 r. powieszony. Przed śmiercią pono zeznał, że działał z polecenia sułtana Zancybaru,

¹⁾ „Der Aufstand in Deutsch-Ostafrika“ von Kurt Bluemcke, Berlin nakładem A. Tongera, 1890.

który w razie zwycięstwa przyrzekł mu posadę generalnego gubernatora całego wybrzeża. Walka przedłużyła się jednak do wiosny r. b., dopiero 7-go maja Wissmann zdobył Kilwę, a 10-go maja Lindi. Wątpimy jednak, aby to pierwsze powstanie było też ostatniem.

III.

Strefę angielską według traktatu z 1-go lipca ogranicza:

„1) od południa wymieniona powyżej (str. 338) linia od ujścia rzeki Umby do Oceanu aż do tego punktu wschodniej granicy państwa Kongo, który się styka z 1 połudn. szerokości. Góra Msumbiro włącza się do tej strefy;

2) od północy linia od ujścia rzeki Juby do oceanu (na zwrotniku), potem wzdłuż tej rzeki na granicy strefy, zastrzeżonej Włochom w kraju Galla i Abysynii aż do granic Egiptu;

3) na zachodzie państwa Kongo i zachodnie źródła Nilu, jezioro Alberta; wschodnie granice strefy angielskiej tworzy naturalnie ocean pomiędzy zwrotnikiem a $4\frac{1}{2}^{\circ}$ południowej szerokości gdzie się zaczyna strefa niemiecka.

Zmiana, którą co do granic strefy angielskiej wprowadza traktat z 1-go lipca r. b., polega na tém: Dawniej wschodnią jej granicę tworzył brzeg pomiędzy rzeką Umbą na południe a Taną na północy. Rzeka Tana, brzeg i zwrotnik tworzą trójkąt, zamieszkały przez Samalów, Watuów i poddanych sultanatu Witu, który to trójkąt wprawdzie Anglicy zawsze uważali jako należący do swęj „sfery interesów“, ale do którego, przynajmniej w części, także niemiecka kompania rościła sobie pretensye. Ten trójkąt teraz formalnie przyznano wpływowi Anglii. Wschodnia, południowa i zachodnia granica strefy angielskiej są zatem ściśle określone.

Co do północnej granicy, wymieniony powyżej § 2 oświadcza tylko, że styka się ona z południową granicą strefy włoskiej. Celem dokładnego jej oznaczenia toczą się układy pomiędzy Londynem i Rzymem. Mówiąc w nawiasie, jest to niepospolity zakres kolonialnej polityki Włoch, że Anglia przyznaje im ogromną strefę pomiędzy Abyssynią a zwrotnikiem. Jakkolwiek rokowania włosko-angielskie dotąd nie skończyły się, na świeżo wydanych kartach angielskich granicę pomiędzy strefą włoską a angielską tworzy linia najprzód od wschodu wzdłuż równika aż do śnieżnej góry Kenii ($37\frac{1}{2}^{\circ}$ wschodn. długości), tam granica angielska posuwa się dalej na północ aż do $1\frac{1}{2}^{\circ}$ północnej szerokości i dalej w prostej linii dąży na zachód aż do jeziora Alberta.

Już w maju r. 1888 nowo-otworzona „wschodnio-afrykańska kompania angielska“ otrzymała od rządu przywilej założenia nowego państwa. Jej rada zawiadowcza rezyduje w Londynie, znosi się z rządem, może wystawiać twierdze, werbować żołnierzy i żandar-

mów, ustanawiać prawa, pobierać cło, budować drogi, słowem działać niemal niezależnie. Gubernatorem kolonii w porozumieniu kompanii z rządem angielskim świeżo mianowanym został były pułkownik armii angielskiej. Francis de Winton, który przez kilka lat był generalnym gubernatorem wolnego państwa Kongo i na tym urzędzie odznaczył się sprężystością i dokładną znajomością stosunków afrykańskich.

Najważniejszém miastem i portem najmłodszej kolonii angielskiej jest starożytna osada portugalska Mombaza (4° 4' połudn. szerok.), którą Anglicy nazywają Mombas. Na pierwszej swej sławnej wyprawie do Indyi Wasco de Gama zatrzymał się w Mombazie. Tu odgrywają się wypadki drugiego śpiewu „Luzyady“ Camoensa. Pod koniec pierwszego śpiewu najslawniejszy wieszcz portugalski, który doskonale znał te brzegi, bohatera swego prowadzi do Mombazy. W zwrotce 103 czytamy: „Wysepka jest tak blizką stałego lądu, że oddzielają go od niej tylko rzadkie fale. W daleko widném mieście wnoszą się pyszne pałace (licentia poetica!), berło dzierży starzec, a miasto i kraj nazywa się Mombazą“. W r. 1506 dzielny wicekról Indyi Almeida zdobył to miasto, które odtąd stało się główną stacją portugalską na wschodnim brzegu Afryki. W r. 1635 powstała tam potężna, istniejąca dziś jeszcze warownia. Później Arabowie zdobyli te brzegi i rozpowszechnili mahometanizm, który tam wyznawają wszyscy tubylcy nad oceanem także w strefie niemieckiej. Na początku bieżącego stulecia Anglicy przez lat kilka panowali w Mombazie, która w r. 1874 uznała nominalnie władzę sułtana Zancybaru. Obecnie miasto liczy około 20,000 mieszkańców różnych plemion afrykańskich, Arabów, Indyjczyków i Europejczyków, przedewszystkiem Anglików. Ztąd Anglicy zamierzają wybudować drogę żelazną do jeziora Wiktoryi.

Z Mombazu na promie docieramy do bliskiego brzegu, który tu jest płaski, ale powoli się wznosi. Nędzne chaty tubylców osiadły wkoło palmów kokosowych, które czém dalej, tém stają się rzadszemi; całą tam przestrzeń pokrywają krzaki i wysoka trawa. Sam brzeg zamieszkują murzyni plemienia Snaheli, mahometanie. Dalej ku zachodowi sąsiadują z nimi pogańskie plemiona Waników i Wakambów. Od północy do nich przytyka wielki szczep Galla, uważany przez niektórych etnografów za potomków Wandalów, którzy dotarli z Włoch do Kartaginy, nie znikli tam bez śladu, lecz posunęli się ku południowi, w głąb ciemnego kontynentu. Plemie Galla, liczące pono blisko 10 milionów dusz, odznacza się wielką odwagą, ale też skłonnością do rozboju i łupieztwa i stanowić będzie główny czynnik w przyszłej kolonii włoskiej.

Kraj, zamieszkały przez Waników, jest malowniczy, urodzajny i bogaty w drzewo, z którego w Mombazie budują statki; tubylcy uprawiają jednak tylko ryż, kassadę, pieprz, yam, główny zaś przedmiot handlu stanowi bardzo tu częsty kopal. Siola Waników, zwa-

ne „Kayar“, chowają się na wzgórzach wśród lasów, otoczone płotami z cierni. Stojące blisko obok siebie chaty podobne są do naszych stogów siana, składają się bowiem z ustawionych w kształcie piramidy drągów, pokrytych od ziemi do wierzchołka trawą; oprócz niskich drzwi nie mają żadnego otworu, ani okna, ani komina. Na końcu sioła stoi większa chata, będąca równocześnie ratuszem i karczmą. Tu mieszkańcy zbierają się na narady i zabawy, które zawsze kończą się pijatyką. Wanikowie bowiem namiętnie lubują w silnym napoju, zwanym „Tembo“, wyrabianym z orzechów kokosowych.

Każde sioło posiada swego niezależnego kacyka. Ponieważ mężczyźni trwonią czas na pogadankach, tańcach i pijatykach, cały ciężar pracy spada na niewiasty. Na grobach misycnarze oprócz ryżu i kukurydzy, zauważyli napełnione „tembą“ naczynia kokosowe, „ponieważ bez tego tak drogiego Wanikam napoju, żaden z nich nie mógłby się po śmierci obyć“. Zwyczaj ten, przypominający litewsko-pogański obrządek „dziadów“, zaznacza pewną wiarę w nieśmiertelność duszy.

Gdy plemię Waników osiadło na górach i lasach, w dolinach i na polach rozgościli się Wakambowie, częścią wśród granic Waników, częścią dalej ku zachodowi. Język Wakambów należy do tego samego pnia, co narzcza Suahelów i Waników; kraj ich zwany Ukambani rozpościera się siedm podróży dziennych od wschodu na zachód i tyleż od południa na północ, a w niektórych okolicach jest gęsto zaludniony. Jest to plemię silne, wysmukłe, o brunatnej cerze, ale pod względem moralnym stoi jeszcze niżej od Waników, mianowicie jeszcze namiętniej folguje pijaństwu. Z dobrego żelaza Wakambowie wyrabiają topory, noże i miecze, posiadają ogromne stada rogacizny, kóz i owiec, wysyłają do Mombazu bydło, mleko i masło, odbywają dalekie wycieczki handlowe w karawanach po 200 do 500 osób, polują zawzięcie na słonie, bawoły i inną zwierzynę.

W dalszej drodze na zachód eksploratorowie odkryli dwie ogromne góry śnieżne Kilima-Ndżaro, na południowej granicy strefy angielskiej, ale przydzieloną do strefy niemieckiej, i Kenię blisko północnej granicy strefy angielskiej; pierwsza wznosi się do 6000 metrów i tworzy dwa wierzchołki, kopułę Kilima-Ndżaro i śpiczastą piramidę Kimawensi, pokryte śniegami i ukrywające się zwykle po za grubą mgłą. Z świeżo odkrytym na ostatniej wyprawie Stanley'a przy jeziorze Alberta Edwarda Ruwenzorim, wymienione góry potwierdzają hipotezę starożytnego geografą Ptolomeusza o śnieżnych górach w strefie równikowej i obalają całą geografie średniowieczną, która jak wiadomo, twierdziła, że przy równiku pauują piekące upały. Nie wiemy jeszcze, czy i jakimi drogami topniejące na Kilima-Ndżaro i Kenii śniegi zasilają jezioro Wiktoryi, które tworzy wschodni rezerwoar Nilu, natomiast wiemy z ostatniego dzieła Stanleya, że tajemnicze wzbieranie Nilu pozostaje w związku z topnieniem śniegów na Ruwenzorim, który zasila drugie, zachodnie źródło Nilu, jezioro Alberta.

Co do Kilima-Ndżaro, pierwszy ujrzał go z daleka misyonarz Krapf w r. 1849-ym. W r. 1851 misyonarz Rebmann odkrył Kenią. Znany podróżnik niemiecki Von der Decken, wyruszywszy 30 czerwca r. 1861 z Mombasu, 14 lipca zbliżył się do Kilima-Ndżaro: „Jak cztery księżycy w pełni po nad sobą, sterczy w górę olbrzym podobny ogromnej kopule kościoła, pokryty iskrzącą w promieniach słońca białością śniegu“. Do tej strefy śnieżnej dotarł jednak dopiero geolog angielski Thomson, który też pierwszy wszedł na Kenią. Wierzchołki obu gór zwiedził magnat węgierski hr. Teleki. Z zaopatrzoną bogato w wszelkie przybory karawaną 250 nosicieli i żołnierzy, w styczniu r. 1887 hr. Teleki i porucznik marynarki austriacko węgierskiej Hoemel opuścili Zancybar, przybivszy do brzegu Pangani wduż rzeki tejże nazwy wyruszyli w kierunku północno-zachodnim do kraju Tawejta należącego jeszcze do strefy niemieckiej, i ztamtąd 8 czerwca dotarli do zarosłego gęstym lasem podnóża góry Kilima-Ndżaro, na którego wierzchołek weszli dwa dni potem, przebywając liczne strumienie, łąki, lasy, które ustawiają na 2,500 metrów wysokości. Dotarli do 3,700 metrów, podróżnicy stanęli na puszczy skalistej i pokrytej popiołem, co świadczy o wulkanicznych ewolucjach, które podniosły te góry. W wysokości 3,880 m. ustaje wszelka vegetacya. Tu dwa wierzchołki łączy skalisty, imponujący ciszą grzbiet, na którym przenocowali podróżnicy. W nocy termometr, pokryty lodem, wskazywał 11° C. O 6-tej z rana hr. Teleki ztąd sam, po lodzie i śniegu, wszedł na wierzchołek ¹⁾. Następnie karawana zeszła z góry w kierunku północno-zachodnim, zwiedziła jezioro Dżalla i przez dobrze uprawiany i gęsto zaludniony kraj Kikuju w październiku dotarła do góry Keni, na którą hr. Teleki wszedł w korycie rzeki tejże nazwy. W wysokości 4,000 m. zaczyna się tu strefa wiecznego śniegu.

Przestrzeń pomiędzy góramy śnieżnymi a jeziorem Wiktoryą zamieszkuje wojownicze i do łupiestw pochopne plemię Massajów. Jezioro Wiktorya, największe z jezior zwrotnikowych, bo pokrywające 1,400 geograficznych mil kwadratowych, a zatem tak wielkie jak cała Bawarya i Księstwo salcburskie, odkrył 30 lipca r. 1858 angielski kapitan John Speke. Na drugiej wycieczce skonstatował, że Wiktorya za pośrednictwem rzeki Sommersetu jest wschodnim rezerwoarem Nilu (zachodnim jego rezerwoarem jest jezioro Alberta, względnie za pośrednictwem odkrytej przez Stanloya na ostatniej podróży rzeki Semliki, jezioro Alberta Edwarda).

Kiedy Speke dotarł do brzegu jeziora, tubylcy zapewnili go, że sięga ono aż do krańca świata i że nigdy nikt się nie przeprawił na

¹⁾ Porównaj: „Mittheilungen der K. K. Geographischen Gesellschaft in Wien“, tom XXXI, zeszyt 7 | 8 r. 1888.

drugi brzeg. Speke tak opisuje pierwszy widok jeziora: „Z północy ku zachodowi błękitna powierzchnia wody zamyka widokrag; po lewej stronie zieleniły się liczne wyspy o wysokich górach, pokrytych lasami. Gdzieś niedługo pomiędzy wyspami przesuwała się łódź rybaka. Na schylającym się wolno ku jezioru brzegu kłęby dymu nad drzewami zdradzały na wpół ukryte siola. Ku północy, występujący daleko w morze przylądek bronił widoku w dal“. Odkrycie wypływu Nilu tenże podróżnik (27 lipca r. 1862) tak opisuje: „Spostrzegłem, że sędziwy ojciec Nil najniezawodniej wypływa z Wiktoryi i że to jezioro, jak się domyślałem na mój pierwszej podróży, jest ogromnym źródłem potężnej i tajemniczój rzeki. Po porogach 4 m. wysokich, 130 do 160 m. szerokich, fale uchodzą z jeziora. Był to widok nadzwyczajnie zajmujący. Grzmot wody spadającej w kaskadach; rybacy, którzy osiedli na skale w środku koryta, śpiące gnuśnie na piaszczystym brzegu krokodyle, prom, przesuwany się powyżej wodospadu od brzegu do brzegu; stada wołów, pijących wodę—wszystko to składa się na obraz najciekawszy. Ochrzciliśmy wodospad nazwiskiem Ripona, prezesa londyńskiego towarzystwa geograficznego, zaś odnogę jeziora, z którego wypływa Sommerset, nazwałem kanałem Napoleona. Sommerset jest na wpół jeziorem, na wpół rzeką, w środku woda kryształowo-przezroczysta, brzegi zarosłe gęsto trzcina“. Dalej brzegi wieńczą rozległe lasy papirusu, pełne hipopotamów.

Najdokładniejsze szczegóły o jeziorze i wielkim państwie Ugandzie, które się rozpościera na jego północnych brzegach, zawdzięczamy Stanleyowi. Na swój drugiej wyprawie, podjętej celem zbadania biegu rzeki Kongo, sławny podróżnik 27 lutego r. 1875 dotarł do południowego brzegu Wiktoryi, od 8 marca do 5 maja objechał jezioro dokoła, złożywszy wizytę „cesarzowi“ Ugandy, Mtesie, rezydującemu w Rubadze na północnym brzegu. Następnie zabrawszy swą karawanę, pozostawioną w Kagehi, na południowym brzegu, dn. 22 sierpnia powrócił do cesarza Mtesy, towarzyszył mu na wielkiej wyprawie wojennej przeciwko plemieniu Wawuma, mieszkającemu przy porogach Ripon, i dopiero w listopadzie wyruszył w dalszą drogę na zachód. Pobyt w Ugandzie z niepospolitym talentem opisał w pierwszej części pomnikowego dzieła „Przez ciemny kontynent“, (1878 2 tomy).

Dnia 5 kwietnia „Kaballa“ Mtesa bardzo ceremonialnie przyjął Stanleya w swym obozie na brzegu jeziora. Siedzącego na tronie cesarza otaczał liczny dwór, składający się z generałów, pułkowników, kacyków, kucharzy, rotmistrzów, paziów i—katów. Kiedy Stanley, szeroką ulicą, przy której wojsko tworzyło szpaler, zbliżył się do cesarza, ten powstał i zbliżył się do niego. Wtedy powstał także siedzący lub klęczący dokoła dworzanie. „Cesarz chudy, wysoki mąż o gładkiej twarzy, wielkich oczach, jędrnej postawie,

w czarnej sukni na śnieżnobiałej, opasanej złotym pasem koszuli, uściskała serdecznie rękę moją i ukloniwszy się zgrabnie: wskazała mi krzesło. Czekałem aż sam usiadł, potem zająłem wskazane mi miejsce. Teraz uważnie wpatrzył się we mnie, uczyniłem to samo, bo był dla mnie nie mniej ciekawą osobistością, jak ja dla niego. Z uwag, które wynurzył w obec dworzan, domyśliłem się, że spostrzegł, iż jestem młodszy i niższy od Spekiego, ale lepiej ubrany. Wrażenie, jakie sprawił na mnie, było, że się bliżej zapoznamy, że może go nawrócę i zrobię dobroczyńcą Afryki. W kilka dni potem Stanley zaznaczył w swym pamiętniku: „Widzę, że Mtesa jest potężnym monarchą, który wywiera wielki wpływ na sąsiadów. Widziałem dziś, jak przed nim klęczeli i oddawali mu harcz posłowie wojowniczego Mankoronga, króla Usui, tudzież Miramba, owego strasznego upiuru, który trwogą napelnia wszystkie umysły w Unjamwezi (na południowym brzegu Wiktoryi). Widziałem przeszło 3,000 wojowników Mtesy na wpeł cywilizowanych, tudzież odzianych w bogate szaty, 100 kacyków, stojących mniej więcej na tym samym stopniu oświaty, co Zanzycbarczycy, i z zdumieniem spostrzegłem ład i stan prawny, do jakiego zdolny podnieść się kraj na wpeł cywilizowany“...

Czytelnicy, którym te dziś bardzo doniosłe kwestye afrykańskie bliżej interesują, albo znają od dawna dzieło Stanleya, albo też nie omieszkają odczytać tam nadzwyczaj plastycznego i malowniczego opisu Ugandy,—który, mówiąc w nawiasie, porównany z opisem Spekiego i późniejszych podróżników wydaje nam się zbyt optymistycznym. Spekę Mtesę opisał jako próżnego, zmiennego i upartego młodzieńca i krwi chciwego despotę; Stanley ujrzał w nim męża, „spokojnego i wytrawnego, który w swych zapytaniach i odpowiedziach zaznaczał więcej inteligencji, niż którykolwiek władca afrykański“, spotkany przez sławnego podróżnika. Mtesa był z rządu 35 władcą Ugandy, co świadczy o wyjątkowej starożytności tego państwa afrykańskiego. Ludność Ugandy Stanley obliczał na 3 miliony dusz; w strefach gdzie często sioło o kilkunastu strzechach tworzy niezależne „państwo“, Uganda zasługuje więc na nazwę wielkiego mocarstwa. Ze mieszkańcy Ugandy, którzy się zowią Waganda, stanęli na wyższym szczeblu cywilizacji od swych czarnych sąsiadów, zawdzięczają to wpływom arabów. Uprawiają kartofle, banany, i t. d., nawet tytoń, czem trudnią się wyłącznie niewiasty. Mężczyźni staranniej od innych plemion, budują czyste i przestronne chaty w kształcie stożka, podzielone na 2 izby, otoczone ogródkami wśród gęstego płotu, odważnie polują na słonie, łowią ryby i odznaczają się męstwem w wojnie. Stolicą staje się zawsze ta miejscowość, gdzie rezyduje „cesarz“. Gdy się przeniesie na inne miejsce, stolica znika bez śladu. Tak z dawniej stolicy Bandy, gdzie Speke i Grant odwiedzili Mtesę, nie pozostała ani jedna chata. Możni

oprócz domów w rezydencji cesarskiej, posiadają zagrody na wsi ¹⁾. O włościanach Ugandy Stanley nieco przesadnie zauważa, że urzęcystwili „ideał szczęścia, za którym ubiegają się ludzie“...

Nadzieje, które sławny podróżnik pokładał w Mtesie, nie dopisały. Po wczesnej śmierci tego cesarza zasiadł na tronie syn jego Mwanga, a podburzony pono przez Arabów, rozpoczął krwawe prześladowanie licznej już kolonii chrześcijańskiej do której należało kilku wybitnych „generałów“ i dostojników dworu. Anglikańskiego biskupa Hanningtona, który z Mombasu przybył na inspekcję, kazał ściąć. W najnowszym swém dziele: „Przez najciemniejszy kontynent“ (Londyn, 1890) Stanley przytacza następujące szczegóły: Cesarz Mwanga postępował sobie coraz okrutniej. Wreszcie poddani jego mahometafscy porozumieli się z chrześcianami, aby srogiego tyrana strącić z tronu. Chrześcianie dla tego byli zmuszeni połączyć się z mahometanami, nawróconymi przez handlarzy arabskich, ponieważ Mwanga nie tylko dopuszczał się zabójstwa na pojedynczych chrześcianach, lecz powziął zamiar zupełnie ich wytepić. W tym celu mnóstwo kóz kazał przewieść na wyspę w jezioro, następnie chrześcianom rozkazał chwycić je. Gdyby byli uczylni zadość temu wezwaniu, król przewiozłby ich na wyspę, byłby potem odpłynął z wszystkimi czółnami swemi a chrześcianie, spożywszy kozy, byłiby w końcu wymarli z głodu. Atoli jeden z urzędników dworskich plan ten zdradził naczelnikom chrześcian, którzy przeto nie wpadli w zasadzkę. Połączone dwa stronnictwa mahometan i chrześcian niebawem strąciły Mwangę z tronu. Mwanga na czółnach odpłynął do południowego brzegu jeziora Wiktoryi i znalazł przytułek w katolickiej misyi francuzkiej w Bukumbii, wydalonej dawniej przezeń z Ugandy.

Tymczasem połączone stronnictwo mahometan i chrześcian w miejsce Mwangi brata jego Kiwewę obwołały królem. Jednakże mahometanie natychmiast nowego króla podźęgali przeciwko chrześcianom, a gdy to nie odniosło zamierzonego skutku, podnieśli rokosz, zabili króla i brata jego Karemę osadzili na tronie. Ten panował w Ugandzie na wiosnę r. 1889-go, gdy Stanley z karawaną swoją, wracając z Eminem, zbliżył się do jeziora Wiktoryi. Pobici przez mahometan w krwawej bitwie, chrześcianie schronili się do Ankori nad jeziorem Alberta Edwarda i tam wzywali Stanleya do osadzenia nawróconego Mwangi na tronie Ugandy. Stanley, spiesząc do brzegu, nie podjął się tej wyprawy, ale Mwanga wkrótce powrócił na tron Ugandy. Dnia 4 paźdz. 1889 r. w pobliżu stolicy Rubagi wywiązała się walna bitwa, w której Mwanga, wsparty przez angielskiego kupca Stokesa, odniósł stanowcze zwycięstwo nad Ka-

¹⁾ Porównaj Wilson i Talkin: „Uganda i Sudan egipsk.“, Stuttgart r. 1883.

remą i jego mahometańskimi sprzymierzeńcami. Pokonany Karema uszedł do północnych stref Ugandy, tak katolicycy, jako też anglikańscy misjonarze powrócili do Ugandy i naczelnie urzędy rozdzielili pomiędzy siebie. Niebawem jednak wywiązały się spory pomiędzy anglikanami a katolikami, z których nieomieszkali skorzystać mahometanie. Stosunki zatem w Ugandzie są niepewne.

Bądź jak bądź, kraj ten stanowi główny filar najnowszej kolonii angielskiej, zwłaszcza, że aż do zachodniej jej granicy, plemiona Karagwe i Ankori uznawają zwierzchnictwo Ugandy. Tylko zuchwały kacyk Unjoru nad brzegiem Alberta, Kabrega odzyskał niezależność. Za pośrednictwem więc Ugandy Anglicy utwierdzą łatwo swą władzę na zachodzie swjej strefy. Uganda zaś nie zdoła żadną miarą oprzeć się wpływowi angielskiemu, skoro wybudowaną będzie projektowana droga żelazna od Mombasu do jeziora Wiktoryi, co pono nastąpi niebawem.

Ostatnią wyprawę od brzegu jeziora Wiktoryi przez strefę angielską odbył dr. Peters, który temi dniami powróci do Europy. Nie posiadamy jeszcze dokładnego opisu tej wyprawy, podjętej celem oswobodzenia Emina w chwili, kiedy już dotarł do niego, o czem wtedy jeszcze nie wiedziano, Stanley. Peters w swem przedsięwzięciu doznawał przeszkód tak ze strony niemieckiego, jako też angielskiego rządu. Jednak 25 lipca r. 1889 wyruszył z Witu na zachód. Karawana jego składała się tylko z 25 Somalów, 28 nosicieli, 8 sług, 16 wielbłądów, 8 osłów, 1 konia 4 psów i 6 czółen, które na rzece Tanie wiozły 80 ładunków zboża. Postępując nad brzegiem Tany przez puszcze, karawana 21 września dotarła do Oda-Baro-Kuna, gdzie założył stacyę i przedwcześnie wywiesił sztandar niemiecki (Tana wtedy tworzyła jeszcze północną granicę strefy angielskiej). W listopadzie Peters przybył do góry Kenii, 7 stycznia r. b. do jeziora Beringa, gdzie odpoczął 6 dni. Ztąd, maszerując w kierunku południowo-zachodnim, dotarł do jeziora Wiktoryi przy zatoce Kawirondo (na wschodnim brzegu), potem maszerując nad brzegiem jeziora na północ, przysbył do Ugandy, gdzie zawarł „przyjaźń krwi“ z cesarzem Mwangą i „uzyskał dla Niemców ważne przywileje“ (?), które teraz spadną na Anglików. Dowiedziawszy się o powrocie Stanleya i Emina, Peters następnie przeprowił się czółnami przez jezioro Wiktoryi, i już 13 kwietnia stanął w Ukemii w kraju Usakama na zwykłej drodze karawan do Bagomojo, dokąd przybył w czerwcu r. b. Opis tej wyprawy niezawodnie przyczyni się nie mało do wyjaśnienia rzeczywistej sytuacji w Ugandzie, jako też topografii i etnografii bardzo znacznej części strefy angielskiej.

Pessimizm w Niemczech.

Przez

Wojciecha hr. Dzieduszyckiego. *)

Na początku bieżącego stulecia Niemcy nie były jeszcze t \acute{e} m pot \acute{e} żnym w żelazny pancerz uzbrojonym mocarstwem, przed któr \acute{e} m dr \acute{z} ą inne narody: nie były jeszcze krajem, pokrytym rojem fabryk, zaludnionym przez miliony socyalistów, łak \acute{n} ących szybkiej zmiany stosunków społecznych w nadziei, że doczekają się chwili, która będzie dla nich rajem na ziemi. Niemcy były ju \acute{z} w \acute{o} wczas krajem gło $\acute{s$ nym z nauk, ale krajem cichym, spokojnym, zajmującym się nadzwyczaj mało polityką, krajem, w którym ka \acute{z} dy wiedział wprawdzie o t \acute{e} m, że jest Niemcem, ale pamiętał bardziej o t \acute{e} m, że jest Sasem, Hessem, Witemberczykiem, albo mieszkańcem jakiego \acute{s} innego państewka, które mienił by \acute{c} swoją Ojczyzn \acute{a} ; krajem, w którym nawet mieszczanie Magdeburga, Frankfurtu, albo innego jakiego wielkiego miasta w łonie wielkiej niemieckiej Ojczyzny, swoim republikańskim patryotyzmem miejskim o zupełnie innym zakroju od republikanizmu nowożytnego, wysoko cenili i kochali swoją Ojczyznę miejską, wprawdzie nie tak bohatersko, jak starożytny Grek lub Włoch średniowieczny, ale z całą rzewnością mieszkańców właściwych, nie pruskich ani austryackich Niemiec.

Wtedyto Niemcy szukały dla siebie chwały w filozofii. Nie czyny wojenne, ni świetność dworów miały by \acute{c} źródłem szczęścia, tylko umysłowe nasycenie, przejrzenie racyi bytu i przyczyn istnienia ka \acute{z} dego człowieka z osobna i wszechświatu w całości.

Dwory opiekowały się filozofią, bo widziały w niej bardzo niewinne zajęcie, które, tak jak w Niemczech by $\acute{ł}$ o uprawiane, nie mogło podstawom tronów zagra \acute{z} ać.

*) Odczyt, który tu drukujemy, miał p. Wojciech hr. Dzieduszycki we Lwowie dnia 8-go marca 1890 r., cko \acute{z} ia \acute{z} rozbiera kwesty \acute{a} , przedstawian \acute{a} niedawno w „Bibl. Warsz.“ (1886. T. 2. str. 1. 188. R. 1887. T. 1. str. 167. 334. T. 3. str. 341. T. 4. str. 25), przez J. E. Lipnickiego; odznaczaj \acute{a} c się jednak samodzielnośc \acute{a} i bystrośc \acute{a} spostrzeżeń filozoficznych, zasługuje na pilniejsz \acute{a} uwagę Czytelników „Bibl. Warsz.“. *Redakcy \acute{a} .*

Duchowieństwo protestanckie i katolickie lękało się wprawdzie czasem tych badań, pocieszało się jednak myślą, że to tylko profesorów i studentów zajęcie, którego ani wszechmocna szlachta niemiecka, ani lud nie podziela, które tedy daje tylko zabawkę duchową.

Zresztą filozofia ówczesna była optymistyczna. Niemcy w ogóle były zadowolone ze swego ówczesnego ubóstwa i prostoty swego życia patryarchalnego, a zatém i filozofowie ich mówili, że wszystko na świecie dąży ku lepszemu, że świat rozwija się jako myśl bóstwa jakiegoś, nieodłącznego od istoty rodzaju ludzkiego, i dążącego do ciągłego szczęścia i ciągle urzeczywistniającego się w dziejach cnoty, i bywali tak ucziwymi owi filozofowie ówczesnych Niemiec, na cały świat głośni, że myśleli, iż komu poszczęści się w boju, kto kopytem swego konia rozorze niwę dziejową, ten już pewnie ma słuszość, jest z pewnością mądry, cnotliwy i dobry, skoro Bóg, który się jawi w dziejach, jemu oddał w rękę palmę zwycięstwa.

Ustrój społeczeństwa ówczesnego, mimo uczoności swojej, patryarchalnego i naiwnego, gruntował i umożliwiał tę filozofią.

Niebezpieczeństwo groziło już jednak Niemieckiemu optymizmowi.

Istniało liczne grono patrycyuszów miejskich, którzy przesiąkli francuzką myślą, francuzką krytyką, francuzkiem przeczeniem wszystkiemu, którzy się naczytali książek encyklopedystów francuzkich, i potrafili wszystko zaprzeczyć, a nie w to miejsce pewnego nie postawili!

Z takiej to rodziny patrycyuszowskięj wyszedł mąż, którego Niemcy dziś po Getem największym nazywają prozaikiem, i którego stawiają wysoko w swojej Walhalli, który jednak długie życie przeżył w zupełnem zapomnieniu. Był nim Artur Schopenhauer. Patrycyusz frankfurcki, wysoce wykształcony, z łona rodziny sceptycznej, przypatrywał się już za młodu sceptycznie straszny burzom, które szalały przed jego oczyma. Jak Faust patrzył obojętnie na walki królów z narodami, i za lat swoich pacholęcych widział epopeję Napoleońską, wtenczas już jak się zdaje, bez zapalu dla Niemieckiej sprawy.

Po tych burzach obejrzał się we własnym swym domu, i ujrzał niezgodę małżeńską między ojcem naiwniejszym, a zdolną, po francuzku wykształconą, ale też niecnotliwą wcale matką. Staral się w skutek tego wyrwać się z domu i schronił się na obczyznę do Włoch, których cuda okiem i uchem podziwiał.

Powróciwszy następnie z Italii, osiadł w Frankfurcie--i pisał.

Pisał książki, które sam wydawał, ale których nikt nie kupował.

Został hofratem jakiegoś drobnego państwa niemieckiego, a choć wiedział o tém, że po za granicami jego miasta nikt o nim nie wie, i choć treścią pism jego wszystkich były słowa biblijnego mędra:

„Próżność próżności, wszystko próżność“, to jednak, gardząc wszelką próżnością, był Szopenhauer niepospolicie próżnym, i bodło go to i do rozpaczki prawie doprowadzało, że słowa jego, o których myślał, że są dla całego świata zbawiennymi, że są niepospolitego geniusza dowodem, przez społeczeństwo nie były rozchwytywane. Trzeba było, żeby się wiele w Niemczech zmieniło na to, by nauka jego stała się popularną.

Oczywiście, że nie myślę tu streszczać części ściśle naukowej tej filozofii, którą zowią pesymistyczną. Nie tu miejsce, żeby o tém mówić, i czasoby mi na to nie starczyło w ciasnych ramach odczytu. Pokrótkę tylko powiem, że zasadą jego filozofii było, iż istnieje w wszechświecie jakaś wola głucha i samą siebie nieświadoma, wola, która dąży do stworzenia bytu najróżnorodniejszego, ale, która sama nie wie, po co to czyni, — wola, która się w każdej istocie pojedynczej urzeczywistnia i sprawia, że ta istota łaknie istnieć, łaknie być na swój sposób, i uważa instynktowo za swe największe nie-szczęście, za nieodwrotną okropną katastrofę, to, żeby przestała istnieć, i pragnie dla siebie, potracając inne istoty, wyrobić jaknajwiększe miejsce w wszechświecie, tak jak człowiek w natłoku szuka miejsca dla siebie, popychając sąsiadów.

Nie tylko żywe istoty są tej woli wyrazem; także i kamień, lecący w pewnym kierunku, jest wyrazem tej woli, która go w tym właśnie, a nie w innym kierunku popycha.

Samolubstwo i ślepe przeznaczenie, przez rodzaj istoty wskazane, jest istotą wszelkiego bytu; musi zatem istnieć walka, walka jałowa, która się musi skończyć śmiercią, a nie daje ani chwili szczęścia, rozkoszy lub używania.

Każde stworzenie bywa ciągle kuszone przez nadzieje czegoś, co je zadowolni, ale w chwili, gdy z wielkim trudem ten cel upragniony osiągnęło, spostrzega, że obietnica była kłamstwem, a po jednej walce skończonej rozpoczyna drugą.

Tak dzieje się i w świecie martwym. W ten sposób Szopenhauer opisał to prawo wiecznej, nieustannej, a morderczej walki, zanim kosmogoniczne konsekwencye z tego prawa wyciągnął Darwin.

Ale ta walka staje się dopiero śmiertelnie zabójczą, dopiero okropną i tragiczną, gdy się wcieli w człowieka. I tu znów, uprzedzając Darwina, nie we wskazówkach, ale w samej ostatecznej konkluzji, mniemał Szopenhauer, że człowiek jest ostatnim wyrazem siły tej głuchej woli tworzącej w wszechświecie, wyrazem, który się powoli doskonalił, wyrazem, do którego ta siła w swoim rozwoju wreszcie doszła. On jest jej tryumfem, ale równocześnie jej potępieniem.

Człowiek się rodzi, bo chce istnieć. Błądzi i myli się, sądząc, że to istnienie, do którego przyszedł już przez wolę nieświadomą, ma się stać dla niego źródłem wielkiego szczęścia. Poetów tylko jest mrzonka, jakoby dzieciństwo było wiekiem szczęścia dla czło-

wieka. W dzieciństwie wieczny gwałt zadaje się dziecku, własnej woli pozbawionemu, przymuszając je do najniaturalniejszej pracy czytania i pisania. Wzdycha ono ciągle za chwilą, w której wreszcie stanie się panem własnej woli i w której wreszcie rozpoczną się dla niego nieustanne wakacje. Przyjdzie ta chwila, a okaże się, że rzeczywistość życia skazuje człeka na długą kaźń, do szkolnej zupełnie podobną i na ciągle trudy, gorsze o tyle, że połączone z wielką odpowiedzialnością. I znowu przychodzi złudzenie, wywołane przez wolę, chcącą przezeń rodzaj ludzki utrzymać. Wyda się młodzianowi, że niebianką jest jakaś dziewica, wyda mu się, że pozycie z nią małżeńskie będzie dniem ciągłego szczęścia, którego różowym braskiem jest czas pierwszej miłości. Ale o małżeństwie miał Szopenhauer już najbardziej ujemne wyobrażenie. Małżeństwo według niego jest ciągłą męką i nieustanną walką, a dla pań był ten filozof już tak niegrzeczny, że chyba słów jego nie powtórzę tutaj.

Złudzenie życia niszczy indywidualne szczęście. Człowiek widzi tylko czasem przez szkło illuzji przyszłość, jakoby była przyjemną. On widzi tylko w przyszłości marną nadzieję zadowolenia i zwykle męczy się aż do końca, szukając dobrobytu, sławy, stanowiska, powódzenia wszelakiego i zawsze i nieodmiennie znajdzie u końca drogi czczość, boleść, walkę, przewyższającą odniesioną przez nią korzyść, troskę o jutro i obawę nierozumną śmierci, nierozumną, bo śmierć byłaby uwolnieniem od cierpień, gdyby można przypuścić, że ten chwilowy rozkład chemicznych części człowieka jest potępieniem i umorzeniem woli do bytu. W to wszelako nie wierzył Szopenhauer i owszem powiada, że ta wola z pewnością na nowo wskaże człowiekowi życie, i uczyni to tysiącokrotnie, jak długo ona sama w zarodku nie będzie zniszczona. Myśliciel, którego paradoksalne nieraz twierdzenia nabywały dziwnego uroku przez język, we wszystkiem różny od języka dotychczasowych filozofów niemieckich, przystępował do rady, jakby to można zwalczyć w sobie tę wolę do bytu i dobić się, już nie szczęścia, ale tego, by cierpienie ustało?

Otóż twierdził, że wyjątkiem, ekscypcą niejako od prawa powszechnego walki i samolubstwa, jest to, co u człowieka zowie się geniuszem. Politykom wielkim odmawiał Szopenhauer prawa do tej nazwy, także i wynalazcom machin rozmaitych. Geniusze u niego, to byli tylko artyści, filozofowie, założyciele religii—święci jakiegokolwiek religii na świecie. Byli to ludzie, za pomocą których ta ślepa, głucha wola wreszcie sama się niszczy.

Pierwszym środkiem geniusza: sztuka albo nauka, bezinteresownie traktowana, na wzór sztuki; nauka, której celem jest tylko oglądanie piękności, po odkryciu tajnych związków między jedną a drugą formą istnienia, między jednym prawem a drugim, oglądanie dzieła sztuki. Przy czytaniu poematu zapomina człowiek zupełnie o sobie samym, zapomina o czasie, który płynie w dniach jego ży-

wota, o społeczeństwie, w którym żyje, o celach i zadaniach dnia dzisiejszego. Ze sztuk, muzyka najgłębiej przemawia do człowieka, ona wchodzi niejako w samą istotę człowieka, i ona sama porusza tę głuchą wolę istnienia; dlatego taką sprawia rozkosz bezmierną dźwięk muzyki, ale w niej nie ma jeszcze rozwiązania zagadek, to dopiero przygotowanie.

Dalszym krokiem ku celowi jest litość: nie miłosierdzie, nie miłość bliźniego, lecz litość! Litości użytek leży w dwóch rzeczach: raz, że człowiek, litując się, wychodzi sam z siebie i współczuwa, cierpiąc z innymi; powtóre, że człowiek, litując się, przekonuje się o tém, że życie w samęj istocie swojej jest rzeczą złą. Rozpatrując się wśród cierpień rodzaju ludzkiego, widzi, że wszystkie dążenia, pragnienia i ulitowania, podejmowane przez ludzi, są ciągiem złudzeniem. Litością tedy, w której się ćwiczyć należy, można dojść do prawdziwej filozofii, a tą filozofią i jedynie prawdziwą, według Szopenhauera, religią, jest zniechęcenie zupełne świata, odwrócenie się od niego, zabicie w sobie woli do bytu! Czy samobójstwo? Nie wiem.—Czy przez wstyd fałszywy wobec ludzi, czy przez nieświadomość, czy wreszcie przez jakieś przeciwieństwo pozostałości z wychowania chrześcijańskiego, jakie odebrał Szopenhauer, odradzał samobójstwa. Jaką więc radą? Chyba żyć wśród świata, a nie widzieć nic, albo widzieć w nim tylko otuchę zmysłową; albo w samotności umrzeć śmiercią głodową, albo zwyczajem indyjskim sięść na ziemi, zaprzeć się w nicosć i zapomnieć nawet o tém, że się zapomina.

Jakżeż miały Niemcy przyjąć ten system filozoficzny? Jak miały Niemcy ówczesne, tak dumne z nauki swęj, z literatury, z poczynającej się sztuki, Niemcy tak szczęśliwe tą myślą, że się już miały za naród wybrany nowej cywilizacji, przyjąć naukę, która mówiła, że to wszystko marnosć i nicosć? A potem, czy prawdą było, że Niemcy ówczesne były nieszczęśliwe wśród naszego świata? Stary ojciec rodziny, który otoczony potomstwem, cieszył się, iż trzeci z rzędu syn zdał już doktorat filozofii, nie czuł się bynajmniej nieszczęśliwym, owszem posiadał już szczęście. Posiadał je, widząc, jak każdy z synów jego bądź to w skromnym zawodzie, w prostocie domowej przodków wiedzie życie, albo dobiwszy się nowej wiedzy, pewnej czci i skromnego bardzo dostatku, mienił to już bogactwem, nad które nie posiadał większego, a sławą już być może mienił reputacją powiatową. Nikt wówczas nie mógł się przejąć tą filozofią rozpaczliwą, nie mogli ję przyjąć ani mężczyźni, ani kobiety, naiwniejsze od mężczyzn, a szczęśliwe nie tylko prywatnem szczęściem, nie tylko domowym spokojem, ale także i tą radością, którą w nie wpajało przekonanie, że w obec Boga i ludzi tak sumiennie spełniały swoje obowiązki niemieckiej matki lub dziewicy, że dalszych już pragnień chyba mieć nie powinna.

Ale zmieniły się czasy jeszcze za życia Szopenhauera. Przyczyny umysłowe, ekonomiczne i polityczne powoli to szczęście Nie-

miec zamieniły w coraz głośniejszą chwałę bez szczęścia. I tak najpierw naiwność umysłowa, prostota patryarchalnego życia, przywiązanie do tradycji lokalnych i do rodzinnego szczęścia powoli z dniem każdym słabnąc i znikając poczynają; filozofia niemiecka, jakkolwiek dotąd zawsze jest optymistyczną, powoli zaczyna wątpić o wszystkim i każdej rzeczy przeczyć, a skoro coś postawił jeden filozof, wnet zapewne stanął filozof drugi, aby to zwalić. Zatem myśliciele sami między sobą mieli sposobności dosyć klócić się o *Ja* i nie—*Ja*, a oprócz nich nikt wprawdzie tych sporów i kłótni nie rozumiał, pomimo to jednak okruszyny z tych myśli, niezrozumianych przez społeczeństwo, do tego społeczeństwa przechodziły, nie dawały mu wprawdzie nic, ale rodziły w nim niepokój. Żądza rozszerzania oświaty do wszystkich warstw społeczeństwa, na wsi wprawdzie nie tak dalece zmieniła usposobienie i myśli, ale w miastach budził się niepokój tém silniej u klas, które widziały coraz bardziej wzrastające bogactwa poszczególnych finansistów i przedsiębiorców, a z drugiej strony widziały także życie swoje, może nie zawsze absolutnie nędzne, ale trudne bardzo, pracowite, bez chwili wytchnienia, bez nadziei żadnej lepszego bytu ziemskiego i także bez nadziei religijnej. W nich rodziło się niezadowolenie gorzkie, które w nich może było najnaturalniejsze, ale rzecz dziwna: u klas, które przemysł ich czynił z dniem każdym majątniejszymi, większego zadowolenia także nie było.

Rzucając się w wir wielkomięjskiego życia, w którym każda jednostka znikająca, jako atom, unikając coraz bardziej związków rodzinnych, żyjąc coraz bardziej tylko dla siebie, coraz bardziej spozostregano, że w duszy pojedynczego człowieka działo się to, co opisał Szopenhauer. Szukał zysku, dobrobytu, pozycyi, w drodze swojej nie miał względu na żywych ani umarłych, nie miał miary ani kresu dla swoich celów, będąc już sławnym w swojej prowincyi, był nierad, że o nim nie wiedzą jeszcze w Europie, dziwił się, że to żadnej nie spowodowało zmiany, ani w krążeniu krwi jego, ani we śnie, ani w apetycie, ani w zadowoleniu codziennem.

Był zamożnym w swojej gminie, ale widział w Berlinie majątniejszych, więc trudił się znowu, pracował dalej i nużył, wzmagając bogactwo Niemiec, ale nie wzmagając szczęścia.

A wreszcie i cały naród filozofów, niezadowolniony z tego, iż był szczęśliwym, z dniem każdym potężniejszym i coraz bardziej wolnym, bo absolutyzm dawny wszędzie już kruszał, zapragnął być pierwszym między narodami, a tu chęć i żądza posiadania coraz nowego i większego znaczenia i szczęścia, sprawia, że Germania ubrała się w pancerz, którego ledwie dźwigać jest zdolna i wyprężyła wszystkie swe siły umysłowe i fizyczne do najwyższych granic. I oto człowieka—ledwie ujrzy świat boży, państwo chwyta go w swe ręce, dążąc koniecznie do supremacyi, przykuwa go do ław szkolnych, na nienaturalne istotnie wystawia wysiłki, potem zaraz w ciężki

ubiera karabin, a później jeszcze ciągle trzyma w wirze najrozmaitszych a ciężkich obowiązków, ciężarów, pragnień i politycznie ułudnych nadziei, które do żadnego szczęścia nie prowadzą, i których zawodność na każdym kroku potakuje słowem Szopenhauera.

Co nie było prawdą w społeczeństwie patryarchalnym, w społeczeństwie, poprzestającym na małym a szukającym szczęścia w radości umysłowej i w moralnej ciszy i w poczuciu obowiązków, to się stało prawdą w dziesięćkroć bogatszym i uczeńszym, wojskowo zwyciężonym i potężnym społeczeństwie niemieckim, które po każdym kroku, uczynionym naprzód, zapytuje się, a pocóż te trudy? a do czego mnie to wiedzie?

I wtedy powstał w Niemczech nowy myśliciel Hartmann, który do dziś żyje i pisze. Gdy pierwszy raz wziął za pióro, już rozgłos Szopenhauera był się rozszerzył po Niemczech, już każda dziewczyna niemiecka była przekonana, iż należy zapoznać się z tą filozofią rozpaczy i mówić o tym, że na świecie żyć nie warto, już każdy młodzieniec niemiecki szukał źródła wiedzy albo w Szopenhaueryzmie, albo w naukach, które jakkolwiek nie w ostatnich wnioskach ale w swojej treści i argumentach były mu pokrewne.

Jeśli inni pisarze i filozofowie niemieccy większy mają rozgłos po za granicami ojczyzny, to Szopenhauer i Hartmann są tymi, których we własnej ojczyźnie czytają.

Hartmann przyjął całą pesymistyczną Szopenhauera filozofią, zastrzegł się tylko w niektórych punktach, ściśle naukowych, o których tu mówić nie będę.

Różnica praktyczna między nim a Szopenhauerem jest ta tylko, że Hartmann twierdzi, iż ta wola nieświadoma siebie a jednak dziwnie mądra i wymyślna w środkach, dąży do pewnego, oznaczonego celu, i że stara się cel ten odgadnąć. A tym celem nie mogło być co innego, jak unicestwienie, ale już nie jednostki, lecz całego społeczeństwa ludzkiego i czegoś więcej jeszcze!

Ta wola, to wielkie Nieświadome, czyli jak Hartmann mówił, w późniejszych pismach, Bóg, przez jakieś cierpienie spowodowany, pragnął się pozbyć tego cierpienia, i rozpoczął mękę swoją, mającą go uleczyć, przez byt wszechświatów, i leczy się cierpliwie a nadzwyczaj mądrze z jakiegoś pierwotnego błędu, z jakiegoś grzechu pierworodnego, wytwarzając w wszechświecie byt i życie organiczne, coraz bardziej doskonaląc rodzaje coraz sztuczniejsze, i coraz bardziej udoskonalając maszynę życia; powoli zaczęła się w istotach żyjących budzić jakaś myśl, poznanie, rozum, które nareszcie widniej zjawily się w człowieku. I dziwna rzecz, samo cierpienie wszechświata dopiero staje się świadomym u człowieka. Cierpiący człowiek dopiero jest celem stworzenia, dlatego, że jemu piekielnie źle na świecie!

Kamień chyba nie czuje, roślina ma czucie, ale głuche zupełnie, owad tyle wie, co niemowlę w najgłębszym śnie pogrążone,

nawet ssaki i ptaki choć mają chwile cierpienia, cierpią mało, nie świadome przeszłości i przyszłości. Co więcej, w tym najgorszym ze światów, w świecie ludzkim żyją miliony ludzi w szczęściu, jeżeli tylko ci ludzie żyją w głupim zadowoleniu, niegodnym imienia człowieka, albo jeśli wierzą, że istnieją jakieś pozytywne dla nich prawdy i jeśli poprzestają na tém, co mają, byleby nie cierpieli głodu, nie łaknęli i nie marzli. Albowiem tacy bezrozumni ludzie cięższą się takimi niedorzecznościami, jak szczęście rodzinne, jak tradycje, jak patriotyzm lokalny, jak uczucie życia.

Hartmann, widząc, że w te rzeczy wierzyć nie można, bo wszystkiemu można zaprzeczyć, że poprzestawać na swoim nie opłaci się, postawił jako najwyższe zadanie: ciągnąć potrzebę dążenia naprzód, choć by to z największym było związane cierpieniem. Człowiek rozumny i postępowy jest według Hartmanna z gruntu nieszczęśliwy, ale to nieszczęście właśnie jest religijnym obowiązkiem i dążenie do unieszczęśliwiania siebie samego i ludzkości, jest obowiązkiem, bo w ten sposób Bóg w wszechświecie uwolni się od cierpień.

W dziejach istnieje postęp, bo Bóg rozumnie choć nieświadomie dąży do tego, aby przyszła ta chwila wszechwiedzy ludzkiej i wszechmocy, w której ludzkość cała rozumnie Boga i siebie uwolni od brzemienia cierpień.

Najpierw ludzie starożytni, byli to właśnie ci nieszczęśliwcy, którzy byli szczęśliwymi, i którzy wierzyli, że człowiekowi może być dobrze na świecie, jeśli w swoim narodzie będzie żył twardo, hartownie i cnotliwie podług ówczesnych zabobonnych wyobrażeń, i jeśli spełni tém samym swój obowiązek. Ale to złudzenie rozbiło się, gdy nastął wreszcie pierwszy postęp, gdy starożytni przyszli do przekonania, że już nie są tak szczęśliwymi, jak ich przodkowie, i nie pokazał im tej drogi do szczęścia ani Epikurejczyk, uczący umiejętnego przebiegania w mierniej roskoszy, ani Stoik, prawiący, że nie trzeba dbać o cierpienie i że ono w gruncie jest rzeczą zgoła obojętną. Nastąpiło tedy chrześcijaństwo i przetrwało długie wieki. Miało ono w sobie względną prawdę o tyle, o ile przeczyło szczęściu doczesnemu, ale z drugiej strony miało tę wadę, że głosząc uludne obietnice, dla których ludzie dążyli wśród cierpień do szczęścia wiekuistego, zatrzymało postęp przez długie wieki, i dziś jeszcze w rozmaitych krajach a nawet w rozmaitych stronach Germanii, sprawia na nieszczęście, że ludzie żyją szczęśliwi, nie myśląc wcale o ostatecznym gromie, który ma kiedyś na dziejowym jego niebie zapłonąć, używając w spokoju to, co im w udziale przypadło.

Złudzenie chrześcijańskie zniszczyła reformacja, bo jakkolwiek stała na gruncie chrześcijańskim, pozbawiła ludzi wiary w jakiegokolwiek dogmatyczne powagi a tém samem odjęła ludziom wszelką pewność religijną. I nastąpiła doba trzecia złudzenia: złudzenie postępu. Ludzie marzyli, że przecież na tym świecie choć nie za ich życia, ale dla przyszłych późnych pokoleń będzie raj, nastanie szczęście.

I jakieżby to mogło być szczęście? Cóż potrafią ludzie zrobić? Mogą cofnąć rydwan dziejowy wstecz i wytworzyć w jakimś kraju ludzi, którzyby byli radzi życiu, jak prostacy a może w dodatku umieli się cieszyć Pięknem i nabytkami Nauki. Ale w takim razie zgrzeszą i opóźnią samobójczy zamiar Boga. Przeto tego nie robią, jedno przeciwnie—zburzą ostatnie złudzenie dziejów, wierzących jeszcze w postęp. Do tego dzieła powołano Niemców.

Państwo Pruskie wszystko ujmie w swoje ręce. Ludzie wszyscy będą zmuszeni do takiego życia i postępowania, jakie państwo za najlepszy uzna, nawet złudzenie pociechy będzie im odjęte, a w tém będzie ich mądrość, że dostaną jeść, pić i ubranie, i że będą przytem zupełnie nieszczęśliwi a pewni, że już nic lepszego na świecie nigdy być nie może.

Znikną: rodzina, gmina, ojczyzna, a nastanie blada chwila, w której ludzkość cała smętna stanie nad grobem swych nadziei. I wtedy państwo z ewangelią Szopenbauera, a przede wszystkim z objawieniem Hartmanna w ręku, pomyśli o tém, jakby już uczynić koniec męce wszechświata. W państwie naradzą się i zważą, jakie mają siły, zanim przystąpią do ostatecznego dzieła. Bo ludzkość tylko jedną zniszczyć, na nic się nie przyda, tak jak na nicby się nie zdało urządzić społeczeństwo, chwilowo szczęśliwe, któreby się potem znów rozwijać musiało ku wiecznemu cierpieniu. Ludzkość zniszczysz—a powstanie nowe życie organiczne, i nowa kolej złudzeń boleści. Siły Prus są dziś jeszcze za małe i potęga ich nie wystarcza na to, by rozsadzić wszechświat. Musi się więc wprzód wzmódz ta potęga—i duch dziejów musi się wcielić w Prusy do tego stopnia, że cała ludzkość będzie żyła pod szkolną i wojskową karnością pruską; cała ludzkość musi dojść do tego poczucia, że Państwo to potrafi wszechświat cały i wszelką wolę bytu i Boga samego zniszczyć, poddawszy ich pod swoją komendę; że na tę komendę kiedyś w jednej chwili, zniknie ludzkość wśród nicestwa, w którym utoną wszyscy, stworzenia wszystkie, wraz ze Stwórcą.

Przeznaczeniem Prus jest najpierw przekonać rodzaj ludzki o tém, że wszelkie istnienie jest złem, potem znaleźć środki, któreby nietylko tę ziemię, ale wszechświat mogły zniszczyć, a potem na wiek wieków zamordować ludzkość, wszechświat i Boga. Piękne to zadanie, nakreślone księciu Bismarckowi przez mądrego myśliciela!

Gdyby nie można było pójść do księgarni i kupić książkę Hartmanna; i przeczytać to, co tam w ostatnim ustępie jest wypowiedziane, tobym nie śmiał mówić, że ktoś takimi mrzonkami bałamuci wielki naród, i że w narodzie tym znajdują się setki tysięcy ludzi, którzy w to choć na poły wierzą. Wszelako tak jest. A Hartmann od czasu do czasu doradza także Niemcom, jak mają sobie poradzić, ażeby się zbliżyć do tego ostatniego celu swych dążeń, i między innymi najusilniej doradza, żeby wytępilli w pierwszym rządzie Polaków. To bardzo niebezpieczny naród, bo może jeszcze Boga w

jego samobójczém dziele powstrzymać. To są ludzie, którzyby może potrafili być szczęśliwymi, i mogliby się jeszcze może u siebie n-rządzić szczęśliwie, gdyby ich opieka pruska od tego nieodwracała. Ale co najgorzej, to są ludzie, którzy mogą nawet kiedyś i drugich зараzić jakąś myślą, że wartoby spróbować, czy na świecie zamiast policyi, szkoły i wieku Pruskiego nie daloby się może wynaleśé środków innych do uszczęśliwienia ludzkości, przez to, że litośé Szopenhauera nazywałaby się miłością, przez to, że każdy człowiek byłby w położeniu takiém, aby mógł mieć to, co mu jest potrzebném, t. j. ażeby żył jak człowiek, zdrow i cały na ciele i duchu; przez to, że tam u tego narodu jest jeszcze naiwne uczucie patriotyzmu, które może uszczęśliwić ludzi widokiem jakiegoś pomyślnego końca wszystkich nieszczęśé, widokiem czynu ratującego społeczeństwo. Zniszczyć więc ten naród, zdruzgotać go! Ausrotten!

I znów nie śmiałbym tych twierdzeń Hartmanna przytaczać, gdyby ich w księgarniach kupić nie można, gdyby się broszura szeroko nie była z niemi rozszła; i gdyby w swoim czasie przez nasze pisma nie była powtarzana.

Narody zachodnie są w chwili dzisiejszej wszystkie mniej więcej tak usposobione jak filozofowie niemieckiego pesymizmu. O samobójstwie wszechświata nie słyhać wprawdzie gdzieindziej, jak w Niemczech, ale w niepokoju i niezadowoleniu zapytują się, czyż warto żyć i własne przeszłe ideały tracąc z oka, przeczą im i przytém powiadają, że im źle na świecie, i że dobrze im nigdy nie będzie.

Czy jednak nienawiśé dla nas Hartmanna, który tę rozpacz wyraził, czy ona nie powinna być dla nas wskazówką, że może jesteśmy więcej wari, niż sami nieraz sceptycznie o sobie mówimy? Czyż nie jest usprawiedliwionem spojrzeć w przeszłość dziejową i przekonać się tam, że zwykle naród, który w pewnej dobie był usunięty w szary kąt dziejów, jeżeli tam zachował własne zdrowie i nie przestał wierzyć w moralność bezwzględną, która światem rządzi, i w sprawiedliwość, która świat prowadzi, ale nie do wielkiego samobójstwa,—że taki naród, trzymając się odpowiednich tradycyi nie tylko swoich, ale rodzaju ludzkiego, czczący rodzinę, czczący pierwsze i najbliższe obowiązki najprzód względem własnego społeczeństwa a potem i dalsze, że naród ten, mimo pozorów słabości, potem się doczeka chwili mocy, jeżeli z własnego łona i z własnych tradycyi wysnuwa, na podstawie doświadczenia i wiedzy drugich, przyszłość dla siebie, nie oglądając się zbyt na to, co ktoś tam nedorzecznie napisał, dodając do tego, że to jest prawdą?

Trzeba nam przyjśé do tój pewności siebie, iżbyśmy chcieli myślec sami o sobie na podstawie naszych własnych społecznie i moralnie zdrowszych stosunków. Potrzeba przedewszystkiem, ażebyśmy mieli już raz tę odwagę i tę pewność siebie, ażebyśmy nie wierzyli już dla tego jakimś twierdzeniom ujętym w pozory prawdy,

że autorowie ich dają już w tém dowód ograniczonej wiedzy albo złej woli, mówią z tak kategoriyczną pewnością, że to już jest prawda, i z taką rzekomą nieomylnością, jak każdy głupiec kategoricznie stwierdza swoje zdania.

Filozofia pesymistyczna jest jednym z objawów stanów społeczeństw. w których powstało nie tylko przeżycie jakieś filozoficzne, ale zwycięstwo samolubstwa nad miłością bliższych i dalszych bliźnich i zwycięstwo krytyki nad wiarą w jakąkolwiek ideę. Jeśli my stać będziemy przy naszych ideach, jeśli miłość najwyższych naszych dóbr będzie uświęcała pełnienie naszych obowiązków powszednich, mimo całej grozy dzisiejszej chwili i mimo całego ucisku możemy w przyszłość pogodnym spoglądać okiem, pewni, że szczęśliwie przetrwamy burze, w których niejedna wieża, dzisiaj dumnie po nad gmach Europy się wynosząca, runie.

ZNIESIENIE PROPINACYI W GALICYI.

NAPISAŁ

Stanisław Starzyński.

III *).

Skoro podatek wódczany zaprowadzono, dano milion na odškodowanie dotkniętej nim propinacyi a nie wykupiono jej na rzecz państwa, zdawało się, że wszystko uważać należy za skończone, i że jedynie sejm zajmie się rozporządzeniem milionem, a nie wątpiono, że go wcieli do funduszu propinacyjnego, jak to pierwotnie przeznaczała sama ustawa państwowa, bo takie postąpienie było jedynie naturalne i logiczne ¹⁾. Milion dany jest dla zrównoważenia ubytków w 22 letnich dochodach propinacyjnych, którymi każdy sam u siebie swoją propinacyę przez ten jeszcze okres czasu ma spłacać; — skoro dochody te spadną, a tém samém spłata z nich u siebie znacznie się zmniejszy, słuszną i naturalną rzeczą, aby zrównoważyć ten ubytek tém większym udziałem z funduszu propinacyjnego. Niech się więc ten fundusz zasila wpływającym co roku i leżącym w nim na procenta milionem, a zasilek będzie wcale pokaźny. Do r. 1910 byłby urósł fundusz propinacyjny do wysokości przeszło 50,000,000 fl.

Byli wprowadzić zawsze nieliczni zwolennicy przeniesienia używalności zniesionego prawa propinacyi, będącej wynagrodzeniem za propinacyę, na kraj, na cały pozostający jeszcze okres czasu; ale śmiało twierdzić można, że w owej chwili było ich mniej niż kiedykolwiek. Wcale zaś nie było domagania się głośnego

*) Ciąg dalszy. Zob. Zesz. za miesiąc Lipiec r. b.

¹⁾ Sprawozdawca ustawy propinacyjnej, poseł T. Skałkowski uważał także takie załatwienie kwestyi za daleko odpowiedniejsze, a położenie sejmu w tym razie za daleko łatwiejsze.

w tym kierunku. Tém więcéj przeto musiał zdziwić fakt, że rząd wziął inicjatywę w przeniesieniu używalności propinacyi do r. 1910 na kraj, oraz zniesienia wieczystego szynku, a natychmiastowego odszkodowania uprawnionych tak za dalszą jeszcze używalność, jak za wieczysty szynk, jak wreszcie i za przyszłą pretensyę do funduszu indemnizacyjnego. Cały ciężar wykupna pozostawił jednak rząd na barkach kraju, nie chcąc się do niego niczém ze swéj strony przyczynić; bo jakkolwiek płaci przez 22 lat po milionie rocznie, to jednak ta wpłata jest tylko zrównoważeniem ubytku, jaki będą mieć uprawnieni, sami się spłacający dochodami ze swéj propinacyi, w tychże dochodach. Ta kwota nie jest przyrostem do ogólnej sumy odszkodowania za propinacyę, tylko zwrotem ubytku w jednéj z jéj rubryk, a zatem nie podnosi ogólnej cyfry.

Pierwszy projekt rządowy przedłożonym został ankiecie w Namiestnictwie, i wydziałowi krajowemu — nie doznał tam jednak korzystnego przyjęcia, a „Czas“ który wówczas niechętném okiem patrzył na rządy krajowe, napisał, że „niepodobna rezonować o projekcie wykupna propinacyi na podstawie owego pensum, które dostało dwójkę w ankietach“ (czyt. Nr. 202 ex. 1888). Projekt został wycofany; a sejmowi we wrześniu 1888 rząd przedłożył projekt inny. Podczas gdy poprzedni projekt niewymieniał nawet wysokości kapitału, który miałby uprawnionym być wyplacony za odebranie natychmiastowe wszelkich ich praw, tylko stawał kategorycznie twierdzenie, że wykupno przyjść musi do skutku jako leżące w ogólnym interesie, a zwłaszcza w interesie uprawnionych. A wysokość kapitału wypagrodzenia czynił zależną od dochodów, jakie do końca r. 1910 na amortyzacyę i oprocentowanie z propinacyi wyciągnąć można — to projekt drugi stawał już określoną kwotę 57,700,000 fl., ale na podstawie téj saméj, co powyższa, argumentacyi“, którą wypowiedział w komisji sejmowej ówczesny namiestnik J. E. Filip Zaleski, że co do cyfry nie ma targu, bo tylko na taką cyfrę a nie większą pozwalają spodziewane dochody. Nie będziemy i nad tym drugim projektem się zastanawiać, aby nie nużyć czytelnika — gdyż i drugi projekt nie wszedł w życie, ale od chwili wniesienia go rozwija się akcja propinacyjna na wielką skalę, i wszyscy zajmujący się sprawami publicznymi, czy jako wybrańcy lub wyborcy, czy jako publicyści lub badacze, czy wreszcie jako naczelnicy instytucyi finansowych, mają propinacyę przez sześć miesięcy na myśli i na ustach: odbywają się zgromadzenia wyborców ¹⁾, ankiety, obrady w kółkach prywatnych, a liczba projektów ustawodawczych i finansowych, dotyczących propinacyi, wzrasta nieledwie z dnia na dzień. Równocześ-

¹⁾ Za doraźnym zniesieniem propinacyi oświadczyły się zgromadzenia wyborcze w Buczaczu, Samborze i Stryju.

nie zaś toczą się obrady komisji sejmowej propinacyjnej i Sejmu, które jednak nie są dla projektu rządowego przychylnie. W sprawozdaniu komisji napisano i wydrukowano, że wprawdzie na żadną z zasad w projekcie wyrażonych komisja się nie zgodziła, ale osiągnięto przecież jednozgodne porozumienie co do uznania projektu rządowego za niemożliwy do przyjęcia.

Od tego czasu rozpoczyna się także w sprawie propinacyjnej szereg sprzeczności i niespodzianek.

Już podczas obrad sejmowych zarysowały się dwa przeciwne projektowi rządowemu kierunki i w sejmie i w kraju na zgromadzeniach wyborczych; jeden był reprezentowany w komisji sejmowej przez posła p. Romanowicza i posła prof. dr. Leona Bilińskiego, którzy się oświadczyli przeciw przeniesieniu na kraj, a za natychmiastowem przez sam kraj zniesieniem propinacyi; podobne wnioski postawili z poza komisji pp. Bobczyński i Merunowicz, a również poseł Gustaw Romer w ankiecie. Myśl ta, naszym zdaniem, jedynie zdrowa i pożyteczna, nie znalazła jednak w komisji uznania; w skutek czego poseł Leon Biliński, zawsze przeciwny przeniesieniu propinacyi na kraj, wniósł projekt, należący do drugiego przeciwnego kierunku, t. j. nieznoszenia propinacyi i niezmienniania niczego, tylko wcielenia miliona, wpływającego corocznie ze Skarbu Państwa, do funduszu propinacyjnego, za co jednak ma propinacya od r. 1910 ustać całkowicie, tak że nie zostanie nawet szynk wieczysty. P. Biliński chciał więc obrócić po prostu milion państwowy na wykupno wieczystego szynku, a dziś nic nie zmieniać. Mniej lub więcej zbliżoną myśl reprezentowało wielu posłów; tak dalece jednak nie było zwolenników przeniesienia propinacyi na kraj, że p. Wrotnowski mógł w komisji skonstatować po przeprowadzonej dyskusji generalnej, że nikt sobie przeniesienia propinacyi na kraj nie życzy, i że nikt nie jest za pożyczką i gwarancją kraju. Tymczasem cóż się dzieje w bardzo niedługim czasie? Sejm załatwia projekt rządowy uchwałą, wyrażającą przekonanie, że wykupno propinacyi, za sprawiedliwem wynagrodzeniem uprawnionych, a bez narażenia kraju na straty, byłoby pożądane. Przedłożenie rządowe zaś udziela sejm wydziałowi krajowemu z poleceniem:

1) porozumienia się z rządem co do rozszerzenia podstawy, na której można oprzeć operacyą wykupną; dochody bowiem z samej propinacyi, dzisiejsze opłaty szynkarskie, istniejący już fundusz propinacyjny, i milion państwowy nie są dostatecznym źródłem do pokrycia amortyzacyi i kuponów pożyczki finansującej propinacyę, jeżeli zostanie zamkniętą w okresie amortyzacyjnym, zakreślonym trwaniem dzisiejszego prawa propinacyi, więc w okresie 21 letnim. Należy więc uzyskać zaprowadzenie na rzecz funduszu propinacyjnego opłat licencyjnych od wyszynku, i opłat od gorących napojów.

2) Porozumienia się z rządem, czy byłby skłonny przeprowadzić uwolnienie całej operacji wykupna od należytości skarbowych.

3) Zbadania projektu rządowego, i innych wniosków pod względem a) planu finansowania, i oddziaływania tegoż na fundusz krajowy, b) sprawiedliwego, a nabytym prawom odpowiedniego odszkodowania uprawnionych, c) zarządu funduszem propinacyjnym, ewentualnie propinacją nabytą przez kraj.

Powyższa uchwała sejmu jest w rzeczy głównej zgodzeniem się na wykupno propinacji przez kraj.

Równocześnie uchwalić Sejm musiał, co się ma stać z pierwszym milionem, wpływającym w r. 1889 ze skarbu Państwa, tytułem odszkodowania za propinację, a oddanym do ustawodawczej działalności Sejmu. Całkiem naturalnie uchwalił Sejm—i inaczej postąpić nie mógł, że wobec odroczenia sprawy propinacyjnej, przelewa się pierwszy milion do krajowego funduszu propinacyjnego, aż do dalszego ustawodawczego zarządzenia. Przypominamy, że już w Radzie Państwa proponowano za zgodą rządu wyzuczenie z góry wszystkim milionom takiego sposobu użycia.

W obradach Sejmu nastąpiła trzechmiesięczna przerwa, podczas której wydział krajowy traktował i z rządem krajowym i centralnym—i pisemnie i przez swoich reprezentantów, a również obradowała zwołana przez rząd ankietą. Pomijamy chwilowe fazy, przez które sprawa wtedy przechodziła, jako niemające dziś już znaczenia aktualnego, a tém mniej zdolne zająć czytelnika, dla którego polityczna ich strona jest obojętną,—i przechodzimy do ponownego zebrańia się Sejmu w Styczniu 1890 r.

Rozpoczął się on od nowój niespodzianki, która jednak nie była już tajemnicą; zawiadomiono mianowicie Sejm, że uchwalona przezeń ustawa o wcieleniu pierwszego miliona do funduszu propinacyjnego nie otrzymała Najwyższej sankcyi i, że żadna przyszła uchwała, któraby miliony państwowe trwała do niego wcielała, na Cesarzką sankcją liczyć nie może. Powody, dla których rząd zalecił Najjaśniejszemu Panu na odmowę, nie wytrzymują ze stanowiska jurydycznego żadnej krytyki. Odmowa sankcyi odegrała jednak pierwszorzędną rolę w dalszym przebiegu sprawy. Od tej pory nie mogło już być wątpliwości, że przeprowadzonym zostanie przeniesienie używalności propinacji na kraj. Wykupno jej bowiem przez Państwo upadło jeszcze w Wiedniu—wniosek o n a t y c h m i a s t o w e z n i e s i e n i e propinacji przez sam kraj nie był w pełnym Sejmie formalnie stawiany, nie był przedmiotem jego obrad i głosowania. ¹⁾ Pozostawienie zaś poruszonych raz sprawy w stanie wątpli-

¹⁾ Rząd wyraził się w ankiecie przez usta swego reprezentanta, Rady Dworu Karasińskiego, że propinacja w Galicyi się nie znosi, i dlatego nie można szukać co do sposobów odszkodowania takich środków, które odpowiadają tylko jej zniesieniu.

wym przedstawiało wiele niebezpieczeństw, a nadto było niemożliwem wobec faktu, że wtedy miliony państwowe pozostałyby w państwowej kasie. Wprawdzie nie ulega wątpliwości, jurydycznie rzecz biorąc, że skarb Państwa musiałyby je wypłacić każdej chwili, skoroby tylko, choćby za lat kilkanaście, przyszła do skutku ustawa krajowa o sposobie ich użycia na rzecz uprawnionych do propinacji, ale przyjęcie ustawy do skutku zależnem jest właśnie od Cesarskiej sankcyi. Tęj zaś nie można było się spodziewać dla ponownej uchwały Sejmu tej samęj treści, co poprzednia — a bardzo było trudno, raczej niepodobna, znaleźć inny sposób użycia miliona na rzecz uprawnionych, aniżeli kapitalizowanie go w funduszu. Niepodobna było przecie roztrwonić go corocznie rozdzielaniem pomiędzy uprawnionych; jakkolwiek i takie projekta się pojawiały. Byłoby to marnotrawstwem pieniężnem, a demoralizacją społeczną. Mniejszém już więc złem było przeniesienie propinacji na kraj. Powtóre, poruszenie przez rząd myśli wykupna propinacji i silne przy nięj obstawanie, musiało wpłynąć niemało na wydatność praw propinacyjnych w tym czasie i na uniemożliwienie wszelkich co do nich tranzakcyj, zawierania kontraktów i t. p. Gdy co do jakich praw, będących przedmiotem obrotu pieniężno-handlowego, a mających wiadomym dziś uprawnionym przysługiwać przez szereg lat, zostanie z całym naciskiem poruszona myśl, czyby ich nie znieść zaraz, lub nie przenieść na kogo innego, rzecz naturalna, że powstaje rodzaj paniki pomiędzy dzierżawcami je, którzy nie wiedzą, co mają począć; jeżeliby zaś nawet paniki istotnej nie było, to będzie ona symulowaną dla wyzyskania uprawnionych; — i równowaga nie może powrócić, aż z chwilą prawnego uregulowania poruszonej kwestyi, albo z nastaniem pewności, że kwestya więcej poruszoną nie będzie. Druga ewentualność była wykluczoną, a raczej była pewność, że rząd będzie ją ciągle poruszał; gdyby więc nawet Sejm po r. 1889 był odrzucił przeniesienie propinacji na kraj, nie byłaby ta kwestya zesłała już z porządku dziennego, a prawdopodobnie któryś przyszły Sejm byłby ją załatwił w sposób dziś odrzucony, tylko mniej dla kraju korzystnie, bo główna podstawa operacyi wykupna, dochody propinacyjne, byłyby przez ten czas zmalały. Sejm więc znalazł się, niestety, w położeniu przymusowem, w którym musiał nabrać przekonania, że stosunkowo jeszcze największą krajowi odda przysługę, uchwalając jaknajprędzej przeniesienie używalności propinacji na kraj. Tak więc odmowa Najw. sankcyi ustawie o tymczasowem użyciu pierwszego miliona, umożliwiona dzięki nieszczęśliwej „autonomicznej“ opozycyi przeciw wyznaczeniu milionowi jego przeznaczenia w ustawie państwowej, stała się owym kategorycznym imperatywem rządu, który popchnął Sejm w styczniu 1889 r. tam, gdzie mu się być jeszcze przed rokiem ani śniło.

Wydział krajowy zdał Sejmowi sprawę ze sposobu, w jaki się wywiązał z otrzymanych poleceń, przedstawił ustępstwa od rządu uzyskane, ocenę różnych projektów poselskich i nieposelskich, wresz-

cie projekt do ustawy o przeniesieniu propinacyi na kraj. Po wytężonej, gorączkowej pracy komisyi, która wiele w projekcie zmieniła, po obradach Sejmu prowadzonych pod presją konieczności skończenia sesyi za kilka dni, a więc w sposób uniemożliwiający nieustanne skupienie uwagi i natężenie myśli w tym stopniu, jakiego wymaga sprawa sześćdziesięciu kilku milionów, przysłała do skutku uchwała (będąca jak zwykle w takich razach, kompromisem zasad i interesów) o przeniesieniu używalności propinacyi do 1910 na kraj, z natychmiastowem odszkodowaniem uprawnionych—a z ustaniem wieczystego szynku po r. 1910. Oto jej główne zasady:

I. Z dniem 1-ym stycznia 1890 r. przechodzi prawo wyszynku i sprzedaży napojów propinacyjnych w całej swój wyłączności i rozciągłości na kraj, względnie krajowy fundusz propinacyjny; po upływie r. 1910 gaśnie ono zupełnie i raz na zawsze. ¹⁾

II. Właściciele prawa propinacyi otrzymują wynagrodzenie w obligacyach 4^o/_o; przez kraj poręczonych, które jednak będą spieniężone przez C. K. Dyrekcyą funduszu propinacyjnego, a uprawnionym poręczoną zostanie gotówka, z wyjątkiem tych, którzy się w oznaczyć się mającym terminie o wypłatę w obligacyach zgłoszą.

III. Obligacye, przez kraj poręczone, wypuszczone będą w ogólnej sumie 62,200,000 fl. wartości nominalnej i amortyzowane w okresie 26-o letnim, od 1-o stycznia 1890—a zatém do 1-o stycznia 1916 r.

IV. Wynagrodzenie wymierzone będzie na podstawie orzeczeń, wydanych w myśl ustawy z r. 1875; a to w ten sposób, iż przedewszystkiem otrzyma każdy uprawniony kapitał wynoszący 17¹/₂ razy orzeczenie według ustawy z r. 1875. Ci właściciele prawa propinacyi, których czysty dochód na podstawie przecięcia fasyi z lat 1885—1887 był przynajmniej o 10^o/_o wyższy od orzeczenia, mają prawo reklamacyi, i wtedy wyda C.-k. Dyrekcyja fund. prop. dla nich orzeczenie nowe, i przyzna im dodatkowe wynagrodzenie, które w żadnym razie nie może być wyższe, aniżeli różnica p omiędzy dawném a nowém orzeczeniem, 17¹/₂ razy wzięta.—Fasye z lat 1885—7 nie są jednak ostatniém słowem dla Dyrekcyi: albo-

¹⁾ Objawiały się glosy, jak np. posła St. Gniewosza l. c. posła Żywickiego na zgromadzeniu wyborczém w Tarnopolu, (który uważa odstąpienie używalności prawa propinacyi krajowi za zwykłą sprzedaż, zwykły interes prawno-cywilny), wyborców obwodu Sanockiego, wielu wyborców obwodu Przemyskiego, w których mniej lub więcej wyraźnie tkwiła myśl zaprzeczająca Sejmowi prawa uchwalenia ustawy odbierającej wykonywanie propinacyi dziś uprawnionym. Poseł Popiel wypowiedział ją zaś otwarcie z właściwą sobie siłą przekonania. Zapatrywanie to nie ostoi się jednak wobec dzisiejszego pojęcia o państwie, jego prawach i zadaniach wogóle, a tém mniej w zastosowaniu do prawa propinacyi, w którego wykonywaniu mieszczą się pewne funkcje zwierzchnicze, t. j. nakładanie podatku na swój korzyść.

wiem gdyby się przekonała, że dochód, który służył za podstawę wymiaru podatku, jest niższym od dochodu rzeczywistego, może Dyrekcyja uwzględnić dochód rzeczywisty z ważnych względów słuszności.

Orzeczenia wydane na podstawie ustawy z r. 1875 nie mogły być wzięte za podstawę wymiaru wynagrodzenia, gdyż celem ich było tylko służyć za klucz repartycji funduszu propinacyjnego, w myśl powyższej ustawy układanego; nie mogą więc one być miernikiem dzisiejszej wartości. Wartością rzeczywistą propinacji jest jej wartość dzisiejsza, jak to podniósł słusznie w ankiecie p. Skalkowski; a żadna ustawa uchylająca prawa nabyte nie cofa się wstecz co do zasady, według której wartość się oblicza. Ponieważ dalej nie mamy dziś do czynienia ze zniesieniem samego prawa propinacji, bo ono zniesione zostało 1875 r., tylko z zamianą przyznanego już wynagrodzenia, którego główną część stanowiła znów propinacja, na inne,—przeto, jak słusznie powiada Pilat w swém *Votum*, to raz przyznane wynagrodzenie, będące w całym słowa znaczeniu prawem nabytym, nie może zostać odebraniem według zasad, wystarczających przy expropryacji, w imieniu wyższego interesu publicznego, t. j. tylko za słusznym odszkodowaniem, (§. 365 u. c.) lecz jedynie za zupełnym i całkowitym wypłaceniem jego wartości. Miarą tej całkowitej dzisiejszej wartości nie mogły być dawne orzeczenia; przeprowadzenie zaś nowych było niemożliwe ze względu na długi przeciąg czasu i koszt, jakichby ta czynność wymagała ¹⁾. Dla tego niezbędnym było, stworzyć możność korektury dawnych orzeczeń. Korektura ma być opartą w zasadzie na własnych zeznaniach, służących za podstawę wymiaru podatku dochodowego, czyli t. zw. fasyach, a nie na dochodzie faktycznie pobieranym (jakkolwiek taki był wniosek komisji propinacyjnej) ²⁾. Ponieważ zaś (pomijając wypadki umyślnego fałszywego fasonowania, bo te nie zasługują na uwzględnienie) fasya nie jest właściwym kluczem do rozwiązania kwestyi, bo wolno jest według obowiązujących przepisów odtrącać w niej od czystego dochodu wydatki na wkład i budynek własny propinacyjny czyli karczmę, na restauracye jej i t. p. ponieważ nieraz w fasyi dochód propinacyjny skumulowany jest z innymi, ponieważ skutkiem odtrącania kosztów budowy od dochodu przy fasyi można mieć przez cały szereg lat niższe przecięcie fasyi, i t. p.—przeto uciążliwości i krzywdy, leżące w tej uchwale sejmowej, zrównoważone zostały przyjętym

¹⁾ Niejednokrotnie jednak domagano się powszechnego przeprowadzenia nowych dochodów, i wydania nowych orzeczeń, np. Teofil Żurawski: „W sprawie wykupna propinacji“, *Przegląd ex.* 1888 Nr. 163.

²⁾ Przyjęcie fasyi za podstawę przeprowadził w pełnym Sejmie poseł Wojciech Dzieduszycki.

równocześnie wnioskiem posła Józefa Męciskiego, iż wyjątkowo, z ważnych względów słuszności, może Dyrekcyja uwzględnić dochód rzeczywisty. Fluktuacya, jaka się objawiła w dochodach propinacyjnych od czasu wydania orzeczeń po dziś dzień, jest bardzo znaczna, nietyle co do ogólnej sumy dochodu, ile odniesieniu do poszczególnych wypadków. Wedle obliczeń krajowego bióra statystycznego, na 5,226 orzeczeń jest tylko 748 takich, gdzie fasya r. 1887 była równą orzeczeniu, albo nie więcej jak o 15^o/₆ od niego wyższą; w 2,364 wypadkach jest fasya wyższą od orzeczenia więcej niż o 15^o/₆; w 2,114 wypadkach jest od niego niższą. Ale czy rzeczywisty czysty dochód r. 1887 był w tych wypadkach zawsze niższym od orzeczenia, to wielkie pytanie. W poszczególnych wypadkach różnica pomiędzy orzeczeniem a fasyą lub rzeczywistym dochodem, równała się kilka krotnemu orzeczeniu, (lub jeszcze więcej) in plus lub in minus; — nie będziemy przytaczać ich po nazwisku.

Wydział krajowy i niektórzy posłowie (p. Jan Gnoiński i inni) sądzili, że jeżeli w niektórych wypadkach idzie się po nad dawne orzeczenia, to sprawiedliwość i logika wymagają, by w przeciwnych znów razach, gdy dochód dzisiejszy jest niższy od orzeczenia, zejść poniżej tegoż. Zdania tego nie podzielamy. W obec faktu, że nie wiadomo, jaka byłaby wartość rzeczywistego szynku, i jaka wysokość udziału każdego uprawnionego w funduszu propinacyjnym, gdyby przeniesienie na kraj nie było nastąpiło; że nie wiadomo więc, czy za te dwie części odszkodowania został uprawniony obecnie całkowicie wynagrodzonym, a nie skrzywdzonym, trudnoby było, na tém jedném, co dziś było już ustalone, przedsiębrać redukcye; tém bardziej, że nikt nie jest w stanie przewidzieć, czy w przyszłości dochód ten nie byłby się podniósł napowrót do wysokości orzeczenia, lub nawet go nie przekroczył.

Przyjęcie mnożnika 17¹/₂ krotnego jest także zasługą p. Męciskiego, gdyż komisya propinacyjna nie określiła go, skutkiem czego żaden z uprawnionych nie byłby wiedział, jakie minimum wynagrodzenia w tych 62 milionach dla niego się mieści, i mogło się być zdarzyć, że gdyby w okolicach fabrycznych, naftowych, gdzie propinacya od r. 1875 bardzo poszła w górę, przyznano wiele wynagrodzeń ponad orzeczenia z wyższych względów słuszności, nie byłoby dla wielu innych zostało może nawet na 15 krotną wysokość ich starych orzeczeń.

V. Do uprawnionych liczą się: a) właściciele dóbr, wykonujący prawo propinacyi i mający orzeczenie w myśl ust. z r. 1875, oraz przyznane prawo do wieczystego szynku.

b) właściciele pr. prop., dla których orzeczenie opiewa tylko na czysty dochód z pr. prop., lecz bez zastrzeżenia rzeczzonego prawa do

jednego szynku ¹⁾; ci otrzymają wynagrodzenie obniżone o tę kwotę, jaką Dyrekcyja uzna jako ekwiwalent za szynk.

c) właściciele, którzy mają przyznane sobie tylko prawo do wieczystego szynku, lecz bez oznaczenia dla nich dzisiejszego czystego dochodu; ci otrzymają wynagrodzenie tylko za szynk.

d) właściciele, którzy niemają ani orzeczenia na czysty dochód, ani przyznanego wieczystego szynku, jeżeli dowiodą, iż faktycznie prawo propinacyi wykonują; ci otrzymają wynagrodzenie według oszacowania.

e) miasta, które nie wyłączone wykonywały prawo propinacyi na swoich obszarach gminnych, a dla których czysty dochód z prawa propinacyi już został orzeczeniami oznaczony. Ich odrębne, dziś istniejące fundusze propinacyjne wcielone zostaną do ogólnego funduszu prop. ²⁾ Prawo propinacyi pozostaje i nadal do r. 1910, tylko w tych miastach, które na swoich obszarach gminnych posiadają wyłączone prawo propinacyi. Może ono być jednak poprzednio zniesione osobnemi ustawami. Orzeczenia o czystym dochodzie w myśl ust. z r. 1875 nie zostały dla tych miast wydane; albowiem postanowienie téjże ustawy o wysłedzeniu czystego dochodu do nich się nie odnosiły. ³⁾ Ich fundusze propinacyjne pozostają nietknięte, i mają nadal istnieć; a wpływać będą do nich także udziały z części miliona państwowego, przypadającej na miasta (t. j. z sumy 125,000 fl. rocznie).

¹⁾ Liczba orzeczeń, wydanych dla uprawnionych w myśl ust. z 1875 wynosi 5226.

²⁾ Tych miast jest, po wyłączeniu Żółkwi, gdzie orzeczenie w sporze z funduszem religijnym nie było jeszcze w chwili obliczeń prawomocne, 18, a to: Biała, Kęty, Oświęcim, Brzozów, Biecz, Ciężkowice, Jaworów, Kamionka Strumiłowa, Mościska, Sądowa Wisznia, Jordanów, Brzostek, Pilzno, Lanckorona, Wadowice, Zator, Dobczyce, Mikołajów. (Patrz Wiadomości statystyczne o stosunkach krajowych, tom II, zeszyt 2; tablice przy umieszczonej tam pracy dr. Pilata). Miasta te miały według § 40 własne osobne fundusze propinacyjne—nie były już więc uprawnione do wynagrodzenia z ogólnego funduszu propinacyjnego;—obecnie zachodzi zmiana w ich położeniu, gdyż według § 31 nowej ustawy stosują się do nich wszystkie postanowienia wydane dla propinacyj wiejskich; zostają one wciągnięte także pomiędzy tych, którzy obecnie mają być wynagrodzeni z ogólnego nowego funduszu propinacyjnego—i to jest przyczyną przytoczonego w tekście przelania funduszków. Miasta te będą partycypować w kwocie 875,000 fl., przypadającej z miliona państwowego na ogólny fundusz propinacyjny.

³⁾ Tych miast, jest razem z Żółkwią 36,—a to: Bełz, Bochnia, Brody, Dobromil, Drohobycz, Gródek, Grybów, Jarosław, Jaryczów nowy, Jasło, Kołomyja, Krosno, Lubaczów, Mrzyglód, Myślenice, Nowy-Sącz, Nowy-Targ, Podgórze, Przemyśl, Rzeszów, Sambor, Sanok, Skawina, Śniatyn, Sokal, Stanisła-

Tu należy nam zrobić małą dygresję do sprawy wynagrodzenia za zniesienie propinacyi w miastach. Nietylko w literaturze specjalnej i w dziennikarstwie, ale nawet i w opinii samych miast, zaczęło się ustalać przekonanie, że wyna grad za ć miasta za zniesienie propinacyi wypłatą odpowiedniego kapitału byłoby zupełnie zbytecznym i nieuzasadnionem, a tём samém z krzywdą dla innych uprawnionych, którzyby o tyle mniejszy kapitał wynagrodzenia otrzymali. ¹⁾ Miasta bowiem są osobami moralnymi, mającemi prawo zwierzchnicze nakładania dodatków gminnych do podatków rządowych konsumcyjnych (w przeciwieństwie do kraju, który tego prawa nie ma) i mogącemi w drodze ustaw krajowych, uzyskać osobne opłaty miejskie od napojów spirytusowych. Dochody z tych źródeł, używane są na cele publiczne, bo osoba zbiorowa nie może używać dochodów zbiorowych na indywidualne cele prywatne. Chodzi więc tylko o to, aby w zamian za dochody z propinacyi dano w drodze ustawodawczej miastom możność uzyskania ekwiwalentu utraconych intrat monopolicznych w drodze wyzyskania tego samego źródła opodatkowania t. j. alkoholu i jego konsumcyi, w innej formie i to w formie prawa publicznego. Propinacya miejska była zresztą zawsze uważana za prawo publiczne miast.

Częściowym wyrazem tego zapatrywania, jest postanowienie §. 45 ustawy, iż prawo propinacyi miast, w których ono przysługiwa-

wów, Starasól, Staremiasto, Stary Sącz, Stryj, Tarnopol, Tarnów, Trembowla, Wieliczka, Złoczów, Żółkiew. Stosownie do tego, należy sprostować wszystkie daty, zawarte w pracy p. Ant. Wrotnowskiego „o przyspieszeniu skupu praw propinacyjnych“. Trzecia kategoria miast, którą on tam tworzy, t. j. miasta nie mające żadnych praw propinacyjnych, jest właśnie dla braku tychże praw zupełnie zbędną, bo opłaty i grzywny szynkarskie płyną z tychże miast, dla braku istnienia osobnych funduszy propinacyjnych miejskich, do ogólnego funduszu propinacyjnego. Sambor i Wieliczka udawały się do Sejmu o uchwalenie dla nich ustaw, znoszących propinacyą; dotyczące uchwały Sejmu nie otrzymały jednak Najw. sankcyi,—z powodu za wysoko, zdaniem Rządu, wymierzonych opłat. W Sejmie stawianym był przez p. Fruchtmanna wniosek, pozwalający miastom, niewyłącznie propinującym, spłacić właścicieli prywatnych współuprawnionych, wykupując ich propinacyą postawić się w rządzie miast, mających wyłączne prawo propinacyi. Wniosek ten, zamieniony po dyskusyi przez wnioskodawcę tylko w rezolucyę do wydziału krajowego, upadł jednak ze względu by nie tworzył za wiele „enklaw“ w krajowém prawie propinacyjném.

¹⁾ Bobrzyński l. c., który dopuszcza tylko wątpliwość co do miast, które kupiły od znajdujących się w ich obrębie uprawnionych posiadłości tabularnych propinacyę; Kleczyński, który wypłatę kapitału wynagrodzenia miastom nazywa robieniem im darowizny kosztem reszty kraju,—Gazeta Narodowa, Szczerpanowski l. c., poseł Romanowicz w rozprawach sejmowych i t. d.

ło miastom wyłączenie, gaśnie najpóźniej z r. 1910; a gdyby było zniesione pierwój, to ustawy znoszące zawierać będą postanowienia, jakie opłaty mają być w tych miastach na ich rzecz pobierane, celem słusznego wynagrodzenia C. k. dyrekcyja funduszu propinacyjnego wyda dla nich orzeczenia, dla oznaczenia udziałów w jakich uczestniczyć mają we wpływającej co roku dla nich z miliona państwowego kwocie 125,000 fl.;—dostaną więc te miasta: a) swoje fundusze propinacyjne, utworzone według ust. z r. 1875, i aż do chwili zniesienia istniejące osobno, i zasilane corocznie zwykłemi źródłami (grzywny, opłaty etc. z obrębu miasta) i wyżej wzmiankowanym udziałem z udziału w milionie; b) używalność swojej propinacyi aż do chwili zniesienia; c) opłaty miejskie;—nie dostaną natomiast nic z ogólnego kapitału indemnizacyjnego 62 milionów, który przeznaczony jest tylko na wykupno propinacyi wiejskiej i tych miast, w których obok miasta wykonują jeszcze w jego obrębie prawo propinacyi osoby trzecie.

We Lwowie zniesioną została propinacya ustawą z 18 Grudnia 1881 r., Nr. 48 D. u. K. z 1883, także na powyższej zasadzie opłat konsumcyjnych, bez wypłacenia miastu kapitału.

VI. Fundusz wynagrodzenia, służący na umorzenie obligacyi i wypłatę kuponów, składa się:

a) z dochodu, uzyskanego przez wykonywanie prawa propinacyi w zarządzie C. K. Dyrekcyi funduszu propinacyjnego.

b) z dochodu z opłat szynkarskich dzisiejszych, z opłat za zakładanie gorzelnii, browarów i miodosytui, oraz z grzywien za przekroczenia propinacyjne.

c) z udziału rocznego w milionie państwowym (w sumie 875,000 fl.)

d) z dochodów z nowych opłat szynkarskich lub jakichkolwiek innych opłat krajowych, których pobór po r. 1910 postanowi Sejm osobną ustawą, w myśl § 23 statutu krajowego, w takiej wysokości i na tak długo jak będzie potrzeba tych opłat na zupełne umorzenie obligacyi, każdoczesną wypłatę kuponów i zupełne pokrycie kosztów administracyi funduszu propinacyjnego. W żadnym jednak wypadku nie mogą na powyższy cel (t. j. pokrycie deficytu funduszu propinacyjnego) być nakładane dodatki do podatków bez pośrednich,—ani też nie mogą być nakładane opłaty szynkarskie lub jakiegokolwiek inne opłaty krajowe we Lwowie i Krakowie, i w tych miastach, które na swoich obszarach gminnych posiadają wyłączne prawo propinacyi.

e) z ewentualnych nadwyżek funduszu propinacyjnego.

f) do tego funduszu przyłącza się także odrębne fundusze propinacyjne, istniejące dla miast, wykazujących niewyłącznie prawo propinacyi, wraz ze wszystkimi wpływami tym funduszom przyznanyymi.

Ten fundusz wynagrodzenia jest więc funduszem propinacyjnym. odpowiadającym za należyte dopełnienie swoich zobowiązań wobec posiadaczy obligacyi.

Nowe opłaty szynkarskie uważano powszechnie za warunek sine qua non przyjęcia przedłożenia propinacyjnego. Gdy bowiem okres amortyzacyjny obligów trwać musi dłużej niż samo dzisiejsze prawo propinacyi, nie byłoby bez nich dostatecznego źródła dochodów po rs. 1910 dla pokrywania amortyzacyi i kuponów. Gdy jeszcze w obradach jesiennych 1888 ówczesny Namiestnik J. E. pan Zaleski wystąpił w subkomitecie z ostrą krytyką projektu opłat konsumcyjnych, ze stanowiska, iż opłaty te, nie będące niewyczerpaną Kalifornią, należy uważać za wyłączną domenę rządową, odparł poseł Alfons Czaykowski, iż nie można nawet myśleć, aby sprawa dała się załatwić bez ewentualnego wciągnięcia w rachubę dochodów konsumcyjnych.

Daliej nasuwa się pytanie, jakie były dochody propinacyjne w chwili uchwalania tej ustawy, tudzież jakich dochodów mógł się krajowy fundusz propinacyjny w przyszłości spodziewać.

Jako jedynie autentyczne możemy uważać tylko cyfry, podane w cytowanej pracy T. Pilata. Według nich, wynosi a) czysty dochód właścicieli tabularnych i wszystkich innych, mających udział w funduszu ogólnym propinacyjnym (zatem z wyłączeniem wszystkich miast) według fasyi na r. 1887, sumę 3,134,853 fl. b) dochód miast mających wyłączne prawo propinacyi, wynosi z tego źródła 765,960 fl.; c) dochód z propinacyi w miastach, mających nie wyłączne prawo propinacyjne, wynosi dla miast (czyli po odliczeniu dochodu współuprawnionych, zawartego już w sumie pierwszej) 119,993 fl.; razem tedy wynosi dochód propinacyjny 4,020,806 fl. Ponieważ nas obchodzi tu tylko dochód tych uprawnionych, którzy tegoroczną operacją finansową zostali wypłacony, t. j. od a) i c) przeto dochód służyć mający za podstawę operacyi finansowej wynosi 3,254,846 fl. Według orzeczeń z r. 1875 wynosił czysty dochód w łącznej sumie orzeczeń 3,090,000 fl.—i ten dochód przyjęła komisya propinacyjna za główną podstawę nastąpić mającego wynagrodzenia uprawnionych. Natomiast co do przyszłości obliczenia są różne, z których naturalnie żadne rościć sobie nie może pretensyi do nieomyślności. S. p. poseł Otto Hausner obliczał podczas obrad w Radzie Państwa nad opodatkowaniem wódki, że konsumcyja a zatem i dochody spadną o 25%—30%; rząd godził się z myślą obniżenia się ich o 15% do 20%—później nawet przyjął prawdopodobieństwo ubytku o 25%. Gdy jednak przyszło do Sejmu, wypowiedział rząd w swém przedłużeniu propinacyjnem z 1888 niniemanie, że dochód z propinacyi obniży się skutkiem nowego podatku wódczanego tylko o 212,638 fl. Wydział krajowy sądzi, że obniżenie nie wyniesie więcej jak 10%; natomiast sejmowa komisya propinacyjna przyjęła czysty dochód za r. 1887 w kwocie 3,127,000 fl.;—w przyszłości

zaś spadnie on, zdaniem komisji, w skutek rzeczzonego podatku o 875,000 fl. t. j. o tyle, ile liczono ubytku w propinacyi wiejskiej i miast niewylącznie propinujących przy uchwalaniu miliona w Radzie Państwa;—zostanie zatem, 2,252,000 fl. Natomiast przypuszcza komisya, że ten dochód podniesie się w następnych 21 latach skutkiem wzrostu ludności i administracyi dyrekcyjnej o 382,040 fl;—i tę sumę, 2,252,000 fl. plus 382,040 fl., czyli 2,634,040 fl., przyjmuje jako przyszły przeciętny wpływ roczny funduszu propinacyjnego z samej propinacyi,—całość zaś rocznych dochodów funduszu propinacyjnego, służyć mających na kupon i amortyzacyą, obliczał Sejm r. 1889 na 3,899,840 fl., wciągając w to i 100,000 fl. tytułem odsetek od funduszu rezerwowego (które ten fundusz, po opłaceniu kosztów administracyi, na koszt pożyczki dać może), a odciągając z góry, ponieważ tu mowa o czystym dochodzie, kwotę 428,952 fl., płaconą od propinacyi tytułem podatku dochodowego ¹⁾ i pokrywaną także z brutto dochodów propinacyi.

VII. Fundusz krajowy poręcza w drugim rzędzie te należyte zobowiązania funduszu propinacyjnego. W razie więc gdyby one nie mogły być pokryte przez fundusz propinacyjny i należyć się mające na jego rzecz po r. 1910 opłaty, i gdyby przyszedł o do świadczeń ze strony funduszu krajowego, to mogą w razie braku gotówki w tym funduszu, lub dla uzyskania zwrotu wydanych sum, nałożone być na ten cel dodatki do dodatków bezpośrednich, podobnie jak zawsze, kiedy krajowy fundusz szuka środków; bo te dodatki do pod. bezp. są do dziś główną formą i źródłem dochodu funduszu krajowego (patrz mowę sprawozdawcy Skalkowskiego str. 437 sten. prot.).

VIII. Utworzony zostaje fundusz rezerwowy, którego zadaniem jest, pokrywać koszta administracyi, i przede wszystkim niedobory funduszu propinacyjnego; a który ma być oddzielnie administrowany. Składać się będzie z zbieranego do dnia 1 stycznia 1890 w myśl ustawy z 1875 ogólnego funduszu propinacyjnego ²⁾ (według obliczeń komisji prop. około 4,233,334 fl.) tudzież z udziału w milionie, przypadającego na posiadłości ziemskie z wyłączeniem udziału wyz wspomnianych miast, posiadają-

¹⁾ Obecnie cały podatek dochodowy od propinacyi opłacanym ma być we Lwowie, gdyż władze skarbowe przypisują ten podatek w miejscu zamieszkania właściciela—a tém jest Lwów jako urzędowa siedziba c. k. Dyrekcyi funduszu propinacyjnego.

²⁾ Zgromadzenie wyborcze w Żółkwi uchwaliło, aby dzisiejszy fundusz propinacyjny został rozdzielony pomiędzy interesowanych, jako własność stowarzyszonych. Takiego podziału, ale w celu uchylenia wynagrodzenia za utratę po r. 1910 szynku wieczystego, domagał się prof. Kleczyński.

cych wyłączne prawo propinacyi, (bo udział tych miast roczny wciela się do ich osobnych funduszów propinacyjnych) za czas od 1 września 1888 do 31 grudnia 1889, a wynoszącego 966,666 fl.

O ile fundusz rezerwowy nie zostanie użyty na pokrycie wspomnianych ewentualnych niedoborów, ma być po upływie peryodu amortyzacyjnego i po zabezpieczeniu ewentualnie niepokrytych pretensyi posiadaczy obligacyi wcielonym do funduszu krajowego. Wyplata amortyzacyi i kuponów obligów propinacyjnych ciąży więc na różnych funduszach w następującym szeregu: 1) fundusz propinacyjny, 2) fundusz rezerwowy, 3) krajowe opłaty od napojów gorących na fundusz propinacyjny, 4) fundusz krajowy, w czem się mieści prawo ewentualnego podwyższenia, na ten cel krajowych dodatków do podatków bezpośrednich.

IX. Wspomniana wielokrotnie C. K. Dyrekcyja funduszu propinacyjnego składa się z C. K. Namiestnika lub mianowanego przez niego zastępcy, jako przewodniczącego—i z siedmiu członków; —a mianowicie a) z dwóch członków, delegowanych przez Wydział Krajowy, b) z dwóch członków, powołanych przez Namiestnika, na przedstawienie Wydziału krajowego z pośród właścicieli dóbr uprawnionych, c) z dwóch członków, mianowanych przez Namiestnika, d) z jednego Radcy Wyższego Sądu Krajowego we Lwowie, oznaczonego przez Prezydenta tegoż sądu.—Dyrekcyja oznacza wynagrodzenie dla każdego uprawnionego w sposób wyżej określony; a od jej orzeczeń nie ma rekursu (§. 17) ¹⁾. Dyrekcyja podlega bezpośrednio Ministerstwu spraw wewnętrznych.

X. Zarząd funduszem propinacyjnym, sprawowanym przez Dyrekcyją, odbywa się przez a) ustanowienie i pobieranie opłat za udzielenie pozwolenia na wyłączny wyszynk trunków propinacyjnych, na terytoryach, objętych poszczególnie uprawnieniami propinacyjnymi (licencye propinacyjne) ²⁾, b) przez ustanowienie własnych szynkarzy c) przez wydzierżawianie prawa propinacyi w drodze licytacji, jednakże z wykluczeniem dzierżawy ryczałtowej, cały kraj, powiaty lub okręgi sądowe obejmującej.—Licencye i czynsze opłaca się w C. K. Urzędach podatkowych.

Uchwały Sejmu zyskały sankcyą Cesarską i obowiązują dziś jako ustawa 22 kwietnia 1889 Nr. 30 D. U. K. ³⁾.

¹⁾ Co jednak nie wyklucza, wedle naszej konstytucyi, udania się z zażaleniem do Trybunału administracyjnego w celu uzyskania kassaty orzeczenia.

²⁾ Członek Wydziału Krajowego p. W e r e s z c z y Ń s k i oświadczył, że za miarę wartości licencyi uważać należy ten dochód, który służył już lub służyć będzie za podstawę wymiaru wynagrodzenia uprawnionym; dalej, że administracyja krajowa za pośrednictwem własnych szynkarzy może mieć miejsce tylko w nielicznych wypadkach.

³⁾ Wniosek przejścia do porządku dziennego nad ustawą stawiał w Sejmie poseł hr. L a s o c k i.

W powyższem załatwieniu sprawy uwydatnia się zwycięstwo woli Sejmu nad pierwotnem zapatrywaniem rządu w czterech punktach: a) określenie pozytywne wysokości kapitału wynagrodzenia i wyznaczenia go w kwocie 62,200,000 fl., b) przedłużenie okresu amortyzacyjnego o 6 lat poza czas trwania dzisiejszej propinacyi, c) uzyskanie możności zaprowadzenia po r. 1910 osobnych opłat szynkarskich na fundusz propinacyjny, d) stworzenie C. K. Dyrekcyi funduszu propinacyjnego pod przewodnictwem Namiestnika, gdyż tylko w niezmordowane i sprężyste ręce dzisiejszego, przejętego na wskroś gorliwością obywatelską Namiestnika Galicyi miał Sejm odwagę złożyć przeprowadzynie tak trudnego i zawiłego dzieła. Zwycięstwo to uważać jednak należy tylko za osłodzenie ustąpienia w rzeczy samėj, t. j. przeniesienia propinacyi na kraj; bez którego byłyby powyższe koncesye bezprzedmiotowymi,

Wypada poznać jeszcze zasady, na których chcieli oprzeć swe projekta ci, którzy proponowali natychmiastowe zniesienie propinacyi przez sam kraj. Zniesienie natychmiastowe łączy się z natychmiastowem wynagrodzeniem uprawnionych, a zatem może być przeprowadzonem także tylko za pośrednictwem instytucyi, podejmującej sfinansowanie wynagrodzenia za pomocą emisji papierów publicznych.

Posel G. R o m e r, wychodząc z całkiem słusznego założenia, że innėj operacyi, aniżeli dążącej do doraźnego i całkowitego zniesienia propinacyi robić nie warto, podał na ankiecie jesiennėj roku 1888 szkic projektu, zasadzający się na zniesieniu doraźnem, z pięćdziesięcioletnim okresem amortyzacyjnym dla emitowanych w tym celu obligacyi, i z szukaniem dochodu na kupon i amortyzacyą w licencyach szynkarskich, t. j. od każdego szynku z osobna, na wzór węgierski, gdzie równocześnie z wprowadzeniem nowego podatku gorzelnianego 1888 przeprowadzono w drodze ustawodawczej zniesienie doraźne prywatnego t. zw. regalu szynkarskiego, istniejącego jako pozostałość praw dominikalnych, i odszkodowanie uprawnionych w obligacyach państwowych, umarzanych w 70 letnim okresie (Artykuły XXXV i XXXVI ustawy z r. 1888). Licencye szynkarskie są przeciwieństwem licencyi propinacyjnych, dających wyłączność w obrębie jednego terytoryum propinacyjnego, bez względu na ilość szynków.

Licencye, o których w ustawie naszój mowa, są też, jak się już rzekło, licencyami propinacyjnymi.— Natomiast licencye węgierskie są szynkarskimi, bo tam zastrzeżonem zostało państwu wyłączne prawo rozporządzania wyszynkiem trunków alkoholicznych, i uznaniem zostało za państwowy dochód skarbowy (Staatliches Schank-Gefälle). Licencyi, t. j. pozwolenia na otwarcie każdego szynku udziela dyrekcyja skarbowa, a szynkujący opłacać muszą t. zw. należytość szynkarską i podatek szynkarski.— Monopolu wód-

czanego nie ma jednak na Węgrzech, podobnie jak go nie ma w Austrii¹⁾.

Pan Bobczyński proponował zniesienie propinacyi z początkiem r. 1890 za odpowiedniemi wynagrodzeniem—przez co ona staje się przemysłem konsensowym; wynagrodzenie ma być dane w 20-krotnej wysokości orzeczeń w 5% obligacjach. Na amortyzacyę obligów przeznaczają się a) opłaty szynkarzkie i inne dzisiejsze, b) udział w milionie, c) opłaty za licencye, udzielane poszczególnym szynkarzom, d) w razie niedoboru opłaty krajowe od gorących napojów aż do wysokości 5 fl. od hektolitra.

Konsensa przemysłowe ma wydawać starostwo na wnioski Wydziałów powiatowych i uchwaloną ma być ustawa policyjna szynkarzka celem bezpieczeństwa publicznego. Poseł Merunowicz wnosił także, iż propinacya ma być od końca r. 1890 umorzona stanowczo, poczem szynkarstwo staje się przedmiotem wolnego zarobkowania (o ile przepisy państwowe nie nakładają nań pewnych ograniczeń) ale obciążonego zobowiązaniami na rzecz krajowego funduszu propinacyjnego. Właściciele otrzymują odszkodowanie w 4½% obligacjach lub w gotówce (w wysokości 20-razowego przecięcia pensyi z 1869—1874) z zastrzeżeniem korektury na podstawie fasyi z 1885—1887 aż do wysokości 10%. Na amortyzacyę i oprocentowanie kapitału indemnizacyjnego służyć mają wyłącznie dochody z opłat szynkarzkich, które Sejm ma oznaczać corocznie w potrzebnej wysokości. Od konsensów na wykonywanie procederu szynkarzkiego nie będą pobierane żadne opłaty: również mają odpisać opłaty od zakładania nowych browarów, gorzelni i miodosytni (to trafia w myśl prof. Kleczyńskiego). Natomiast fundusz propinacyjny; w swęj wysokości z r. 1890, i grzywny szynkarzkie mają wpływać do utworzyć się mającego funduszu gwarancyjnego. Fundusz gwarancyjny zostanie rozdzielony po ukończeniu operacyi amortyzacyjnej na dwie połowy:—jedną przelaną zostanie do funduszu krajowego, druga zostanie oddaną dotychczasowym posiadaczom prawa propinacyjnego, lecz nie indywidualnie, tylko zbiorowo, i ma być użytą na cele ekonomicznego podniesienia tej kategorii własności ziemskiej. O sposobie użycia postanowi albo

1) Szwedzki systemat propinacyjny polega według Okolskiego l. c. głównie na tej odróżniającej go od wszystkich innych właściwości, że prawodawstwo daje możność zajęcia się sprzedażą spirytualów, z usunięciem od niej szynkarzy, towarzystwom, które podadzą korzystne pod tym względem propozycye, pod warunkiem, aby towarzystwa te oddawały cały czysty zysk z przedsięwzięcia na cele użyteczności publicznej.—Wyższość tego systemu nad innymi polega, zdaniem autora, na zapobieganiu złym skutkom, wypływającym z nadużycia spirytualistów, przez takie urządzenie sprzedaży napojów gorących, iż sprzedający nie są osobiście zainteresowani w obchodzeniu przepisów, ograniczających wyszynk i konsumpcyę.

gremium posłów sejmowych, z kuryi wielkiej własności ziemskiej wybranych; albo, gdyby Sejm nie istniał lub reprezentacja kuryalna została uchyloną, uchwali o tém zgromadzenie delegatów galicyjskiego Towarzystwa Kredytowego ziemskiego ¹⁾).

Poseł Merunowicz chce więc, aby propinacja spłaciła się sama, opłatami szynkarskimi. Oblicza w swój mowie uzasadniającej, że szynków będzie 18 do 20 tysięcy, że opłata szynkarska może wynosić 3 do 4. fl. od numeru w gminie, co uczyni opłatę przeciętnie około 400 fl. od szynku, czyli rocznie około 7 milionów dochodu. Cytuje miasto Lwów, gdzie wedle niego (nie sprawdzaliśmy

¹⁾ Pierwsze sprawozdanie komisji propinacyjnej na sesji jesienniej 1888 podnosi, że niektórzy członkowie sejmu sądzili, iż należy dążyć do natychmiastowego zniesienia propinacji w formie przywileju, a unormowania szynkarstwa jako samostanego koncesyjonowanego przemysłu; funduszu zaś szukać w opłatach od licencji szynkarskich, i w krajowych opłatach od napojów gorących. Przeciw tej myśli podnoszono utrudnienie wolnej cyrkulacji spirytusu przedlitawskiego; konieczność obwarowania się linią, tamującą przemysłnictwo: wreczcie wątpliwość zgodności rządu na ten projekt. Pierwsze dwie objekey — chociaż przesadzone — mogą być podnoszone tylko w obec krajowych opłat od napojów gorących. Przesada tkwi przede wszystkim w konieczności obwarowania się linią, tamującą przemysłnictwo; przez co mógłby kto chcieć rozumieć jakąś wewnętrzną linię celną. O czémś podobnym najpierw ze względów prawnopaiństwowych mowy być nie może, a powtóre byłoby to całkiem niepotrzebnem. Wątpliwości, jakie sejm miał, gdy przed kilkoma laty traktował bardzo seryo sprawę opłat konsumencyjnych krajowych, pochodziły przeważnie stąd, że gdyby kraj musiał bez współdziałania rządu przez osobne własne organa pobierać samodzielnie te opłaty, organizacya poborcza byłaby tak drogą, że intratność opłat byłaby zakwestyonowaną. Obawiano się dalej, czy rząd zgodzi się na przepisy poborowe, któreby umożliwiły konieczną kontrolę napojów pobieranych przez szynkarzy, tudzież sprzedawanych wprost przez producentów lub handlarzy konsumentom, (patrz *Pilat, Votum j. w.*). Ale za współdziałaniem rządu rzecz się przedstawia inaczej, korzystnie; jakkolwiek kraj musiałby sobie stworzyć „organizacyą skarbową ad hoc“. Dzieje się to w innych kilku krajach koronnych, jak wiadomo; trudności w miastach zamkniętych są daleko mniejsze a zresztą bardzo możliwą jest rzeczą, że z temi opłatami — pomimo dzisiejszych zastrzeżeń komisji — spotkamy się po r. 1910; bo są przewidziane w ustawie propinacyjnej — i wtedy się pokaże, że nie wpłynęły one utrudniająco ani na wewnętrzny austro-węgierski ani na międzynarodowy obrót handlowy spirytusem. Jeżeli jednak zejdziemy ze stanowiska krajowych opłat konsumencyjnych na daleko właściwsze krajowych opłat szynkarskich rocznych, to zarzuty powyższo odpadają — zrobiły one jednak swoje wrażenia, bo pomimo wspomnianych wyżej wniosków, stawianych w Sejmie i ankiecie, nikt na styczniowej sesji nie otworzył już nawet ust za doraźnym zniesieniem propinacji.

tych dat) jest 370 szynków, płacących przeciętnie po 1,300 fl. rocznie, co przynosi miastu dochód 440,000 fl.

Wedle obliczeń Wydziału Krajowego wynosiłby kapitał indemnizacyjny przyznawany przez p. M e r u n o w i c z a 65,000,000 fl. — a połowa funduszu gwarancyjnego, przeznaczona dla większej własności, 12,000,000 fl.; razem 77,000,000 fl. Wydział Krajowy zarzuca tu, że dochód z opłat szynkarskich byłby narażonym na liczne fluktuacje; a nadto że wniosek zatracza wyłączność prawa wyszynku trunków propinacyjnych w danym terytorjum, objętem uprawnieniem propinacyjnem. To ostatnie nie jest zarzutem, tylko skostantowaniem, że p. M. chce opłat szynkarskich od każdego szynku z osobna.

Zresztą nie doczytaliśmy się nigdzie żadnego sądu o wniosku pana M.

O ile punkt wyjścia, t. j. zupełne zniesienie propinacji, jest słuszny, o tyle wniosek p. M. wydaje nam się niewykonalnym; — operacja finansowa bowiem z emisją 65,000,000 fl. j e d y n i e na podstawie opłat szynkarskich. (a tylko z gwarancją funduszu gwarancyjnego) nie wydaje nam się wykonalną¹⁾. W dalszą część wniosku, t. j. założenia gremialnego funduszu podniesienia większej własności, nie będziemy wchodzić.

Podobny projekt wnoszony był, gdy jeszcze o wódczanym podatku i państwowych bonifikacjach nie było mowy, w sejmie bukowińskim przez posła D-ra R o t t a r. 1885/6; — ale bez skutku. Wnioskodawca ponowił go, gdy obecnie stanęło znów t. zw. zniesienie propinacji na porządku dziennym. Jego zasady są:

- a) propinację znosi się natychmiast całkowicie;
- b) wyszynk i drobna sprzedaż trunków gorących, oczywiście i tych, które były dotąd objęte prawem propinacyjnem, podlega od-

¹⁾ Zdania znawców co do wydatności opłat szynkarskich są następujące. Z wyłączeniem Lwowa i Krakowa mieliśmy, wedle wykazów za r. 1887, szynków propinacyjnych 18,022 (z tych 1,803 w miastach, a 16,219 po za niemi), szynków koncesjonowanych, czyli przemysłowych za konsensem władz politycznych 58 w miastach, 181 po za miastami, razem 239. Referent Wydziału krajowego, poseł W e r e s z c z y Ń s k i, twierdzi, że przy skromnym obliczeniu opłat szynkarskich można z nich wydobyć 2½ milionów. P i l a t twierdzi, że w żadnym razie nie można z nich wydobyć tyle, ileby potrzeba dla uzupełnienia kwoty 875,000 (z miliona), do wysokości rocznych anuitetów, co najwięcej można by jego zdaniem zastosować po r. 1910 opłaty 60—80—100 fl. od jednego szynku. S k a ł k o w s k i wątpi także, aby z opłat lincencyjnych (mniejsza o nazwę) można pokryć całą ratę amortyzacyjną. K l e c z y Ń s k i oblicza je według skali 100—300 fl. od szynku, i mówi, że one same powinny wystarczyć na zaspokojenie procentów i powolną splotę kapitału; gdyby to zaś miało być niedostateczne, można by opłaty szynkarskie skombinować z opłatami konsumencyjnemi.

tań wyłącznie prawu przemysłowemu (potrzeba koncessyi przemysłowej, policya przemysłowa i t. p.);

c) kapitał wynagrodzenia wymierza się dla każdego uprawnionego na podstawie dotychczasowego orzeczenia (jednak Rott nie podaje mnożnika, który trzeba tu zastosować), a wypłaca go się w krajowych obligacyach.

d) Na pokrycie amortyzacyi i wypłatę kuponu użytym być ma dotychczasowy fundusz propinacyjny, ze swymi wpływami (opłaty szynkarskie, od zakładania gorzelni i t. d.), —dalej państwowa bonifikacya 100,000 fl. rocznie, wreszcie opłata konsumcyjna od napojów propinacyjnych, ewentualnie także od t. zw. trunków słodzonych;

e) maximum opłaty oznacza ustawa krajowa; peryodyczną jej wysokość w miarę potrzeby uchwała Sejm;

f) O ile opłata konsumcyjna, będąca dochodem krajowym, przewyższa w pewnym okresie czasu potrzeby płynące z emisji obligacyi, może być użytą na inne cele krajowe.

Projekt ten nie stał się jednak ustawą.

Naszym ideałem byłoby także, żeby propinacya spłacała się sama, (tak jak i dzisiaj sama się opłaca), ale w tej formie, aby tytułem opłat szynkarskich, licencyi, grzywien, szynkarskich opłat od zakładania nowych browarów, gorzelni i miodosytni, miliona państwowego i dochodu dzisiejszego funduszu propinacyjnego, władza administrująca przed zniesieniem pobierała przez czas potrzebny dla amortyzacyi obligów tyle, ile potrzeba dla umorzenia i opłaty kuponów tych papierów, a następnie, aby wszystkie te opłaty były pobierane raz na zawsze na fundusz krajowy (z wyjątkiem miliona, który ustanie po r. 1910), bo najpierw w ten sposób możnaby stosunkowo mniejsze pobierać dodatki do podatków bezpośrednich, a powtórnie nie widzimy żadnego powodu, dla którego ma po latach kilkudziesięciu suma kilku milionów rocznie dla zbiorowych celów publicznych przepadać. Bo powiedzmy otwarcie—jak raz skończy się amortyzacya, to te cztery miliony rocznie, które dziś pobierali uprawnieni tytułem czynszu propinacyjnego, pozostaną w kieszeniach nie już arendarzy dzisiejszych, bo tych wtedy nie będzie, lecz ówczesnej kategorii szynkarzy; czyli ogół szynkarzy w kraju będzie rocznie o 4 miliony bogatszy. Zdaje nam się, że nie ma żadnego powodu pragnąć, by ta wartość ekonomiczna w ich kieszeniach została. Gdyby operacyą wykupną było przeprowadzało państwo, lub gdyby przynajmniej państwo było dało gwarancyą obligom i przyczyniło się jeszcze czemś ze swjej strony do zniesienia propinacyi, sądziny, że rzecz mogła się odbyć bardzo gładko, propinacya byłaby doraźnie zniesioną, a kraj nawet pośrednio nie byłby z nią związany. Cały ten proceder zresztą nie przesądzałby ani nie przeszkadzał zaprowadzeniu w przyszłości samoistnych opłat krajowych: czy to od napojów gorących (po upływie okresu amortyzacyi)

czy jakichkolwiek innych. Tak samo jak dziś płacą za propinacyą konsumenci, składając się na ratę arendarską, tak samo płaciliby oni w przyszłości, gdyby propinacya zaraz ustała, a skutkiem tego odpadła rata arendarska, — na ratę amortyzacyjną — a po ustaniu amortyzacji płaciliby to samo na ogólne cele krajowe ¹⁾. Nie ma w tém dla nich żadnej krzywdy, bo tylko straciliby spodziewaną korzyść potaniaenia wódki, ale nie ponieśliby żadnej pozytywnej szkody.

Teraz wypada jeszcze wspomnieć pokrótce o innych projektach, obracających się około zasady przeniesienia propinacyi na kraj, lub ograniczenia się do wcielenia milionów państwowych do funduszu propinacyjnego, bez żadnych zresztą zmian w istniejącym stanie rzeczy. Do pierwszej grupy należą projekta posłów: D. A b r a h a m o w i c z a, ks. A d a m a L u b o m i r s k i e g o, M i e c z y s ł a w a h r. R e y a, T. R o z w a d o w s k i e g o, d-r a T. R u t o w s k i e g o, E. T o r o s i e w i c z a; oraz dyrektora Banku hipotecznego p. L a z a r u s a, Dyrektora Banku Kredytowego d-r a Z. M a r c h w i c k i e g o (dziś będącego posłem). Wszystkie są wariantami na ten sam temat, pozostawienia monopolu propinacyjnego po r. 1910 przy kraju, z pewnym mniejszym lub większym stopniem pierwszeństwa dotychczasowych uprawnionych do wydzierżawiania propinacyi ²⁾, lub do otrzymania licencji propinacyjnych, a nawet, jak projekt p. T o r o s i e w i c z a, do otrzymywania po r. 1910 konsensu na jeden szynk ³⁾; różnią się również co do sposobu finansowania operacji przeniesienia, kwestyi czasu, w którym ma nastąpić odszkodowanie i rozciągłości odszkodowania w pierwszej chwili, stosownie do różnicy rozciągłości praw, jakie się już w pierwszej chwili właścicielowi odbiera. Różnią się także co do wysokości kapitału i stopy procentowej obligacyi. P. A b r a h a m o w i c z ofiaruje najwięcej, 65,000,000 fl. w cztero i pół procentowych obligacyach, w 32 letnim okresie amortyzacyjnym; ks. L u b o m i r s k i najmniej, bo 46,500,000 fl. w 4½ % obligacyach; ale przyznaje inne wielkie korzyści dotychczasowym uprawnionym, bo zostawia w ich ręku propinacyą za opłatą tylko połowy dochodu skonstatowanego orzeczeniami, do funduszu propinacyjnego tytułem dzierżawy ⁴⁾. Nie byłoby dziś celu nad tymi projektami obszerniej się

¹⁾ Za zachowaniem tego dochodu na zawsze dla kraju oświadcza się l. c. S z c z e p a n o w s k i, oraz zgromadzenie wyborcze w Żółkwi.

²⁾ Projekt p. M a r c h w i c k i e g o. Za pierwszeństwem oświadczyło się Zgromadzenie wyborcze w Gorlicach, przeciw niemu Zgromadzenie w Żółkwi.

³⁾ Tak samo Zgromadzenie wyborców w Buczaczu, i Gazeta Narodowa l. c.

⁴⁾ Projekta hr. R e y a, R o z w a d o w s k i e g o, E. T o r o s i e w i c z a pozostawiają wprost byłym właścicielom prawo dzierżawy do r. 1910, tak że wszelkie współubieganie się innych jest wykluczone.

rozwozić, należy tylko podnieść, że sejm bardzo słusznie nie chciał, by czy to w samej ustawie propinacyjnej, czy choćby tylko drogą rezolucyi sejmowej uchwalono pierwszeństwo dla dotychczasowych uprawnionych ¹⁾ do wydzierżawiania prawa propinacyi w swoich gminach. Obywatelstwo nie powinno żądać pierwszeństwa z tych samych powodów, dla których lepiej jest nie mieć w ogóle propinacyi. Do drugiej grupy należą projekta: D-ra Bilińskiego, D-ra Pilata, D-ra Zgórskiego, dyrektora Banku Krajowego, i analogiczne zapatrywania wypowiedziane w Sejmie przez pp. Grocholskiego, Wład. Koziębrockiego i Jana Popiela.—Wszyscy byli tego zdania, żeby propinacyi nie przenosić na kraj, lecz zostawić in statu quo; różnią się tylko co do sposobu użycia milionów państwowych i kwestyi wieczystego szynku; p. Zgórski np. eskontuje z góry udziały uprawnionych w funduszu propinacyjnym i w milionach ²⁾, za co ofiaruje 18,306,000 fl. w obligach 4%. Ponieważ fundusz propinacyjny byłby urosł do r. 1910 prawdopodobnie do 16,000,000, a miliony państwowe procentowane w nim do 40,000,000—razem 56,000,000—przeto projekt ten reprezentuje stratę 38,000,000 fl. tytułem eskonta ³⁾. Natomiast pozostawia przy właścicielach nietylko propinacyą, ale i wieczysty szynk. P. Bieliński zaś wiązał, jak wiadomo, zniesienie wieczystego szynku z faktycznym regularnym wypłaceniem przez Skarb Państwa rzeczonych milionów, chcąc w ten sposób usunąć wątpliwość—zdaniem naszym jurydycznie nie uzasadnioną—czy milion ten, dany za „prawdopodobny ubytek“ w dochodach propinacyjnych, będzie istotnie wypłacony ⁴⁾, gdyby ubytek przewidywany nie nastąpił.

Ustawa propinacyjna pomija zupełnie kwestyą karczem, t. j. budynków, w których dotychczasowi uprawnieni wykonywali propinacyę,—i całkiem naturalnie, gdyż prawo propinacyi nie było ani z temi budynkami, ani z miejscami, na których one stoją związane, więc jurydycznie budynek karczemny nie miał z propinacyą nic do czynienia. Każdy uprawniony pozostał więc obecnie wła-

¹⁾ Jakkolwiek przyznanie pierwszeństwa leżało w intencyach Wydziału powiatowego.

²⁾ Patrz sprawozdanie Wydziału krajowego l. c. 2,037 ex 1880.

³⁾ Podobny projekt p. A. Wrotnowskiego l. c.

⁴⁾ Jurydycznie były te obawy nieusprawiedliwione, bo „przewidywany ubytek“ przytoczony jest w ustawie nie jako warunek zawieszający, lecz tylko jako motyw, lub oznaczenie celu—a powtóre, ubytek może się nie objawiać początkowo, natomiast wystąpić później w zdwojonych rozmiarach. To też posłowie Grocholski, Męciński, Pilat, zwalczali tę obawę.—Wreszcie może nie być bezwzględniego ubytku, ale zachodzić mimo to ubytek względny.

ścicielem realności karczemnej tak samo jak nim był poprzednio, i może nim swobodnie rozporządzać. Jeżeli więc sam wydzierżawił napowrót prawo propinacyi od C.-K. Dyrekcyi, będzie je prawdopodobnie w téj samej karczmie wykonywał; a jeżeli je poddzierżawi dalej, to prawdopodobnie połączy z poddzierżawą także i oddanie szynkowego budynku poddzierżawcy, t. zw. dotychczas arendarzowi.—Może jednak budynek zamknąć, zwalić, lub na inny obrócić użytek, podobnie jak to mógł uczynić i poprzednio. Kwestya karczmy o tyle tylko zasługuje tu na podniesienie, iż dotychczasowy uprawniony wydzierżawiając propinacyę arendarzowi, wydzierżawiał ją zazwyczaj razem z karczmą, więc w czynszu dzierżawnym liczył sobie obok czynszu za prawo także i czynsz za lokal. Orzeczenia o c z y s t y m dochodzie z prawa propinacyi, musiały więc, tak samo jak odliczały podatek, odliczyć także z czynszu dzierżawnego część przypadającą tytułem najmu lokalu—i ta część nie mogła naturalnie ani poprzednio ani teraz być przedmiotem jakiegokolwiek wynagrodzenia.

Wreszcie wspomnieć wypada, że Sejm uchwalił aby ustawa propinacyjna weszła w życie równocześnie z ustawą państwową uwalniającą cały proceder przeniesienia propinacyi oraz obligacye i kupony ich od należności rządowych i opłat stemplowych. Dotycząca ustawa została istotnie uchwalona przez Radę Państwa, (ust. z 21 kwietnia 1889 Nr. 58 D. p. p.) nadto zaś udzielono ustawą państwową z 27 maja 1889 Nr. 84 D. p. p. obligacyom propinacyjnym charakter papierów pupilarnych; t. j. zaliczonych do takich, w których można lokować fundusze pupilarne.

Na zupełnie podobnych jak w Galicyi zasadach nastąpiło przeniesienie używalności zniesionego r. 1876 prawa propinacyi w sąsiedniej Bukowinie na kraj Bukowinę aż do końca r. 1911, a więc na czas o jeden rok dłuższy niż u nas. Administracyę funduszu propinacyjnego oddano również Ces. król. Dyrekcyi propinacyjnej; a właściciele propinacyi otrzymywali wynagrodzenie w pięć procentowych obligach (druga różnica) w kwocie, równającą się o ś m a s t o k r o t n é j wysokości (trzecia różnica) wydanych na podstawie ustawy z r. 1876 orzeczeń o czystym dochodzie.

(Dok. nast.)

SPUŚCIZNA LITERACKO-PEDAGOGICZNA
STANISŁAWA JACHOWICZA. *)

Przez

Floryana Łagowskiego.

III.

W 3 lata po ukazaniu się pierwszej edycji bajek t. j. w r. 1827—wydał Jachowicz niewielką książeczkę, zatytułowaną: „Pamiętka dla dobrych dzieci“. Mieści się w niej 11 bajek prozą, 5 powiastek „przykładów“ historycznych, 8 powiastek moralnych, 6 wierszyków treści religijno-moralnej.

Treść wszystkich tych utworów jest szlachetna, pouczająca. Zaznaczyć tu wypada, że znajdujemy wśród nich temat niezwykle u naszego poety, bo pochwałę przemysłu, sprytu, zaradności w dziewczynce. (Elżbietka). Co do formy—to przyznając styl, język bez zarzutu—wyznajemy wątpliwość naszą pod jednym względem, mianowicie, czy niejedna z bajeczek tu pomieszczonych nie będzie taką, że dla dzieci do lat 10 — przedstawi trudność w zrozumieniu, — tendencji autora, dla starszych zaś—czy nie będzie w niektórych ustępach przynajmniej zbyt dziecinną się wydawała. Zdaniem więc naszym książeczka ta może oddać usługi dzieciom starszym, ale bajeczki należy zupełnie pominąć. Z pozostałych powiastek zarzucilibyśmy powiastce „Lidas“, że zbyt ufa, iż kara nastąpić musi zaraz po grzechu; a powiastce „Testament“, że wygląda na szykanę interesownych pedagogów. Pozostałe powiastki są niezaprzeczenie ładne i pouczające, podobnie wierszyki, chociaż tu i owdzie znajdują się myśli pojedyncze przechodzące zakres pojęć dziecinnych.—Jako zaletę tego zbioru, jak ogółu prac Jachowicza—poczytać należy to,

*) Dokończenie. Zob. Zesz. za Sierpień r. b.

że więcej tu mowy o ludziach, a w szczególności o dzieciach dobrych, szlachetnych, niż złych. Może w tém część sekretu, dlaczego to, co wychodzi z pod pióra naszego poety takie sympatyczne. Pewnie téż to i dowód prawdziwego jego talentu; nie ulega bowiem wątpliwości, że łatwiej malować charaktery ujemne, kreślić obrazki, jako przykłady stron ujemnych.

W 1829 r. wyszła „Nauka w zabawce, dziełko dla dzieci“ ¹⁾. Jestto niby pamiętnik chłopca, w którym opisuje się jego początkową edukacją, to jest czego i jak się uczył, oraz, jak poprawiał się z wad a nabywał zalet. Życzeniem autora zapewne było, żeby dziecku czytać z téj książeczki o owym chłopczyku, a przez to zachęcać do pracy, która ma być tak prowadzona, jak z owym chłopczykiem ją prowadzono. W drugiej połowie są i powiastki a na końcu spisano rady, które matka udziela synowi. Przy obecnie przyjętym sposobie prowadzenia początkowej nauki z książeczki téj korzystać niewieleby można; powiastki jednak i pamiętnik jako pisane przez utalentowanego pisarza i pedagoga — przedstawiają niemało wartości literacko-wychowawczej.

W r. 1830 ukazały się „Rozmowy matki z Józią“ ²⁾. Książeczka ta ma za cel „przygotowanie do wszelkich nauk a mianowicie do gramatyki“. Sama praca nad dziełkiem tém *metodycznym*, ułożonem na wzór postępowych wówczas zasad pedagogii stanowi zasługę Jachowicza. Smutnym bowiem objawem u nas był ten, że po gorliwych a tak pełnych plonów usiłowaniach Komisji Edukacyjnej—ruch na polu praktycznych, metodycznych prac w pedagogii prawie ustaje. O postępie pedagogii nasi nauczyciele i pisarze wiedzą: tłumaczą dzieła Niemyera, (ks. Czarnecki), obznajmniają z zasadami Pestalozzgo (Ant. Marcinkowski), wydają oryginalne prace, jak Chojnacki, Józef Brzowiec, — ale o podręczniki metodyczne w ogóle u nas bardzo trudno, a o metodyczne podręczniki dla nauki przedszkolnej — najtrudniej. To téż jako niezwykłe a nader pożądane uważać należy takie prace. jak „Wiązanie Helenki“ Hoffmanowej (1823), a Jachowicza „Rozmowy“ z tego względu, że budzą poczucie metody w pedagogach, że dają jęj wzory. Tylko wybór metody w przedszkolnej edukacji za udatny poczytać nie wypada: Jachowicz poszedł za Rochowem, Krauzem i innymi, którzy t. z. „ćwiczenia rozumu“ do edukacji na niefortunnych oparli podstawach. Tak u nich, jak u naszego pedagoga owe ćwiczenia zasadzają się na szczepieniu elementarnych pojęć logiki i psychologii, a to do celu nie prowadzi, bo „pewnem jest (jak słusznie powiada p. J. Wł. Dawid w swojej *Nauce o Rzeczach* ³⁾,

1) Dwa wydania.

2) Dwa wydania.

3) Teoretyczno-praktyczny wykład Nauki o Rzeczach pod zmysły podpadających przez J. Wł. Dawida str. 55, 216, 217.

iż wiek dziecięcy nie jest wiekiem rozumu i abstrakcyi, że zatem odwołując się przeważnie do tój władzy w pierwszych latach nauki, wyiskujemy z jednéj strony organ niedostatecznie rozwinięty, — z drugieję tracimy zbytęcnie pracę na osiągnięcie tego, co późnię o wiele łatwiej da się osiągnąć“. Widocznie autor sam poczęści uznał, iż R o z m o w y jego mogą przechodzić siły dziecięcę, bo w drugiem wydaniu (1856) modyfikuje nieco swoje żądanie, gdyż zamiast obowiązywać wyłącznie, aby je z dziećmi odbywano, powiada: „może jęj matka użyć jako dziełka pomocniczego przy wykładzie tēj nauki własnym sposobem; może ją czytać dziecię przy rozsądnęj matce lub nauczycielce. Może ją osoba ucząca zastosować praktycznie przy czytaniu innych ksiązek; nakoniec—można zwracać uwagę na te środki ułatwiający przy każdem zatrudnieniu w życiu potoczném“. Z tych wszystkich uwag autora zgodzić się można tylko na jedno, jako niewątpliwe, mianowicie, że jak te, tak i wszystkie inne ksiąki traktujące o psychologii i logice oddadzą zawsze usługę pedagogowi: niechże więc podobne ksiąki czyta każdy wychowawca i nauczający, niech z nich pożytek wyciąga dla siebie, ale niech dziecka nie męczy zawczęnie kwestyami logiki i psychologii, bo to jego siły przechodzi.

Jako ważny szczegół do życiorysu Jachowicza poczytać należy wzmiankę w przedmowie do 1-o wydania tēj ksiązeczki, że ówczesny Dozór szkół wyższych płci żeńskiej zawezwał go do napisania gramatyki polskiej dla tychże szkół. Mamy też dokument piśmienny, świadczący, że Jachowicz gramatykę tę napisał i przedstawił ją Dozorowi. Jakie ten rękopism jednak spotkały losy, nie wiemy.

W tymże samym 1830 r. Jachowicz począł wydawać czasopismo „Dziennik dla dzieci“.

Mamy gruntownie opracowaną kwestyą „Czasopism dla młodocianego wieku“ przez Piotra Chmielowskiego w Encyklopedyi Wychowawczęj (Tom III, zeszyt II); z tēj pracy też czerpiemy następującę wiadomości:

„Rozrywki dla dzieci“ Hoffmanowęj, wydawane od r. 1824 do 1828 były pierwszém czasopismem u nas dla młodocianego wieku. Przed r. 1824, jak powiada Chmielowski, „wszystko, co dla czytelnicy dziecinnej systematycznie robiono, można objąć ogólną nazwą „pism zbiorowych“ lecz nie peryodycznych“. Takiemi były przełożone: „Magazyny“ pani de Beaumont, „Wieczory zamkowe“ pani Genlis, „Teatr dla młodych“ teję (w tłumaczeniu ks. Ładowskiego), „Przyjaciel dzieci“ Berquina, „Biblioteka dziecinna i młodziańska“ Campęgo, „Nowy Buffon dla młodzieży, „Geografia historyczna“, a wreszcie i oryginalne: „Moje Rozrywki“ Anny z Radziwillów Mostowskiej.

W „Rozrywkach dla dzieci“ Hoffmanowęj uwzględniano następującę działy: 1) wspomnienia narodowe, 2) powieści, 3) anęgd-

ty prawdziwe o dzieciach, 4) wyjątki służące do ukształcenia serca i stylu, 5) wiadomości mogące być matkom przydatne.

„Rozrywki“ wychodziły co miesiąc. Z końcem roku 1828 atoli redaktorka ogłosiła, że czasopismo zamyka; wtedy począł wydawać Ignacy K. Chrzanowski „Tygodnik dla dzieci“, który przetrwał rok jeden. Chrzanowski wprowadził trzy nowe działy do tych, jakie w „Rozrywkach“ były, a mianowicie: opowiadania z historii naturalnej, zarysy z życia i literatury obcych narodów, oraz spisy i oceny książek dla dzieci.

W r. 1830 liczba czasopism dla dzieci doszła do trzech. Tytuły ich: „Ziemiomysł“ pod redakcją Chruckiego. Wychodził co dwa tygodnie, a mieścił wszystkie te działy, które Hoffmanowa wprowadziła, a prócz tego wprowadził dział „Historii naturalnej“. Drugim pismem był „Skarbiec“ wychodził w zeszytach miesięcznych („snopkach“), z ilustracjami ściśle zastosowanymi do treści. Treść zastosowaną była nietyle do rozrywki, ile do nauki: nauki przyrodzone i technologia najwięcej tu były opracowywane.

„Najlepszym, najprzystępniejszym dla młodych czytelników (pisze Chmielowski) był „Dziennik dla dzieci“, wydawany przez... Stanisława Jachowicza, a przy współpracownictwie znanego nam już Ignacego Chrzanowskiego. Jachowicz stworzył nową formę w czasopiśmiennictwie dla dzieci; wydawał bowiem pisemko swoje codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, tak że w przeciągu 1830 r. ogłosił 299 numerów, które utworzyły cztery spore tomiki. Cena prenumeracyjna była takąż jak i „Tygodnika dla dzieci“ (16 złp. rocznie). Wydając zazwyczaj dwie karteczki tylko naraz, nie mógł oczywiście Jachowicz rozwijać szerokich pomysłów. posługiwał się też pospolicie krótkimi bardzo artykułikami; ale jaka z nich była serdeczność! Do owego czasu nikt w ten sposób nie przemawiał do dzieci w druku. Powiedziawszy młodym czytelnikom we wstępie o potrzebie korzystania z „wiosny życia“ i poleciwszy im swój Dziennik, w dalszych numerach prawdziwie ojcowskim, za serce chwytającym tonem mówił im o rzeczach zwyczajnych, najzwyczajniejszych nawet, umiając niemi świeże umysły zainteresować, nie spodzianie potrafił wyprowadzić morał z opowiadania, którego nie podobna było posądzać o dążność moralizatorską, potrafił nauczyć i wzruszyć. Stąd powstały poufale stosunki między wydawcą a czytelnikami, tak młodocianymi, jak starszymi. Donoszono mu o enotach i wadach, rozpowiadano sobie wzajemnie jakieś pouczające zdarzenia, pisano wypracowania na zadany przez wydawcę temat, robiono nad niemi uwagi; radzono sobie wzajemnie, poprawiano błędy, strofowano i bawiono się. Tańska w chwilach tylko ważnych umiała się zdobyć na wymowę serdeczną; Jachowicz miał ją na zawołanie“.

Te wysokie pochwały, jakie nasz uczony krytyk wygłosił o „Dzienniku dla dzieci“ wynikły zapewne z porównania go z innymi czasopismami dla młodocianego wieku, z odróżnienia wszystkiego tego, co wyszło z pod pióra samego Jachowicza oraz z oceny całych 4-ch tomików pisma. Jeśli jednak rozpatrzy się szczegółowo samo pismo i porówna w niem artykuły pomieszczone, oraz porówna tomik pierwszy z innymi; to okaże się, że wyjąwszy utworów samego wydawcy—pozostałym, szczególnie w pierwszym tomie niejedno zarzucić można, a nawet niepodobną zaprzeczyć, iż sam wydawca — i tu, jak w poprzednio rozbieranych jego utworach—zapominał niekiedy o granicach umysłu swoich czytelników. Prawda, że autorwie artykułów, tu pomieszczanych, starają się naśladować ton serdeczny i tendencye redaktora, że ręka modyfikowała prace nadsyłane na swój sposób, ale prace te nie mogą za wzorowe być poczytane. To też wiele wierszyków np. Ludwika F., Eleonory G(agatkiewicz), później słynnej pisarki Eleonory Ziemięckiej do zbyt trudnych dla wieku młodocianego policzyć należy. Są też artykuły tchnące zbyt czynnym pesymizmem (Ostatni przyjaciel), to malujące okrutne obrazy („Ofiary u bałwochwalców“ „Okrutne przesady“), są i zanadto posępne (o śmierci, grobach), a anegdoty często niejasne, i rzadko dowcipne. Ale prawda i to— że większość prac nawet w pierwszym tomiku i popularnie i ładnie napisana, a tendencye podniosłe uszlachetniają każdą pomieszczoną tu pracę.

W „Dzienniku dla dzieci“ pomieszczano podobnie jak w „Rozrywkach“ 1) powiastki, traktaciki moralne, niekiedy charakterystyki złych i dobrych dzieci; 2) wspomnienia z życia narodowego, t. j. sylwetki lub epizody z życia osób historycznych, niekiedy zwyczajne tradycją uświęcone; pomieszczano też opisy miejscowości odznaczających się w dziejach; 3) obszernie traktaty z geografii powszechniej według niemieckiego czasopisma, wychodzącego w Wejmarze, 4) nauki przyrodzone, mianowicie: zoologia, botanika i fizyka wczesne miejsce zajmowały; sam wydawca a później Antoni Waga—pomieszczali tu bardzo popularnie a zajmująco pisane rozprawki; 5) wiadomości o życiu i zasługach obcych znakomitości w nauce, sztuce lub w ogóle w historii; 6) pomieszczano tu z pism codziennych mianowicie Kuryera Warszawskiego wyjątki, zawierające budujące czyny, lub w ogóle pouczające fakty. „W ostatnim dopiero miesiącu wyłącznie prawie zajęto się wypadkami krajowymi. mocno obchodzącymi zarówno starców, jak dzieci. To też znajdujemy tu, poczynając od Nr. 277, objaśnienia tego, co się wówczas działo, korespondencye o zdarzeniach bieżących, pieśni okolicznościowe, wylewy uczuć gorących i t. p.“

W ostatnim numerze czytamy zawiadomienie, że w r. 1831 „Dziennik“ wychodzić będzie tygodniowo, co sobotę pod redakcją Stanisława Jachowicza i Ignacego Chrzanowskiego. Obietnicy tej nie urzeczywistnili wydawcy.

W r. 1837 ukazała się książeczka niewielka pod t. „Zabawka dla małych dzieci, czyli stopniowe czytanie, ułożone podług bardzo pożytecznego dziełka pana Gauthier przez S. J.... z obrazkami, Warszawa, nakład Glüicksberga“.

Pierwsze 27 stronic książeczki drukowane są większym drukiem, pozostałe do 138 stronicy—mniejszym. Z początku znajdujemy zdańka krótkie, potem nieco dłuższe; stopniowo zdania te urywane rozszerzają się w małe opowiadania, nakoniec rozwijają się w powiastki i dyalogi. Opowiadania te, powiastki i dialogi — ograniczają się do kilku, najwyżej kilkunastu wierszy, każdy z takich urywków stanowi całość. Treścią tej książeczki jest życie dziecka, jego stosunek do rodziny, służby, zwierzątek, jego zabawy i zajęcia. Opowiada się tu o dzieciach dobrych, rzadko złych i wyciąga stąd przykład i nauzkę moralną. Celem tej książeczki jest podanie materiału do czytania nie przechodzącego sił dziecku, oraz stawiania wzorów do naśladowania lub przykładów, czego unikać należy. Styl od początku do końca prosty, przystępny, stopniowanie nader zręczne: nie znaleźliśmy ani jednego prawie wyrażenia, któreby dziecku stanowiło trudność w zrozumieniu. Przedstawiono tu światek dziecka, przebywającego na wsi, w domu rodziców inteligentnych i dość zamożnych. Gawędy te nie roszczą sobie pretensyi, aby przez niezwykle sytuacje porywały, mogą jednak interesować dziecko, bo wiele dzieci znajdzie w nich odzwierciedlenie swojego życia. Z pomiędzy dyalogów atoli—drugi pod t. „Wiktorek i Ciocia“ niezbyt zręczny, mianowicie dla tego, że Ciocia niesłusznie strofuje siostrzeńca za to, że się oburzył na kotka, który zadusił wróbelka. Ciocia zapomina, że tu uczucie dziecka słusznie potępia kotka, jako zbrodniarza; sądzi go nietylko jako szkodnika. W powiastce znowu: „Ojciec w dobrym humorze“ jakkolwiek pożyteczna nauzka dana Anielce o tém, skąd się chleb bierze i o tem, że naprzykrzać się nieładnie, — to jednak niemile wrażenie sprawia żartowanie ojca przez czas zbyt długi z dziecka wtedy, gdy ono z głodem się pasuje. Te małe usterki jednak giną śród wielu rzeczy niemałej wartości p e d a g o g i c z n e j.

W r. 1847 wyszła książeczka o 130 stronicach pod t. „Czytania Józji, dziełko przeznaczone dla młodych dziewczynek, mianowicie między 10 a 12 rokiem“, przez Stanisława Jachowicza, Warszawa, nakładem Spiessa i Spółki.

W obec dzisiejszego ruchu emancypacyjnego i dzisiejszych założeń edukacyi dziewcząt—książeczka ta wydaje się przestarzałą ze względu na tendencye autora. Główném bowiem zadaniem książeczki jest rozbudzenie zamiłowania do zajęć gospodarczych, zaszczepienia skromności i tych cnót w ogóle, które sposobią do pełnienia obowiązków dobrej, miłej gosposi, kochającej, potulnej a usłużnej córki siostry, żony, matki. I o wykształcenie umysłowe tu chodzi naturalnie, ale stoi ono na drugiem planie.

Zachęcanie do cnót a cdstręczenie od wad—autor przeprowadza przez opowiadania o dziełczynkach dobrych lub złych. Opowiadania te są krótkie, zwięzłe, jasne, ale bez wyższego aryzmu. Pomiędzy opowiadaniem takimi, mającemi wprost na celu umoralnianie — znajdujemy rozprawki o lnie, bawelnie, jedwabiu, bardzo popularnie i dokładnie napisane. Autor przywiązuje bardzo wielką wagę do swego dziełka: każe po odczytaniu każdego ustępu—wpytać o treść nietylko tego, co się obecnie przeczytało, ale i poprzednich ustępów dla kontroli, czy się je pamięta.

Oto jego zdrowe uwagi o czytaniu książek przez młodzież. „Chcąc, aby czytania moralnych i naukowych książek prawdziwą korzyść dzieciom przyniosły, nie dawajcie ich w rękę im samym. Z niemi czytajcie, zwracajcie uwagę na to, co prawdziwie pożyteczne, dawajcie im stosowne pytania, odświeżajcie często w ich pamięci nauki w tych książkach czerpane, i uczcie je, jak czynami okazywać korzyść odniesioną z czytania“.

Do każdego rozdziału autor dołączył szereg odpowiednich pytań, służących do powtórzenia opowiadania i wyprowadzenia z niego wniosków. W końcu swoich przestróg zaleca jeszcze: „Przy każdej sposobności niech nauczyciele i rodzice przypominają dzieciom, co czytały, o ile dotrzymują obietnicy w odnoszeniu prawdziwej korzyści. Niech dzieci po każdym uchybieniu powtórzą czytanie, które im dobre wskazuje rady. Nakoniec—niech tę książeczkę ochraniają starannie, a skoro się staną starszemi, niech ją dochowają dla młodszych i tak im powiedzą: ta książka lepszemi nas uczyniła, czytajcie ją, a i wy lepszemi będziecie“. Uwagi te autora — nigdy na wartości nie tracą zapewne, chociaż długo czekać przyjdzie na to, aby wychowawcy wprowadzać je w czyn zechieli.

„Pamiętki dla Eryczka“ dwa tomy pierwsze wyszły w 1846 r. trzeci w 1847, ¹⁾ czwarty w 1852. Przy tomiku drugim autor w przedmowie tak serdecznie poleca swoje dziełko“. Kochane dziecię! Ojciec przygotował dla ciebie pamiętkę, bo cię bardzo kocha. Jeszcze z tej książeczki korzystać nie możesz, boś bardzo mały, ale ta książeczka zostanie, choćby cię ojciec tu na ziemi opuścił. Pod opieką boską, z tą książeczką w rękę, przebiegać będziesz tę drogę, która się dla Ojca twojego już kończy. Pragnąłem tu zebrać, coby ci się w każdym wieku przydało. Ile razy co z tej książeczki zasłyszysz, będzie to głos ojca twojego. Pochlebiam sobie, że miły będzie dla ciebie. Ale ty, drogi Eryczku! wszyskiem się lubisz dzielić — może się i temi nauczkami z innemi dziećmi podzielisz. Są dzieci, które już to rozumieją, tym pozwól swojej książeczki. Ojciec twój wszystkie dzieci kocha, ojciec twój pragnie, aby wszystkie dzieci były dobre, cnotliwe, a jaka to będzie dla serca jego pociecha, że się czego pożytecznego nauczyły z książeczki Eryczka, ukochanego syn-

¹⁾ Trzech pierwszych tomików wydań 3.

ka, o którego długo prosił Boga, i Bóg go wysłuchał. I dał mu synka dobrego, grzecznego. Oby ten synek zawsze był dobry i pożyteczny ludziom, aby rósł w błogosławieństwie boskiem stawał się coraz światlejszym i lepszym“.

Stosownie do tak poważnej dedykacji—znajdujemy w czterech książeczkach dobór artykułików nacechowanych dążnością udoskonalenia moralnego, niekiedy nauczania czegoś nowego—młodego czytelnika. Są tu i wierszyki, są powiastki, traktaciki moralne, przysłowia, wyjątki z pisarzy dawnych, jak Skargi, Stanisława Radziwiłła, są i rozprawki w miniaturze z nauk przyrodniczych: o wietrze, elektryczności, szybkości niektórych zwierząt, o instykcje zwierząt;—jest ciekawy artykułik o różnych wynalazkach, o instytucjach dobroczynnych Skargi. Opowiadania o Dorocie, piastunce w jaki sposób szczepiła cnoty w swoim wychowawcu, oraz praktyczne wskazówki, w jaki sposób należy uczyć dziecko początków pisowni i arytmetyki, jakkolwiek na dzisiejsze czasy nie wydają się dość właściwe w książeczce przyznaczonej dla dzieci—przedstawiają cenne uwagi dla wychowawców i nauczycieli początkowych. Podobnież dla takich nauczycieli będą bardzo interesujące ustępy z logiki i psychologii „mające na celu przygotować do gramatyki“, pozostaną one wzorem, jak należy popularyzować najtrudniejsze nawet wiadomości,—ale, jak to już wyżej nadmieniliśmy, mówiąc o „Rozmowach matki z Józią“—są one dla dzieci początkujących zatrudne, przechodzą ich siły.

Wszystkie w tych książeczkach artykułiki trzymane są w tonie po większej części bardzo poważnym, odpowiednim do założenia wypowiedzianego w przedmowie; wyznać jednak musimy, że chociaż każdy z nich jest niemalże pedagogicznie wartości, to przecież razem wzięte wskutek jednostajnie poważnego tonu, wskutek przewagi artykułików umoralnienie mających na celu—wytworzyły książeczki za poważne dla dzieci.

W r. 1848 i 1849 Jachowicz wydawał „Kalendarzyk dla dzieci“. Oprócz zwykłych w kalendarzach wiadomości—znajdujemy tam rozprawki z dziedziny astronomii, to traktaciki moralne, np.: o korzystaniu z czasu, to powiastki, to wierszyki, zagadki, anegdoty; są też i przepisy z gospodarstwa domowego dla dziewcząt, lub z dziedziny ogrodnictwa; nie zapomniano tu i o opowiadaniu z życia zwierząt, materyi widocznie ulubionej przez naszego pedagoga. Dobór tych króciutkich opowiadań i poezyjek jest bardzo stosowny i ładny; obok interesującej treści i lekkiej a wdzięcznej formy—rozmaitość tu niemała, co sprawia, że kalendarzyki te do najudatniejszych prac Jachowicza zaliczyć wypada. „Bocian w Bojanowie“—wyborny!

W r. 1848 wyszła też „Zabawka abecadłowa“. Jestto mała broszurka, ukazująca środki łatwego nauczania abecadła; z dziewięciu fignek wyciętych z papieru—dziecko przy pomocy wskazówek udzielonych przez matkę—układa wszystkie litery. Uczy się więc,

biając. Broszurkę kończą uwagi, jak w dalszym ciągu należy prowadzić naukę czytania, unikając formalnych, zrażających dziecko, lekcyj. Intencje autora są tu, naturalnie, bardzo chwalebne, tylko w możliwości spełnienia ich niełatwo wierzyć.

W r. 1855 wyszło może najpiękniejsze z dziełek Jachowicza: Śpiewy dla dzieci, z melodyjami: Ignacego Dobrzyńskiego, księcia Kazimierza Lubomirskiego, Stanisława Moniuszki i Józefa Nowakowskiego. W dwa lata zaś później: „Nowe śpiewy dla dzieci“ z melodyjami: Fryderyka Chopina, Ign. Fr. Dobrzyńskiego, Ignacego Komorowskiego, Jakóba Lothaka, Józefa Sikorskiego, Wilhelma Troschla i dziesięcioletniego Franusia.

Podobnie, jak w książeczkach z poezijkami, mimo nadpisu „dla dzieci“—pomieścił tu autor pieśni i dla starszych, nawet dorosłych. Są tu i poemaciki nie nadające się może do śpiewu; jedne z tych pieśni zresztą większej, drugie mniejszej wartości, ale wogóle wzięte przedstawiają istotny skarbzyk poezyi. Treścią ich: uczucia dziecka względem Boga, rodziców, rodzeństwa; to znowu piosnki odpowiednie przy zajęciach, zabawach; to stosowne do pór roku, chwil dnia i t. p. Są i piosenki specjalnych fachów np.: pieśń kominiarczyka, piaskarza, szewczyka i t. p. Na ulubiony temat, budzenia współczucia dla sierot ubogich—jest kilkanaście rzewnych śpiewek. Oba tomiki śpiewnika nie odznaczają się obfitością melodyj. Charakterystyczna, jak na śpiewnik, jest przedmowa autora w drugim tomiku: główna jego uwaga i tu zwrócona na myśli zawarte w piosenkach, na wyniknąć mające ztąd umoralnienie szczególnie. Oto, co pisze: „O—mnie się zdaje, że piosnka ze wszystkich rodzajów wierszyków przeznaczonych dla dzieci jest najpożytniejszą: przedmiot jej obszerny, jak świat. Autor nie tylko ma korzystać z pocziwych uczuć dziecięcych, ale najmniej poetyczne przedmioty mogą dostarczyć najwyborniejszego materiału do piosnek dla dzieci, a czem mniej poetyczne, tém bardziej będą uczyły myśleć, bo pokażą, że wszędzie myśl znaleźć można byle natężyć uwagę i szukać. Jeżeli trudno będzie zdobyć uczucie, to jakieś praktyczne nasunie się spostrzeżenie, jak w przysłowiu...“ A dalej: „W Ignasiu z Tamki chciałem odmalować typ naszych biednych chłopczyków, przestających na małym, nie narzekających, nie oddanych rozpaczy przy niedostatku, nawet pobożnych, za każdy kawałek chleba dziękujących Bogu, a przynajmniej tak, jak pragnę, żeby było. Chciałbym przynajmniej to, w nich wmówić. Jeżeli tak nie jest, to źle, chciałbym przekonać, że tak być powinno.

W 1855 wyszedł też nader udatny zbiorek powiastek dla dzieci mniej więcej do lat 12, pod tytułem „Książeczka dla Stefcia“. Oprócz powiastek znajdujemy tu komodyjkę, wierszyki, przysłowia. Pomiedzy powiastkami jest tak wiele odznaczających się, że niełatwo odważyć się na wybór. Stopniowanie tak pod względem rozmiaru powiastek jak i wysokości pojęć tu widoczne, a naśladowanie stylu

w dziecinnych opowiadaniach z zachowaniem przeciw miary, nie dozwalającej kazić języka—doskonale. Ku końcowi książki pomieścił autor opowiadania o zasługach, czynach lub charakterach osób rzeczywistych: ks. kanonik Juszyński, Teofil Janikowski, ks. Wincenty Głoskowski, kanonik Sandomierski, pani Olszewska i Anioł Opiekuńczy. Naturalnie takie opowiadania o faktach rzeczywistych i za więcej interesujące i silniej oddziaływające uważać wypada. Nadmienić tu jeszcze należy, że powiastki te wyróżnia weselszy nastrój ducha, niż zwykle, i mniej też tu moralizowania, a sytuacje zaciokawiające. Mają one jeszcze tę zaletę, że noszą charakter miejscowy, kreślą zwyczaje życia wiejskiego. Spotykamy to np. w powiastce: Podpłomyki, Dworek pod laskiem i t. p. Pierwsze buty, Chłopczyk co lubił wszystkich poprawiać—wyborne.

W r. 1857 wyszła bardzo ładna książeczka p. t.: „Ćwiczenia pobożne dla dzieci, rozwijające myśl“ przez St. Jachowicza, Jestto zbiorek jakby rozmyślań religijnych, nasuwających się wśród codziennego życia dzieci. Refleksye takie nasuwa autor np.: gdy bije godzina, lub na widok kwiatów, chatki wieśniaczek, kościółka, gwiazd, albo przy spotkaniu różnych zajęć ludzi jak: stolarza, krawca i t. p.

Przytaczam ustęp z jednego rozmyślenia, aby dać poznać to oryginalne a pożądane w naszej literaturze zjawisko.

„Oto chatka wieśniaka. Strzecha słomiana ją okrywa, małe przepalone okienka, bo je łatwiej naprawić, gdy mała. Duże dużoby kosztowały. Bogatszych ludzi domy piękniejsze czasem, z cegły lub z kamienia. Ale Pan nie będzie pytał, w jakim domu mieszkałeś, tylko—czyś był dobry, czyś kochał ludzi. Jeżeliś z tej chatki wyniósł chleba dla dziecka, lub suchych kartofelków, ale z życzliwego serca, to Panu milsza będzie twoja chatka, niż pałac bogacza. Wejdźmy do tej chalupki. Czysto wszędzie, schludno, chędogo“. Następnie idą przykłady o porządku, schludności, bogobojności, oszczędności i zachęty do kształcenia się w tych cnotach. Przy końcu autor powiada: „Nie ma tu książek. I szkoda, że nie ma, bo książka wiele nauczy, ale w Bogu nadzieja, że wieśniak polski zamiluje czytanie i pozna wolę Boga. Książki mu powiedzą, jak się truje gorzalką, jak Boga i bliźniego kochać należy, jak piękne ludzie porobili odkrycia, jak teraz krótka droga tam, gdzie ojcowie nasi długo się błakali. O święty promieniu Boży, oświeć kochanych ziomeków i sprowadź na ziemię naszą błogosławieństwo Boże.“

W r. 1858, a więc po śmierci autora, została wydana książka pod tytułem: „Pomysły do poznania zasad języka polskiego“. Z materiału, jaki w tej książce znajduje się, wnosić można o duchu, jaki ożywia Jachowicza, jako nauczyciela języka; wszędzie wyciśnięte piętno miłości do przedmiotu i pragnienia, aby takimi uczuciami przejąć słuchaczy; wszędzie widać dążność, aby z gramatyki zrobić naukę rozwijającą, aby mowa była zależną od rozumnej myśli. To też—niezawodnie książka ta przedstawia bardzo korzystną lekturę

dla nauczyciela, pragnącego wywiązywać się ze swoich zadań. Odnie- sie on też korzyści, jeśli wiele z uwag pedagogicznych zastosuje przy nauczaniu, opierając je przecież na nowszych wynikach badań gramatycznych, niż jest opartą, bo téż gramatyka zawdzięcza wiele czasom najnowszym. Do pośmiertnych wydawnictw należy też: Elementarz opracowany z pozostałych materyałów po Jachowiczu, jak również i kalendarzyk za r. 1876.

Co do innych pomniejszych prac Jachowicza ograniczymy się tu na ich wyliczeniu, o ile nam są znane. Nie będziemy zajmowali się niemi szczegółowiej tém więcéj, że pośredni tylko mają związek z pedagogią, a więc i z podjętym przez nas tematem w niniejszej pracy. Należą tu: Siedm obrazków z życia Jezusa; Rady wuja dla siostrzenicy; Kościelny w dzień Wielkiej nocy; Przestroga dla mojej kochanej siostrzenicy idącej za męż; Myśli o Krzyżu; Wierszyki moralne; Ojciec do syna rolnika; Podróż po kraju; Nadwiślanie; Książka dla rzemieślników; Rozrywki dla młodzieży rzemieślniczej.

IV.

Po przejrzaniu owéj spuścizny literacko-pedagogicznej widzimy, że ona składa się z powiastek, bajek—mową rymowaną i nierymowaną pisanych, czyli z beletrystyki dla dzieci, oraz z rzeczy metodycznych, mających za przedmiot naukę języka ojczystego w zakresie początkowego, a poniekąd i średniego stopnia. Nadto w książeczkach, obejmujących bajki i powiastki pomieszcza autor i rozprawki z różnych dziedzin życia i nauki.

Co do rzeczy metodycznych, to ze względu, iż metody jeżeli nie doskonałą się zawsze, to przynajmniej zmieniają się w nadziei, że są lepsze, niż poprzednie, niektóre rzeczy metodyczne Jachowicza, uległy poniekąd przedawnieniu. Powiadam „poniekąd“, bo baczny czytelnik—niejedną myśl wypowiedzianą przez tak doświadczonego pedagoga—uzna zapewne za pożyteczną i dzisiaj, a może i zawsze. Powiadam też „niektóre“, bo wskazówki przy „Bajkach“ odnoszące się do czytania z dziećmi, a raczéj objaśnień tego, co się czyta, oraz do nauki początkowej pisania są zgodne z wymaganiami dzisiejszej metodyki.

Co do wiadomości z życia i przygodnych artykułów naukowych, pomieszczanych w czasopismach i innych książeczkach, to te naturalnie z biegiem czasu muszą ulegać zmianie i na swéj wartości tracić, sposób tylko popularnego a serdecznego traktowania przedmiotu—pozostanie zawsze pewnie jako wzór godny naśladowania.

Ale z rzeczami beletrystyki sprawa staje inaczej, tu rozstrzyga o trwałości przede wszystkim talent. A utalentowani prawdziwie zawsze będą zjawiskiem rzadkiem, to też według naszego zdania—nikt

Jachowicza dotąd nie przyćmił. Nie chcę ja przeto powiedzieć, aby ci, którzy na tej niwie pracują, nie byli pożytecznymi, aby przez układanie czy to wierszyków, czy prozy, czy muzyki w śpiewnikach dla specjalnych gatunków szkół, lub wieku dzieci albo przez opracowywanie nowych tematów—nie oddali wielkich usług naszej pedagogii—twierdzą tylko, że nie mieliśmy równego Jachowiczowi poety—dla wieku dziecinnego. A powtórzę tu jeszcze to, co poprzednio nadmieniałem, iż nie omylę się pewnie, jeśli powiem, że i w literaturze dla dzieci powszechniej—jeśli nie będzie on najwyższym, to stanie w rzędzie najwyższych poetów.

Dla poparcia zdania, któreśmy wyżej powiedzieli, że pisma Jachowicza dla dzieci, były wdzięcznie przyjmowane i wysoko cenione przez społeczeństwo—przytoczymy tu myśli i uczucia wygłoszone przez przedstawicieli tego społeczeństwa i znawców literatury pięknej.

Oto—co mówi Kraszewski: ¹⁾

Wiele głosów wypowie narodu uczucie,
Dziatki Ci zaśpiewają Twoje własne pieśni,
Poznasz plon Twego ziarna w ich niewinnej nucie,
I całe Ci się życie w ich śpiewach odeśni.

Niechaj i mój głos cichy w tym ozwie się chórze,
B a j a r z u stary—przyjmij, na co piersi stało;
Przeżyłeś dnia znojnego i trudy i burze,
Używaj dnia spoczynku z spokojem i chwałą.

Fr. Salezy Dmuhowski tak maluje obraz Jachowicza:

Jest mąż daleki od piśmiennój wrzawy,
Sercem i duszą umiłował dziatki,
Nie pragnął zysku, wziętości i sławy,
Z ojczyściej niwy zbierał dla nich kwiatki.
Nauczycielską pełniąc pracę świętą,
Był dla nich wzorem, przewodnią, zachętą,
On się jak dziecię z dziatkami zespolił,
Z niemi się cieszył, z niemi się mozolił,
W sercach szlachetne rozbudzał uczucie.
Z nędzy wyrosłe wypieniał zepsucie,
Litosną dłonią kojąc łzy sieroco,
Biednym rozdawał swych trudów owoce.

¹⁾ „Wieniec“ pismo zbiorowe, ofiarowane Stanisławowi Jachowiczowi, zeszyt II, r. 1857.

ELEWATORY I WARRANTY

oraz ich znaczenie w handlu zbożowym.

Budowa dróg żelaznych w Rosyi, nagromadzenie na stacyach, niewysłanych towarów straty ponoszone przez producentów i kupców, którzy narażeni byli częstokroć na przetrzymanie zboża przez parę miesięcy na stacyach, bez żadnej ochrony, skłoniły rząd do obmyślenia środków, któreby poprawiły położenie.

W 1887 roku pod rozpatrzenie Rady Państwa wniesiono projekt normalnej ustawy składów towarowych, w rzędzie których pierwszeństwo mają składy zbożowe z elewatorami. Prócz technicznej strony zbudowania takich składów, projekt zawierał przepisy urządzenia inspekcji dla nadzoru nad dokładnym sortowaniem zboża, jak również podnosił potrzebę wydawania rolnikom i handlującym pożyczek na warranty.

Jak to poniżej zobaczymy, wprowadzenie w życie powyższego projektu miało polepszyć położenie; by jednak ocenić rezultaty, poznać należy: czém są takie składy towarowe i czém wydawane przez nich warranty?

Z powodu wielkiego znaczenia kwestyi, postaramy się najtreściwiej objaśnić czytelnika z całą manipulacją.

Elewatory są to składy, przyjmujące towary i wydające stosownie o tém świadectwa. Jeżeli np. producent lub handlujący, własnych składów nie posiadają, lub we własnych magazynach towaru trzymać nie chcą dla jakichkolwiek bądź przyczyn, oddają go do publicznego składu i otrzymują w zamian świadectwo z wymienieniem jakości i ilości, na mocy którego w każdym czasie zwrotu towaru domagać się mogą. Jest to pierwsza zatem manipulacja dogodna dla strony, za którą jednak idzie druga, o wiele ważniejsza, mianowicie: otrzymane świadectwo czyli warrant zastępuje w obiegu sam towar. Właściciel bowiem warrantu może go zbyć lub zastawić, zbyć jeżeli to przedstawia mu się na razie korzystnym, zastawić, jeśli sądzi, że cena towaru pójdzie w górę.

Jednocześnie i komisya rolnicza p. Plewego zajmowała się tym projektem, a na jednym z jej posiedzeń, jeden z największych właścicieli ziemskich w Rosyi, p. Krywoszin, wygłosił pogląd swój na obecne stosunki handlu zbożowego i obliczył, że do pewnego stopnia zneutralizować można szkodliwy wpływ ceł zbożowych za pomocą

budowy elewatorów. Korzyści, jakie to urządzenie niesie handlowi, średnio wynoszą 18 kop. na pudzie wszelkiego zboża, a więc przy wywozie 250 milionów pudów, zyska się 45 milionów rubli oszczędności. Ponieważ na budowę elewatorów potrzeba będzie około 20 milionów rubli zachodzi pytanie zkąd wziąć tak znaczną sumę? O mniejszej bowiem myśleć nie można, gdyż elewatory wtedy tylko korzyści przyniosą, gdy sieć ich rozprowadzoną zostanie prawidłowo i funkcyonować będą nie tylko na rynkach wewnętrznych, i eksportowych, ale na stacyach i przystaniach. Proponował więc p. Krywoszin, by obłożyć wywóz zboża opłatą po pół kop. od puda, co da półtora miliona rubli rocznie, dostatecznych do opłaty procentów i amortyzacji od kapitału dwudziestu milionów rubli, potrzebnego na budowę elewatorów.

Właściwem tu będzie, byśmy wspomnieli o warrantach zagranicznych, objaśni to bowiem położenie tej sprawy tam, gdzie spieszniej znacznie organizacja tych środków kredytu została w życie wprowadzoną.

„Biblioteka Warszawska“ już w 1884 i 1885 r. o tém mówiła. W 1884 r., w kwartale czwartym, w dziale ekonomiki ogłosiła wyjaśnienie o elewatorach i warrantach w Anglii, Francyi i Niemczech. W 1885 r. w kwartale drugim, opisane były wielkie elewatory zagraniczne, wysokość kosztów i wykazane potrzeby magazynów zbożowych w Warszawie, Iwangrodzie, Sandomierzu i Włocławku.

Do tych wiadomości dodajemy trochę szczegółów, które obszerniej nieco wyjaśnią kwestyą warrantów i wpłyną może na tutejsze przepisy o warrantach, bo o ile je znamy, mają one wiele niedoładności.

Początek takich składów znajdujemy w Liverpoolu, na sto lat przed urządzeniem londyńskich doków. Angielskie składy tworzą basseny, w które wpływają okręty i obszerne magazyny dla składania wyładowanych towarów. Po przeniesieniu tych urządzeń na kontynent Europy, pojawiły się składy wewnątrz państw, w licznych punktach handlowych.

Co się tyczy wydawania warrantów, to do XIX stulecia, zajmowali się tém meklerowie, z czasem atoli same zarządy składów wszyskiem się trudniły.

We Francyi, składy wydające warranty, postanowione były dekretem 1848 r. Rząd polecił wybudować składy, w których kupcy, przemysłowcy i rolnicy mogli składać surowe produkty. Rząd miał przy tém na celu ułatwienie kredytu, dopuszczając w Banku francuzkim i jego oddziałach udział warrantów z dwoma podpisami, zamiast trzech, żądanych przy wekslach.

Wprost przeciwnie zwyczajom istniejącym w Anglii, francuzkie prawo żąda zezwolenia rządu na budowę elewatorów. Postępowanie w tych składach jest następujące: składającemu wydaje się kwit z oznaczeniem nazwiska, miejsca zamieszkania, rodzaju złożonych

produktów i danych, według których można sądzić o jednoznaczności i cenie produktu. Do kwitu dołącza się warrant, jednakówj z kwitem treści. Kwit i warrant mogą być cedowane razem lub osobno. Na kwitach i warrantach przekazy robią się z oznaczeniem liczby. Przekaz na warrantcie oddzielonym od kwitu, powinien w sobie zawierać oznaczenie kapitału i procentu, czas wypłaty, nazwisko i miejsce zamieszkania kredytora. Pierwsza osoba, której zcedawano warrant, powinna wnieść zrobiony przekaz w rejestr składu, o przekazie tém robi się wzmianka w warrantcie.

Właściciel kwitu oddzielnego od warrantu może opłacić zabezpieczoną sumę warantem w terminie. Jeżeli właściciel warrantu niewiadomy z pobytu, lub wiadomy, lecz nie zgłosił się z dłużnikiem w terminie wypłaty, to suma razem z procentami, może być zaniesiona do administracyi elewatora, która odpowiada za ową sumę i zwalnia towar od zastawu.

W razie nie zapłacenia na czas, właściciel warrantu, oddzielnego od kwitu, może po dniach ośmiu po proteście, nie uciekając się do żadnych prawnych formalności, przystąpić do publicznej licytacji zastawionego towaru. Warrant, oddzielony od kwitu, dla trzeciej osoby, działającej ze świadomością, ma jako zastawny dokument cenę równą całej wartości produktu, jeśli na warrantcie nie oznaczona suma, której spłata przez niego zabezpieczona.

Jeśli strony nie zgadzają się na warunki wypłaty, to zaliczający i właściciel kwitu mają prawo, zawiadomiwszy stronę interesowaną, wnieść sumę należną według warrantu, na ręce odbierającego towar. W razie niezapłacenia po upłynionym terminie warrantu, właściciel jego może po oznaczonym czasie, zawiadomiwszy wierzyciela i podawszy prośbę do sądu handlowego, uzyskać pozwolenie na sprzedaż zastawionego towaru, albo na publicznej licytacji, albo prywatnie.

Przeciwko postanowieniom przewodniczącego lub zastępującego go sędziego, może być założona apelacya w ciągu trzech dni od wydania wyroku; w przeciwnym razie postanowienie uważa się za obowiązujące.

Suma, przewyższająca należność właściciela warrantu, zwraca się właścicielowi towaru po przedstawieniu kwitu lub dowodu o niezapłaceniu sumy sprzedażnej; w razie przeciwnym odbiera ją kasyer sądowych wkładów dla zapłacenia należności, na rachunek sumy, wniesionej przez przedstawiciela kwitu.

Osoba, posiadająca warrant, ma prawo poszukiwania przeciwko pożyczającemu i przekazującemu weksel, którzy odpowiadają wszyscy za jednego i jeden za wszystkich. Poszukiwanie może być rozpoczęte po przedstawieniu praw towaru, lub po zapłaceniu polisy ubezpieczającej lub w razie możliwej straty: właściciel warrantu traci w każdym razie prawo poszukiwania przeciwko przekazującemu weksel, jeżeli nie przeprowadzi sprzedaży produktu w ciągu 30 dni od terminu wypłaty.

Właściciele kwitów i warrantów mają na sumę przypadającą jako wynagrodzenie ubytków po zabezpieczeniu, te same prawa i przywileje jak i za zabezpieczony towar. W razie zgubienia warrantu lub kwitu, taki jest sposób postępowania: Dokumenty tracą swą wartość, jak tylko osoby, które je wydały, są o tém powiadomione. Za zgubiony kwit i warrant wydaje się duplikat, z rozporządzenia prezydenta handlowego sądu, po upływie 30 dni po ogłoszeniu o zgubie, jeśli gubiący dowiedzie własności.

W Anglii każde świadectwo jasno wskazuje komu w nim wymieniony towar ma być wydany. W razie niedopełnienia formalności w świadectwie, skutkiem braku przekazu lub w razie zguby tego świadectwa, należy piśmiennie zwrócić się do sądu z wymienieniem okoliczności i przedstawieniem dokumentów, stwierdzających prawo do towaru.

Wszystkie towary, przyjęte do składów kompanii, wydają się po przedstawieniu warrantu. Niektóre towary wydają się za czekami, lecz warrant wydają się na żądanie właściciela produktu albo na cały towar, przyjęty do składu, albo na oddzielne partye, na które dzieli się towar według woli właściciela.

Przy wydaniu części towaru, udziela się nowy warrant na część pozostałą. W razie podziału towaru na partye, lub ustąpienia jego części, wydaje się nowe warranty lub części. W Anglii na złożony towar wydaje się często jeden tylko dokument, warrant. W takim razie prawo na towar odstępuje się po podpisaniu warrantu, który przechodzi z rąk do rąk jak weksel. Kiedy na towar wydana pożyczka i dług obciąża towar, wtedy, chcąc go sprzedać, trzeba uzyskać drugi dokument, kwit. W razie, jeżeli towar nie zaraz będzie sprzedany, może być zastawiony i na jednym warrancie.

Taki porządek bardzo upowszechniony jest w Anglii, gdzie istnieje liczna klasa maklerów, zajmująca się dyskontem. Producent odnosi swój warrant, zrobiwszy na nim przepis in blanco, do bankiera-maklera i dostaje pod zabezpieczeniem warunku kredyt, czasem do $\frac{3}{4}$ wartości towaru, z oznaczeniem na warrancie czasu wypłaty. Jeżeli producent chce sprzedać swój towar na kredyt, to bierze sprzedany warrant i umawia się o cenę z kupcem. Kupiec płaci maklerowi 10% od téj ceny i różnicę, pozostającą po wyrachowaniu 10% między wydaną sumą i umówioną ceną.

Sprzedaż odbywa się także przez licytacją, przy czém kupujący wnosi zadatek 10% do 20% od ceny, odnośnie do rodzaju towaru i otrzymuje ulgę w wypłacie na 30 do 90 dni.

Nie przedłużamy więc tych wiadomości, bo miejsce nie ku temu, parę tylko uwag ogólnych pomieszczyamy.

Za granicą pod względem obrotów warrantów istnieją dwa prawodawstwa. Jedno obowiązujące w Niemczech i Austrii, drugie — we Francyi, Belgii i Włoszech. Tu jednak i tam za zasadę przyjęto, że warrant wystawiane i ustępowane być mogą na zlecenie, a wyle-

gitymowany przez indos posiadacz warrantu ma zupełne prawo rozporządzenia objętym przez warrant towarem.

Prawodawstwo jednak Niemiec i Austrii, nie rozróżnia dostatecznie zastawu od zupełnego ustąpienia i uznaje tylko proste ustąpienie warrantu. Jest to zatem zasada niewygodna, częstokroć dla jednej ze stron krzywdząca. Jeżeli bowiem umowa między wierzycielem i dłużnikiem nie może być ujawnioną, a opiera się tylko na jakimś ustnem zapewnieniu, dłużnik znajduje się w ręku wierzyciela. Ten ostatni bowiem, na mocy posiadanego warrantu, może towar sprzedać i nie zwrócić dłużnikowi reszty szacunku, pozostałego po zaspokojeniu wszystkich należności. Przy tém dłużnik, wydawszy warrant, pozbawiony jest możności sprzedaży towaru w czasie, który dla siebie uzna za właściwy, choćby nawet sumę dłużną chciał zapłacić lub złożyć ją do depozytu.

Natomiast prawodawstwo francuzkie i włoskie, warrant zupełnie inaczej rozumie, stawiając go na równi z wekslem, a nawet wyżej od niego. Mianowicie zarząd składu, przyjmującego towar wydaje dwa świadectwa, z których jedno jest świadectwem składu, drugie właściwym warrantem. Na mocy posiadanego warrantu, właściciel może na niego zaciągnąć pożyczkę, z oznaczeniem jej wysokości i terminu zwrotu, wierzyciel zaś również przez indos może odstąpić go osobie trzeciej. Potrzebną jest tylko dla dopełnienia formalności; ażeby pierwotny posiadacz warrantu, na świadectwie składu uczynił wzmiankę o nazwisku wierzyciela, wysokości zaciągniętej pożyczki i o terminie jej zwrotu. Szczegóły te, zarząd składu zastrzega w księgach depozytowych. W terminie wymagalności pożyczki, dłużnik obowiązany jest warrant wykupić, czego jeżeli nie uczyni, wierzyciel towar przez publiczną licytacją sprzedaje, a ewentualnie nadwyżka przypada oddającemu na skład lub też posiadającemu świadectwo składu. Gdyby posiadacz świadectwa chciał wcześniej towar sprzedać, wolno mu to uczynić, pod warunkiem zdeponowania w zarządzie składu sumy zastawnej, na warrant zaciągniętej, która wierzycielowi za zgłoszeniem wypłaconą zostanie.

Istnieje przytem jeden jeszcze ważny przepis, regulujący odpowiedzialność poprzednich posiadaczy warrantu. Zdarzyć się bowiem może, że suma ze sprzedaży osiągnięta, nie pokrywa należności warrantowej. W tym wypadku prawo czyni wszystkich indosentów odpowiedzialnymi względem posiadacza za niezyskaną przy sprzedaży kwotę zastawu. Ponieważ w poszukiwaniu regresowém stosowane jest prawo wekslowe, warrant staje się papierem o wiele wyższym nad weksel. Posiada on bowiem podwójne zabezpieczenie: rzeczowe, oparte na wartości towaru i osobiste, na solidarnej odpowiedzialności indosentów. Ten ostatni warunek czyni warrant papierem kredytowym pierwszorzędnej wartości.

Wyjaśniwszy znaczenie warrantów, wskazaliśmy już ich użyteczność, która wymaga jaknajspieszniejszego wprowadzenia podobnego prawa u nas z uzupełnieniami według wzorów prawodawstwa francuzkiego i włoskiego. Z chwilą, gdy to nastąpi, zboże, będące towarem trudnym w obiegu, charakter ten straci i rolnik, odstawiwszy je do składów towarowych i otrzymawszy warrant, uruchomi kapitał, przedstawiający wartość towaru, wychodzi z zależności, w jakiej go obecne stosunki stawiają.

Zapoznać się nam trzeba z istniejącymi w państwie elewatorami. Przedewszystkiem pomówimy o warszawskim, który z jesienią zacznie działać. Jest to jedyny elewator służący wyłącznie do przechowywania i czyszczenia zboża, należącego do intendentury wojskowej okręgu warszawskiego.

Ubolewać należy nad tak jednostronnem przeznaczeniem elewatora, zwłaszcza, że punkt tak handlowy jak Warszawa, w tak doskonałych warunkach komunikacyjnych położony, pominięty został jakby jaka miejscina nieznaczną. Dla całego kraju jest to krzywda wielka, gdyż istniejące w państwie elewatory przedewszystkiem mają na względzie interes rolników, a tu, gdzie rolnictwo jest pierwszorzędnym przemysłem i podstawą dobrobytu, najpożyteczniejsze instytucje się od niego odsuwają.

Mówić więc będziemy o elewatorze pod względem technicznym, zwłaszcza, że system, według którego jest postawiony zaleca się świeżością pomysłu i stosunkowo niewielkimi kosztami. Zachęci to może krajowych kapitalistów do wybudowania elewatora, tembardziej, że przyniosłby on i przedsiębiorcom duże zyski. Istniejący dotąd elewator w Jelcu, w nielepszym położeniu handlowym od Warszawy się znajdujący, ogromne zyski przynosi, nie przeciążając opłatami producentów.

Na gruntach powązkowskich, przy linii kolei obwodowej, zbudowano 15 dużych magazynów na skład zboża i elewator do przerabiania ziarna. Na uwagę zasługuje budowa elewatora, podług pomysłu i opracowania inżyniera generał-majora Olimpiusza Starynkiewicza.

Jest to gmach zbudowany z żelaza, w kształcie wielkiego balonu. Jak wiadomo, od powierzchni zbiornika zależy jego wartość, a od objętości jego rzeczywista użyteczność. Ztąd wynika, iż zbiornik o najmniejszej powierzchni a zarazem największej objętości, będzie najlepszym rozwiązaniem zadania. Kształt kuli jest najodpowiedniejszy, a zatem w konstrukcyi zbiorników należy wybierać kształty najbardziej zbliżające się do kuli. Powierzchnia kuli wzrasta w stosunku do kwadratów promienia, zaś objętość powiększa się w stosunku do sześciastu tegoż promienia. Im większy mamy pro-

mień, tém lepsze będą wyniki praktyczne, ponieważ nieznacznemu powiększeniu kosztów budowy odpowiada znaczne powiększenie wartości. Kształt kuli dla magazynów zbożowych jest nadto korzystny z wielu innych względów. Chcąc bowiem dobrze konserwować ziarno, potrzeba je ciągle przerabiać, co uskutecznia się albo sposobem ręcznym, przy pomocy szufli, lub też mechanicznie.

Budowane przy liniach dróg żelaznych elewatory są to olbrzymie gmachy, do których wysypuje się zboże rurami prostopadłemi, a rozprowadza się ziarno po całym budynku za pomocą mechanicznych przenośników. Przerabianie ziarna w tego rodzaju elewatorach wymaga kosztownych przyrządów do wprowadzenia w ruch machin. W elewatorze zaś kulistym generała Starynkiewicza żadnych mechanizmów do poziomego przeprowadzenia ziarna nie potrzeba. Zboże, wysypywane do otworu z zewnętrznej strony magazynu, dostaje się do wielkiej skrzyni podziemnej i ztąd za pomocą specjalnego urządzenia wysypuje się do zbiornika żelaznego, znajdującego się pod elewatozem, wewnątrz olbrzymiej rury żelaznej, umieszczonej w osi budynku. Tym elewatozem zboże podnosi się pod sklepienie budynku i rozsypuje się w około za pomocą wirującego mechanizmu, z którego ziarno z wysokości 14-tu sążni spada na podłogę, urządzoną tak pochyło, że po niej ziarno stacza się do żelaznych rur, które przenoszą je do tego samego rezerwoaru żelaznego, do którego było wyspane i z którego znowu elewatozem podnosi się do góry. Takim prostym sposobem przerabia się zboże.

W razie potrzeby wyładowania zboża, ziarno podniesione elewatozem do góry, wysypuje się przez żelazną rurę, umieszczoną wewnątrz, prosto do wagonów lub worków. Cała wewnętrzna powierzchnia elewatora pokryta jest deskami na grubym wołłoku, co dostatecznie zabezpiecza od wpływu promieni słonecznych i wilgoci.

Cały ten mechanizm wprowadza w ruch motor gazowy, o sile 12-tu koni, który zarazem wytwarza światło elektryczne. W roku przyszłym wszystkie magazyny będą połączone rurami z elewatozem. W odległości pół wiorsty od elewatora budują młyn parowy i trzy magazyny piętrowe, na skład mąki i kaszy.

Budowa elewatora kosztuje 80,000 rs. Koszta budowy magazynów obliczone są na 311,000 rs. Budowa magazynów tudzież linii kolejowej, mającej połączyć magazyny i elewator z linią kolei obwodowej, mają być wykończone do końca września. Napelnianie magazynów zbożem już się rozpoczęło. Napelnianie elewatora ziarnem trwa sto godzin. Przyrządy do elewatora i cały budynek dostarczyła fabryka petersburska, motory gazowe urządziła firma warszawska Steinert i Jantzen, wszystkie materiały pochodzą z kraju, robotnicy krajowcy.

Puszczony w ruch w 1888 r. elewator w Jelcu przez trzy miesiące (październik, listopad i grudzień), otrzymał przeszło 229,000 pudów

rozmaitego zboża, w tém: żyta 185,000 pud., wyeksperywowano do różnych portów 148,000 p., zostało zmagazynowane około 100,000 pudów. Bywały dnie, w których dowożono do elewatora 1,500 do 2,000 pudów. Po dziewięciomiesięcznej działalności elewatora na nadzwyczajnym zebraniu ziemstwa powiatowego w Jelcu, którego kosztem elewator został zbudowany, przedstawił się rachunek następujący: W okresie sprawozdawczym przyjęto do elewatora 620,000 pudów, pozostało na składzie 190,000. Wydatki na opłacenie oficjalistów, utrzymanie w stanie należytem machin, na oświetlenie i t. p., wynosiły ogółem 14,552 rs., dochodu zaś osiągnięto 44,556 rs. Po skończonym roku (1889), pokazało się, że przy rozumnym korzystaniu z usług elewatorów, winny one przynieść prawdziwy pożytek dla producentów zboża nie tylko przez udzielanie kredytu pod zastaw zboża, ale i przez regulacją cen zbożowych. Zboże napływało masami w dwóch stałych okresach: wiosennym i jesiennym. Otóż podczas zimy ubiegłej, cena żyta w Jelcu chwiała się pomiędzy 36—38 kop. za pud, co zaledwie pokrywało koszt produkcji. Dzięki elewatorom, ci wszyscy, co mieli terminowe wypłaty, wolni byli od oddawania zboża za pół ceny, a w maju lub czerwcu sprzedawali je po 55 do 60 kop. za pud. Przeszło 300,000 do 400,000 pudów zboża zatrzymano na miejscu, co znowu wpłynęło na to, iż zboże to nieskoncentrowane za granicą, nie mogło już zgubnie oddziaływać na obniżkę ceny. W ostatnich czasach, głównym nabywcą zboża z jeleckiego elewatora była intendentura warszawskiego okręgu. Do kwietnia 1890 r. pięć partij po 75 wagonów żyta po cenie 60 kop. za pud, przywieziono do Warszawy.

W roku bieżącym ukończony zostanie wielki elewator w Odesie i małe elewatory na stacyach dróg południowo-zachodnich.

Gdy ziemianie jeleccy zawiązywali stowaryszenie, ogólnie przewidywano upadek tego przedsięwzięcia. Czas krótki przekonał, że przewidywania te były błędne. Wszak po dziewięciu miesiącach zysk czysty wyniósł 30,000 rubli, a choćby zysk ten był wyjątkowy, dochód choćby o trzecią część mniejszy, pokrywa on procent i amortyzacją.

Może i u nas znajdują się przedsiębiorcy i ziemianie, którzy zyskowny interes wezmą w swoje ręce. Podniesienie dobroci zboża i zniesienie pośredników, w miarę budowy całej sieci elewatorów zbożowych, zrobiłoby rolników panami targowisk zbożowych, bo w ten sposób będą zawsze mogli walczyć skutecznie ze spekulacją, dążącą do niżki cen. Doświadczenie przekonało, że elewatory dały nie tylko dobry zysk, ale że służą za broń do walki konkurencyjnej na rynkach zbożowych międzynarodowych.

Zmniejszenie zapotrzebowań naszego zboża na rynkach zachodnio-europejskich, spowodowane konkurencją Stanów Zjednoczonych

Ameryki Północnej, Australii i Indyi, w ciągu więcej jak 10 lat, postawiło nasz zbożowy handel wywozowy, a z nim i nasz przemysł rolniczy w najcięższym położeniu, zwłaszcza w ostatniem czteroleciu. Spadek cen naszych zbóż do minimum jasno wykazał, że przestarałe warunki naszego handlu zbożowego, w rzedzie których ważną rolę odgrywa drogi transport, nie mogą być nadal cierpiane, bez nadzwyczajnego ryzyka dla ekonomicznego dobrobytu rolnictwa. Zarówno rząd jak i społeczeństwo, poważnie zainteresowane postępem przemysłu rolniczego, przyjsćby powinny do przekonania o nieodzownej konieczności radykalnego zreformowania naszego handlu zbożowego, w czem rozwój dróg bocznych, budowa sieci elewatorów i obszerny kredyt na zbożowe ładunki, stanowią, bez zaprzeczenia rzeczywiste środki podniesienia i utrwalenia upadłego przemysłu rolniczego.

Całe zadanie w tej ciężkiej dla rolnictwa chwili powinno się zasadzać na najspieszniejszym podniesieniu cen produktów naszych, co można osiągnąć jedynie przez przysposobienie naszemu zbożu przygodnego położenia na zachodnio-europejskich rynkach. Sieć elewatorów uwolni nas od drogiego pośrednictwa i usunie straty, obciążające obecnie ładunki. Za pomocą elewatorów oszczędzamy przedewszystkiem znaczny rozchód na tarrę i na drogie wyładowanie zboża, z nieuchronnym rozsypywaniem ziarna: a) przez co osiągniemy większy i tańszy ruch ładunków; b) ułatwi się kredyt na zboże, równie dla producentów jak i dla kupców, którzy zyskują wiele na szybkim obrocie kapitałów; c) zniknie zaśmiecenie zboża i wszelkie nadużycia, skutkiem czego w portach podniesie się cena produktów naszych; d) osiągnie się taniocść ziarna, skutkiem zmniejszenia strat jego i zwiększonych opłat, co umożliwi większy popyt, a zatem i większy obrót w interesach, to znów wobec taniego kredytu na zboże, umożliwi wyżkę cen na miejscu. Tym sposobem, przy znacznem obniżeniu kosztów, przy uchronieniu tracenia ziarna podczas transportu, a przy pośpiesznym przewozie i zwiększonym popycie, można będzie o wiele większe ceny płacić na miejscu i sprzedawać taniej za granicą.

Znaczenie elewatorów zasadza się tedy na uproszczeniu sposobów naszego wywozowego handlu zbożowego i na obniżeniu cen samego produktu, a konkluzya ostateczna jest ta, że powinniśmy mieć takich elewatorów całą sieć, rozrzuconych po licznych małych centrach. Dla naszego handlu zbożowego nieporównanie korzystniej mieć wprzód mnóstwo małych stacyjnych elewatorów z kilkoma centralnemi, choćby bez żadnego wielkiego — w portach, aniżeli, przeciwnie: mieć setki elewatorów portowych, a ani jednego albo niewiele miejscowych małych. I w samej rzeczy, jakaż to wygodą dla rolników naszych i pierwszych bezpośrednich nabywców, jeśli w Rydze, Libawie, Odesie, Gdańsku nagromadzają się w

milionowych zbożowych składach, czyszczących, przewietrzających w porównaniu z t \acute{e} m, gdy to samo zboże na bliższej daleko od producenta stacyi drogi żelaznej psuje się pozbawione ochrony od deszczu i śniegu. Zasadnicze ulepszenie przemysłu rolniczego polega na sieci elewatorów i ściśle z niemi związanym kredycie na zboże, specjalnie kontrolowanym przez inspekcję zbożową. U nas istnieje prawo zatwierdzone 30-go marca 1888 r. Postanowienie o zbożowych składach i o wydawaniu zastawnych świadectw na zboże, którego skutków atoli dotąd nie widzimy.

Objasniwszy w krótkości znaczenie elewatorów, opiszemy istniejący elewator w Jelcu, założony przez ziemian jeleckich, posiadający inspekcją zbożową i udzielający pożyczek na składowe świadectwa, wydawane przez zarząd elewatora.

Elewator przedstawia gmach prostokątny, obity ze wszystkich stron blachą cynkową. Pomieszcza on 400,000 pudów i ma następujące rozmiary: szerokości 27 arsz., długości 54 arsz. i wysokości od fundamentu do szczytu dachu 45 arsz. Taka znaczna wysokość konieczną jest dla lepszego pomieszczenia narzędzi, czyszczących ziarno, oraz dla usunięcia niepotrzebnego przesypywania ziarna. Co się tyczy produktyjności elewatora, to wszystkie jego maszyny i przyrządy, jak transportery, oczyszczające aparaty i wagi, obliczone są na produkcją 2,400 p. żyta dziennie. Przy ciągłym podawaniu ziarna, elewator może przyjąć lub wydać 4,800 pudów żyta, w cz \acute{e} m 2,400 pudów oczyszczonego ziarna i 2,400 p. nieoczyszczonego, które przepuszcza się przez nieczynne aparaty w czasie wolnym od przyjmowania zboża. Mając zaś na względzie dużą stratę czasu na przesuwanie i odsuwanie wagonów przy ładowaniu zboża, a także skutkiem konieczności przesypywania rozrzuconych wózków przyjmujących zboże nie jednakowej jakości, od różnych właścicieli, czasową produkcją można ocenić tylko na 3,600 pudów żyta, co na 10 godzin roboty daje 60 wagonów, przyjętych lub wysłanych.

Dla pewnego zwiększenia produktyjności jeleckiego elewatora i dla przyspieszenia czyszczenia przychodzącego i odchodzącego zboża, będą w nim urządzone jeszcze dopełniające aparaty amerykańskiego pochodzenia co uważamy za złe. Wogóle, elewator jelecki, a zwłaszcza jego obecna działalność, powinna dać obszernie pole wszelkiego rodzaju doświadczeniom, które niechybnie posłużą do polepszania miejscowych warunków, dla których amerykańskie wzory, powstałe z inicjatywy obcej nam kultury, nie zawsze mogą być dogodnemi.

Na zakończenie podajemy ustawę elewatora jeleckiego. Jelecki elewator stanowi własność jeleckiego ziemstwa. Na zasadzie postanowienia jeleckiego ziemskiego zebrania, 9 marca 1887 i 23

maja 1888 r. elewator znajduje się pod zarządem osobnej, wybieralnej komisji, zarządzającą elewatorom i wszystkimi urzędnikami, przy nim służącymi. Przy elewatorze jest ustanowiony inspektor rządowy. Przy odbieraniu zboża, wydawaniu przewidzianych dokumentów, wyznaczona elewatorowa komisja, działa na zasadzie następujących postanowień:

§ 1. Do operacji jeleckiego elewatora należą: a) sortowanie czyli klasyfikowanie ziarna przez inspektora; b) przyjmowanie zboża na skład; c) wyładowanie ziarna z podwód lub wagonów na aparaty elewatora, oraz wyładowanie z elewatora na wagony lub w worki; d) czyszczenie, przewietrzanie i mieszanie ziarna, czy to zostającego na przechowanie, czy też przechodzącego przez elewator, dla dalszego postąpienia; e) ubezpieczenie na rachunek składu elewatora nadesłanego produktu, z pobraniem od dostawców osobnego podatku za ubezpieczenie: 1) obliczonego na rachunek składu elewatora z pobraniem od dostawców osobnego podatku na ubezpieczenie; 2) nieobliczonego na rachunek i według wskazówek rolników; f) oddanie wydającego się ziarna dla przewozu z majątku i na rachunek producenta.

§ 2. Jelecki elewator przyjmuje do przechowania w każdej porze roku wyłącznie zboże suche, które przytém podlega obliczeniu, mokre zaś ziarno może być złożone do przechowania z rozporządzenia komisji tylko w zimie i bez odpowiedzialności składu za mogącą wyniknąć szkodę z powodu jakości samego ziarna, o czém robi się wzmianka w świadectwie składowém. Jelecki skład może przyjmować i wilgotne zboże na przechowanie i bez zabezpieczenia, ale w takim razie pomieszcza się je w oddzielnej komorze i zabezpiecza na zimę, na rachunek właściciela produktu.

§ 3. Dla przepuszczenia zboża przez aparaty elewatora, dla oczyszczenia, naładowania i natychmiastowego wysłania, wilgotne zboże można przyjąć w każdej porze roku. Wysyłka tych zbóż uskutecznia się przez producentów w ich imieniu. W przyjmowaniu przepuszczaniu i wydawaniu tych zbóż, zarząd jeleckiego elewatora wydaje osobne świadectwa, z oznaczeniem ilości przyjętego zboża i wysłanego ziarna, składowych świadectw na te zboża nie wydają. Na zboża przepuszczone przez aparaty elewatora, przy wysyłaniu koleją żelazną na zsypkę lub w workach, nakłada się plomby zarówno na wagony, jak i na worki.

§ 4. Przy codziennem ustanawianiu przez komitet zbożowy normalnych gatunków zboża, komisja elewatorowa oznacza wartość odnośnie do istnienia w zbożu rozmaitych przymieszek i przyrodzonej własności samego ziarna, niżej której zboże nie przyjmuje się na przechowanie w składach elewatora, wstrzymuje się atoli z wydaniem składowych świadectw.

§ 5. Tylko ta ilość zboża liczy się za przyjętą na elewator,

która będzie zsypana w komory, po przepuszczeniu przez oczyszczające aparaty i po zważeniu na wagach elewatora i tylko na tę ilość wydaje się świadectwo składowe.

§ 6. Zboże należące do różnych właścicieli, przy jego jednostajności, t. j. w przybliżeniu, jednakowe w wadze, kolorze, stopniu suchości, ilości obcych przymieszek, uszkodzonego ziarna i t. d., odpowiadającemu jednęj z normalnych odmian, oznaczanych na każdy roczny peryod handlowy przez komitet, mięsza się razem. Jelecki skład—elewator w swych świadectwach składowych wydaje nie to samo zboże, które było przyjęte do składu, lecz zboże targowe tego samego gatunku; tak samo ma się i ze sprzedażą.

§ 7. Jelecki elewator odpowiada za straty lub uszkodzenie przyjętego zboża, jeżeli nie dowiedzie, że ono nie mogło być uszkodzone przez skład, ale że pochodzi to od siły wyższej, albo też od własności samego ziarna. Przy wysyłce zboża z elewatora, za świadectwem składowem, wymienia się normalny ubytek.

§ 8. Wynagrodzenie za straty lub uszkodzenie zboża oblicza się albo po giełdowej albo po targowej cenie jego, a w razie jej braku, według cen bieżących, które płacone są za jednorodne gatunki w Jelcu, w tym samym czasie, w którym powinno było nastąpić wydanie zboża.

§ 9. Z sumy wynagrodzenia zatrzymuje się opłaty i sumy należne od posiadacza za świadectwa, na które wydana została pożyczka.

§ 10. Przechowanie ziarna, składanego do elewatora na przechowanie, nie może być dłuższem nad sześć miesięcy.

§ 11. Po miesiącu terminu przechowania, jeśli zboża nie odbierze jego właściciel ze składu jeleckiego, zarząd elewatora może się niem rozporządzać, po upływie ośmiu dni sprzedaje to zboże, z zachowaniem porządku, postanowionego w § 36 ustawy o składach towarowych.

§ 12. W wyjątkowych wypadkach, jako to: późnego otwarcia żeglugi, nadzwyczajnego spadku cen zboża i t. p., z rozporządzenia komisji elewatorowęj, czas przechowania zboża może być przedłużony. O każdym takim wypadku, zarząd elewatora donosi do wiadomości jeleckiego ziemskiego zebrania podczas rocznego jego posiedzenia.

§ 13. Przymusowa sprzedaż ziarna, przechowującego się w elewatorze, dozwala się: a) w razie upłynionego terminu przechowania, a przytem jeśli nie zezwolono na zwłokę; b) w razie prawnego żądania publicznej sprzedaży ze strony posiadającego świadectwo, według którego wydana pożyczka, z zastosowaniem postanowień § 36 o towarowych składach i szczegółowych w tym przedmiocie prawideł, sprzedaż może mieć miejsce.

§ 14. Żądający otrzymać pożyczkę na świadectwo składu, otrzymuje to świadectwo w zarządzie elewatora. Na jedno świadectwo nie można przyjąć do przechowania w elewatorze więcej jak dziesięć wagonów, czyli 6,100 pudów.

§ 15. Na świadectwa składowe wydają się przez jelecki skład elewator pożyczki z kredytowych instytucyj, które mają prawo wydawania pożyczek na towary oraz od osób prywatnych.

§ 16. Tak zastawione, jak i niezastawione składowe świadectwa mogą być przekazywane na przedstawiciela albo in blanco.

§ 17. Proste składowe świadectwo jeleckiego ziemskiego elewatora (niezastawione) daje posiadające mu bezwzględne prawo rozporządzania się zbożem przechowywanym w elewatorze. Posiadacz zastawionego świadectwa ma prawo zastawu na zboże, w rozmiarach wydanych przez świadectwo pożyczki, a posiadacz kopii ze świadectwa składowego, ma prawo rozporządzać zbożem, lecz nie może go brać z jeleckiego składu dla spłaty pożyczki, wydanęj na zastawione świadectwo, z wyjątkiem wypadków wymienionych w §§ 20 i 21 ustawy.

§ 18. Posiadacz prostego składowego (niezastawionego) świadectwa, żądający podzielenia swego zboża na kilka partyi, ma prawo żądać, żeby zarząd elewatora wydał mu, w zamian za poprzednie, nowe świadectwo na każdą partya. Przy rozdzielaniu, osobna nowa partya nie powinna być mniejsza od jednego wagonowego ładunku, t. j. 610 pud.

§ 19. Zboże wydaje się z elewatora jeleckiego posiadaczowi niezastawionego świadectwa, albo wysyłającemu z elewatora za upoważnieniem posiadacza, lecz nieinaczęj jak na zamianę na to świadectwo, a posiadaczowi kopii nie inaczęj, jak na tę kopią i na wykupione z zastawu, zupełnie opłacone świadectwo składowe. W razie zaś wskazanych w § 22 przepisów, nie inaczęj, jak po przedstawieniu dowodu jeleckiego oddziału banku państwa, albo jeleckiego powiatowego zarządu, po wniesieniu całej sumy długu, na zastawione składowe świadectwo.

§ 20. Na zasadzie § 30 prawa o składach towarowych, wysyłka zboża ze składu elewatora jeleckiego, według żądania właściciela towaru, koleją żelazną lub innemi drogami dozwala się tylko za zezwoleniem posiadacza świadectwa zastawionego i z nałożeniem na towar sum, należących się ostatniemu i samemu elewatorowi. Nie wypełnienie tych warunków wkłada na skład — elewator odpowiedzialność za wypłatę posiadaczowi zastawionego świadectwa całej należności za swoją sumę.

§ 21. Jeśli posiadacz zastawionego świadectwa jest nieobecny, albo pobyt jego niewiadomy, albo jeśli strony nie mogą się porozumieć odnośnie do warunków wypłaty pożyczki, to według postanowienia § 32 o składach towarowych, posiadacz kopii składowego świadectwa ma prawo wnieść do jeleckiego oddziału banku pań-

stwa, a w dniach jego zamknięcia do jeleckiego zarządu powiatowego cały dług na zastawione świadectwo. Suma ta wydaje się posiadaczowi zastawionego świadectwa nie inaczej, jak po wymianie na drugie świadectwo, z wymienionem na niem pokwitowaniem.

§ 22. Na zasadzie § 33 o towarowych składach, przy odbieraniu całej wypłaty pożyczki, posiadacz zastawionego świadectwa powinien je zwrócić—a po otrzymaniu częściowej spłaty—podpisać jej odbiór, a prócz tego wydać kwit osobny.

§ 23. Po upływie ośmiu dni od dnia terminu pożyczki, posiadacz zastawionego świadectwa, nie otrzymawszy wypłaty téj pożyczki, ma prawo przedstawić to świadectwo zarządowi jeleckiego składu — elewatora i żądać sprzedaży zboża na zaspokojenie pożyczki. Równe zupełnie prawo ma także i każdy podpisujący zastawne świadectwo składowe, który zapłacił pożyczkę.

§ 24. Otrzymawszy, na mocy powyższego paragrafu, żądanie o sprzedaży zboża zarządzający jeleckim składem elewateorem postępuje według § 36 praw o składach towarowych.

§ 25. Na mocy §§ 19 i 37 powyższego prawa, suma otrzymana ze sprzedaży zboża, po obliczeniu kosztów sprzedaży, przyznaje się elewatorowi za przechowywanie i inne operacye na wynagrodzenie posiadacza zastawionego świadectwa, w rozmiarach niezapłaconej pożyczki, przed wszystkimi długami producenta, chociaż by ten był uznany za niewypłacalnego dłużnika.

§ 26. Według § 38 prawa o towarowych składach suma należąca posiadaczowi zastawionego świadectwa, wydaje się przez zarząd elewatora nie inaczej, jak na zamianę na same świadectwo lub jego kopię z wypisaną na nią wypłatą.

§ 27. Jeżeli suma wydana przez jelecki skład posiadaczowi zastawionego świadectwa, nie pokrywa długu, to zarządzający jeleckim składem elewateorem zwraca mu świadectwo składowe, z nadmienieniem na niem o wydanéj jeszcze sumie.

§ 28. Jeżeli po sprzedaży zboża nie pokryje się cała pożyczka, to posiadacz zastawionego świadectwa składowego ma prawo żądać od osoby, która otrzymała pożyczkę, zapłacenia pozostałego długu.

§ 29. Posiadacz zastawionego i niezastawionego składowego świadectwa albo kopii z nich, wydanych przez jelecki skład-elewator, ma także prawo odnośną sumę wynagrodzenia odebrać, za uszkodzone lub zatracone zboże, jak i za sam towar.

§ 30. Kto zgubi składowe świadectwo lub jego kopię, wydaną przez jelecki skład-elewator, powinien zawiadomić o tém zarząd elewatora, który przez ogłoszenie na koszt objawiającego w stołecznych, gubernialnych lub miejscowych gazetach, objaśnia, że po upływie miesiąca po ogłoszeniu, w zamian za podane zawiadomienie o zgubionem świadectwie będzie wydane drugie a pierwsze uznane za nieistniejące. Jeśli o własność zgubionego świadectwa wyniknie spór, to rozstrzygnięcie należy do sądu.

§ 31. Ogólny kierunek jeleckiego ziemskiego składu-elewatora należy do osobnej elewatorowej komisji jeleckiego ziemstwa, a bliższa administracya nim spoczywa w rękach zarządzającego, naznaczonego przez komisją. Wyższy nadzór i przewodnictwo na zasadach ogólnych należą do powiatowego jeleckiego zebrania.

§ 32. Do atrybucyi komisji należy: a) ogólne doglądanie i kierowanie elewatorom; b) ustanowienie taryfowej opłaty za używanie elewatora i pomieszczanie w nim zboża; c) rozstrzyganie co do przedłużenia czasu przechowywania zboża w elewatorze; d) wybór inspektora przy jeleckim składzie-elewatorze i przedstawienie do ministeryum finansów, departamentu handlu i przemysłu o zatwierdzeniu inspektora, lub o jego usunięciu, e) przyjmowanie i uwalnianie służby przy składzie-elewatorze, ułożenie dla niej instrukcyi i naznaczenie wynagrodzenia; f) ustanowienie rachunkowości i prowadzenie ksiąg i kary składu-elewatora, oraz rewizyi ksiąg elewatora; g) rozstrzyganie w pierwszej instancyi nieporozumień, wynikających między zarządzającym składem-elewatorom a właścicielami zboża.

§ 33. O działalności swojej komisya składa corocznie sprawozdanie zebraniu ziemskiemu.

§ 34. Komisya elewatorowa zasiada zwykle raz na miesiąc, w dniu poprzednio oznaczonym. Niezależnie od tego komisya elewatorowa może zbierać są na nadzwyczajne posiedzenia, na wezwanie przewodniczącego i jego zastępcy. W wezwaniu mieszczą się pytania, mające być poddane do rozpoznania.

§ 35. Posiedzenie komisji uważa się za ważne, gdy w niem biorą udział: prezydent albo jego zastępca, przedstawiciel jeleckiego zarządu i dwóch członków komisji. Pytania rozstrzygają się większością głosów. Przy równości głosów, głos prezydującego rozstrzyga.

§ 36. Do obowiązków prezydującego należy: a) zarządzanie i przewodnictwo na miejscu wszystkimi operacyami elewatora: przyjmowanie i ładowanie nadesłanego zboża, przestrzeganie dobrej jego jakości, ułożenie sprawozdania o stracie w zbożu z uczestnictwem jednego z członków komisji, inspektora składu i członka targowej policyi; b) wydawanie ustanowionych dokumentów na przyjęte zboże z odpowiedniami wzmiankami w księgach elewatora; c) wniesienie w rejestr nadpłaconych -sum i wzmianka o tém w odpowiednich dokumentach, d) przyjmowanie deklaracyi o przedłużeniu długi na zastawione świadectwo składu; e) odbieranie zawiadomień o zgubie wydanych przez jelecki skład-elewator dokumentów i ogłaszanie o tém; f) zarządzanie registraturą i prowadzeniem ksiąg elewatora i przedstawianie elewatorowej komisji miesięcznych raportów o działalności elewatora.

§ 37. Dostawę zboża do elewatora dopełnia się po poprzedniem zniesieniu się z zarządzającym składem-elewatorom co do terminu

dostawy zboża. Przy dostawie zboża z dalszych stron Jelca rolnicy korzystają równie w kolei przyjęcia, jak i w czasie dostawy zboża do elewatora, z pierwszeństwa przed zbożem, dostawianém z bliższych miejscowości.

§ 38. Do prowadzenia korespondencji i rachunków jeleckiego elewatora mianowani są buchalter i pisarz.

§ 39. W razie znacznego rozwoju obrotów jeleckiego elewatora może być naznaczony pomocnik zarządzającego.

§ 40. Jelecki ziemski zbożowy skład-elelator zostaje pod nadzorem ministra finansów i podlega jego rewizji na mocy zatwierdzonego postanowienia Komitetu ministrów z 3-go czerwca 1888 r.

Brzydka dziewczyna.

POWIEŚĆ

PRZEZ

Zygmunta Grabowskiego.

I.

Zakłady przemysłowe w Górówce—wielkie topielnie surowca i walcownie — wzorowo były urządzone; w tym przedziwnym ładzie czuć się dawała dłoń obca, niestety; — na usprawiedliwienie jednak nasze powiedzieć można, że to kraj przeważnie rolniczy i że z trudnością przychodzi mu pozbawiać się szat dawniej rutyny i wchodzić na nowe tory.

Górówka, okolona murem, mającym jedną tylko wjazdową bramę i jedną w tym murze olbrzymią przerwę, zastawioną żelazną kratą, dla przepuszczenia wody do środka zakładu, — wyglądała jak warownia. O kilkaset kroków, na pochyłości wzgórza, w kępach morw i platanów, rozsiadło się pięćdziesiąt przeszło domków, wystawionych dla robotników: — kilka większych dla członków zarządu, techników, oficjalistów i t. p.—a wszystkie ze staraniem utrzymanymi sadami, ogrodzonymi palikami i siatką z kolczatego drutu.

Doprowadzenie robotników do obecnego stanu dobrobytu, — nauczanie ich szanowania powierzonych im domostw, utrzymania w nich czystości, świeżego powietrza, umywania i przyzwoitego odziewania dzieci, oraz posyłania ich do szkółki, lata całe zacho-
du kosztowało; lata też całe wpajano w nich wstrzeмиęźliwość i zamiłowanie porządku.

Jedna główna i trzy boczne drogi były wyzirowane i wysadzone śliwkowymi drzewkami, jak to ma miejsce wszędzie prawie zagranicą. Z czasem też doprowadzono do tego, że owoców

zrywać lub uprzętać nocą nikomu na myśl nie przychodziło,—były przecie spólną własnością pracowników i w miarę dojrzewania, rozdzielane w równej mierze. Jeżeli zaś ciemny ludek okoliczny ostrzył zęby na własność cudzą — ostrzył je daremnie, gdyż w początku jesieni nie brakło sumiennych wartowników, a zarząd Górówki był pod tym względem i słusznie — nieubłagany, trudno zaś było dostać się do właścicielki zakładów która znów, nie osłabiając przepisów, używała w pełni pięknego przywileju łaski. Pod tym względem pani na Górówce mogła byłaby dać przykład niejednemu z potężnych tego padolu.

Wewnątrz okolenia, nawet gdy zakłady wrzały życiem pracy, najpiękniejszym na ziemi—gdy furczały olbrzymie koła obrotowe maszyn, buchały zarem piece topielni, kłęby gęstego, czarnego dymu, krążyły jak burzowe chmury nad kominami—nie widać było zamieszania, mimo że setki zasmolonych robotników, półnagich, uwijało się w czerwonych blaskach płomieni—że przesuwano w różnych kierunkach wagoniki ze sztabami, inne z surowcem, inne jeszcze z żuźlami, z węglem i t. p.

Z głosów ludzkich słyszano tylko głosy podmajstrzych, inżynierów lub dozorców, które często zagłuszał szum spadającej, szerokiej kaskady wód ze stawów i grzmot licznych młotów walcowni.

W jeden bok wspomnianego okolenia wpuszczono duży piętrowy budynek o czternastu oknach frontu, z przedsieniem o czterech kolumnach z jońskimi kapitelami, podtrzymujących balkon, należący do mieszkaniagłównego dyrektora. Tam już względny przepych ujrzeć można było: sień wyłożona marmurem, mało-widła i rzeźby w niszach—woskowane schody wysłane dywanem, opatrzone brązowymi poręczami. Na dole, na prawo i na lewo, były biura—osobny korytarz wiodł do gabinetu właścicielki, pracującej w nim trzy do pięciu godzin dziennie, i bez której wiedzy i woli, mimo zarządu, żadnej ważniejszej sprawy nie można było w zakładzie załatwić.

Po za murem, przy głównej drodze, na skraju przepysznego mięszanego lasu, zamienionego w park olbrzymi, wznosił się śliczny pałacyk, w stylu włoskim zbudowany, — otoczony paterami rzadkich roślin, wyniesionych z cieplarni i wzorzystymi kobiercami z kwiatów i krzewów, przystrzyganych umiejętną ręką ogrodnika—artysty.

Pałacyk był piętrowy — wyjąwszy rozmiary, wzorowany z Łazienkowskiego, z tarasem kamiennym i stopniami, prowadzącymi aż do dużego stawu, na którym nie brakło łabędzi i kilku strojnych gondoli. Jedna galerya kryta wiodła do kuchni, druga

wprost z dolnego salonu do wielkiej cieplarni, tak urządzonej, że na zimową salę mogła być każdej chwili zamienioną.

Czuć było wszędzie pracę, zapobiegliwość i wślad za niemi kroczące: dobrobyt i wesele.

Jedenasta z rana uderzyła na wielkim zegarze, umieszczonym na wieżycze gmachu biur i zarządu, gdy pod kolumnadę wjechała jedna z tych wstrętnych, bezresorowych bryczek-łamignatek pocztowych, jakimi dzierżawcy poczt rozbijają u nas kości dobrodusznych podróżnych. Wysiadł z niej młody jeszcze człowiek, może trzydzieści pięć lub sześć lat liczący, odziany zupełnie czarno i wręczając szwajcarowi wizytową swą kartę, polecił, aby go zaraz zameldowano pannie Lili Walter, właścicielce zakładów.

Wezwany służący otworzył podwoje poczekalni, wprowadził obcego, a sam poszedł z kartą na tacy do gabinetu.

W obszernym pokoju, obitym czarnym rzeźbionym dębem do połowy wysokości ścian, umeblowanym z poważnym smakiem, znamionującym wykształcenie właścicielki—w dużym poręczowym krześle, także z czarnego dębu, obitem purpurową w złoty deseń skórą, siedziała młoda dziewczyna, przeglądając podręcznik kasowy.

U stóp jój, przepyszny popielaty chart szkocki, olbrzym w swój rasie, spoczywał leniwie wyciągnięty, śledząc jednak dużemi czarnemi oczami każde poruszenie swój pani.

Gdy wszedł lokaj, rodzaj woźnego w granatowym tużurku, z guzikami opatrzonemi literami L. W. i srebrnemi młotkami na krzyż na każdym rogu kołnierza—siedząca podniosła z nad papierów głowę.

— Jakiś pan przyjechał pocztą w tej chwili i pragnie mówić z Wielmożną panią; oto jego bilet.

I podał kartę na tacy.

Spojrzała na nazwisko litografowane na brystolu i powtarzając cicho: Ignacy Kruszewski — nieznam zupełnie... poleciła wprowadzić przybyłego.

Był to przystojny, piękny nawet szatyn, średniego wzrostu, drobno lecz kształtnie zbudowany, z czarnemi bez połysku oczami, których spojrzenie pełne spokoju, budziło obawę i uszanowanie. W rysach obcego malowała się energia, w ruchach żywość widocznie hamowana, w głosie niskim, o metalicznym dźwięku, przyzwyczajenie do wydawania rozkazów, teraz tłumione starannie.

Panna Lila patrzyła nań, gdy wchodził i kłaniał się w połowie drogi do jój leżącego biura, gdy dobywał z pugilaesu i wręczał jój list zapieczętowany, usiłując odgadnąć cel przybycia, lecz daremnie. Sympatyczna twarz obcego nie wyrażała nic prócz

sztucznego może spokoju i pewnego zaciekawienia jój w półświe-
tle ukrytą postacią.

— Dopiero przybywszy do Warszawy, przed miesiącem, do-
wiedziałem się, jaki cios bolesny dotknął panią — rzekł, przystępu-
jąc bliżej i patrząc na pannę Walter i jój czarną żałobną szatę,
z pewnem spólczuciem. — List ten miałem wręczyć osobiście ś. p.
ojcu pani, sądzę jednak, że zechcesz go przeczytać sama...

Wskazała na stojące obok krzesło i biorąc list spytała u-
prezejmie:

— Czy mogę wpierw wiedzieć od kogo?

— Od mego wuja... z Paryża...

— Starego przyjaciela mego ojca! dodała żywo.

I wyciągając piękną, białą rączkę ku obcemu:

— Witam pana, jak dobrego znajomego, pod moim dachem!
dodała z nieopisanym wdziękiem, usuwając fotel tak, aby zwrócić
się zupełnie ku oddawcy listu. Wuja pamiętam wybornie —
poznałam go, gdy z ojcem trzy lata temu, byłam w St. Mâlo.

Rozerwała kopertę i przerzuciła list szybko, z niezmierną
wprawą, uśmiechając się w ciągu czytania.

— Pan zna jego zawartość? spytała.

— Nie pani.

— To proszę!

I podała mu otwarty.

Był pisany z szorstkością żołnierską:

„Mój kochany, stary druhu!

„Posyłam ci pozdrowienia i mego pana siostrzeńca: przyjm
jedne godziwie — daj kawałek chleba drugiemu. Tęgi chłopak —
nie leniwy do pracy — inżynierował trochę tutaj.

„Wraca tam, do was, pełen nadziei w lepsze jutro — dajże
mu kąk jaki, przez pamięć dla starego przyjaciela.

„Sprawa tedy załatwiona, — mnie ciężar z serca spada — bo
powiadam ci, szkoda, żeby się Ignac zmarnował!

„Mnie odpisz, ale poufnie, czy będziesz z niego zadowolony;
tymczasem do widziska, bo chyba zajrzysz tu jeszcze kiedy?

Twój druh

Zawadzki.

Przybyłemu pokraśniała cała twarz, gdy czytał to zakoń-
czenie.

— Pocziwy wuj! rzekł zwracając list — przesadza trochę.

Ona zamysliła się — duże niebieskie oczy dziewczyny błdzi-
ły po papierach, po dopiero odczytanych liście.

— Czy pan obeznany z naszym przemysłem?

— Pracowałem rok w górnictwie—w St. Etienne; potem w hrabstwie Norfolk...

— A zadowolniłby się pan tymczasem podrzędną posadą w naszym biurze. Musiałbyś poznać przecie manipulacją—dodała żywo; a sądzę, że w ciągu trzech miesięcy...

— Dołożę starań! odparł swobodniej już—ośmielony uprzejmością panny Walter.

— Niewątpiąc o pańskich zdolnościach i inteligencji — już ze względu na list pana Zawadzkiego, obowiązana jestem uczynić wszystko, co można;—przestrzegam jednak ściśle zasady sprawiedliwości w mych zakładach,—nim tedy pomyślę, co będzie w przyszłości stosowne dla pana, przejść musisz przez najniższe szczeble ..

— Niewahałbym się, w razie potrzeby, stanąć przy maszynach w walcowni, lub przy piecach...

— Zapewne i to będzie konieczne, odparła z uśmiechem. Czy pan tu jesteś już z rzeczami swemi?

— Nie pani. Mam je jednak upakowane w Warszawie, złożone u przyjaciela...

— Więc liczyłeś, że znajdziesz tu z pewn ościązającie?

— Liczyłem, że rodzina przyjaciela mego wuja i opiekuna, za pracę kawałka chleba mi nie odmówi. Zresztą...

— Dokończ pan! rzekła, widząc wahanie inżyniera.

— Środki moje są tak szczupłe, że musiałem ryzykować tę podróż do Górówki... mówił z pewnym, lekkim pomieszaniem.

— I uczyniłeś pan jak niemożna lepiej.

Rozmawiając nacisnęła guzik elektrycznego dzwonka i rzekła do wchodzącego służącego.

— Poprosić dyrektora, jeżeli zaś zajęty w odlewni, to posłać zaraz po niego.

Pyszny chart podniósł się, podszedł do przybyłego i obwąchawszy go starannie, przysiadł na tylnych łapach i położył mu piękną swą głowę na kolanach; panna Walter patrzyła na to ze zdziwieniem.

— Musisz pan być dobrym człowiekiem — rzekła poważnie— Phidyas bowiem nikomu dotknąć się nie da i prócz mnie i mojej ciotki, do nikogo z taką ufnością nie przystąpi.

— Lubię psy w ogóle, i nie czynię im nigdy krzywdy.

Wszedł dyrektor zakładów, człowiek nie młody, z sympatyczną twarzą, pełną dobroci, z łagodnym uśmiechem na ustach. Rysy oblicza zdradzały pochodzenie germańskie—blado niebieskie oczy

lekko zaczerwienione, długie czuwania nocne — cała postać znamionowała znużenie niewymowne.

Panna Walter pogroziła rączką wchodzącemu.

— Przykro mi — rzekła — zaraz na wstępie — że muszę witać pana naganą. Nie szanujesz zdrowia, mimo uroczystej obietnicy — a masz rodzinę... obowiązki.

— Jestem zdrow zupełnie, odparł prostując się.

— Zapewne; i dla tego ręczę, że znów czuwałeś noc całą.

— Zasłabł główny inżynier — nie chciałem polegać na jego pomoeniku...

Ruszyła niecierpliwie ramionami.

— Byłeś przyjacielem mojego ojca, obiecałeś mu opiekę nademną... czuwanie nad moim mieniem; a czy myślisz, że rujnując dla mnie własne zdrowie, wywiązujesz się dobrze z przyrzeczenia?

Uniewinniał się jak umiał.

— Dobrze tedy, pierwszą noc, którą spędzisz bezsennie w odlewni — znajdziesz mię przy sobie, — bo dobry przykład winien iść z góry.

I zwracając się do przybyłego:

— Potem jeszcze o tym pomówimy — teraz chodzi o rzecz inną. P. Kruszewski Ignacy, inżynier, syn przyjaciela mój rodziny, gorąco nam polecony — p. Hube, dyrektor Górówki... Kazałam cię prosić, stary przyjacielu, aby ci powierzyć nowego naszego pracownika... radabym, żeby w kilku miesiącach poznał naszą rachunkowość...

Dyrektor obrzucił obcego badawczym wzrokiem, a choć egzamin ten trwał tylko chwilę, znać dobre wywołał wrażenie, bo przystąpił do inżyniera i podając mu rękę:

— Miło mi poznać pana — rzekł spokojnie — nie wątpię, że przydasz nam się, i że praca twoja przyniesie owoce.

— Komuż powierzysz pan pana Kruszewskiego? spytała Lila.

— Sądzę, że p. Eisenherzhutowi byłoby najwłaściwiej.

— Gotlieb go zdręczy w ciągu tygodnia! zawołała wesoło właścicielka.

— Stary rutynista, ale do objaśnień jedyny...

— Tak; szczególnie, gdy rozprawia o swych kotach i o Bismarcku. Zresztą, pan Kruszewski musi być głodny, — zechce przyjąć u nas śniadanie... opiszemy mu przy czarnej kawie kawyera, — uprzedzony, zastosuje się do jego dziwactw ochotnie.

Dyrektor uklonił się.

— Służę za chwilę, tylko uprzedzę w domu i przebiorę się.

Istotnie, strój w jakim wszedł do gabinetu był w salonie niemożliwy.

Brakowało kilka minut do południa.

Inżynier znalazłszy się sam z panną Walter, nie wiedział jak nawiązać rozmowę. Należałoż dziękować, wyrażać wdzięczność?.. W obec tak serdecznego, patryarchalnego niemal przyjęcia — nie śmiał fałszywą nutą psuć harmonii, obiecywać przed czasem, przed czasem łamać się w ukłonach i na wiatr rzucać słowami.

— Jakkolwiek z radością powitam chwilę, w której będę mógł znów, jak ongi, pracować na kawałek chleba—rzekł, zwracając się do panny Walter — niemniej przeto rozmowa pani o tym panu... Himmelherz...

— Eisenherzhut! przerwała, śmiejąc się Lila.

— O tym panu Eisenherzhut — niepojętą przejmuję mię obawą...

— Dla czego?

— Jeżeli nie będę umiał zjednać sobie sympatyi kasjera..

— Zjednałeś pan sobie odrazu, i o ile sędzę, bez wysiłku, życzliwość Phidyasa... Gotlieb to człowiek przepoczeiwiy, niezdolny rozdeptać najmarniejszego robaczka; głaszcz pan tylko jego koty i potakuj odom na cześć Bismarcka.

Uśmiechnął się Kruszewski.

— Przecież kotów nie trzyma i nie chowa w kasie?

— Właśnie że w kasie t. j. w szufiadzie swego biura...

— Pani żartuje...

— Nie panie; że to jednak rachmistrz znakomity i obdarzony tak kolosalną pamięcią, że powtarza całe kolumny bilansu z r. 1865-go, nie daję mu jeszcze emerytury...

Wielki dzwon fabryczny oznajmił południe:—cała armia pracowników wysypała się na ołbrzymie podwórze.. jak dłonią czarodzieja dotknięte stanęły maszyny—umilkł łoskot młotów, przestano posuwać wagony; tylko kominy topielni buchały dalej dymem i parami,—tam ludzie pracowali na zmianę — dzień i noc wrzało cyklopów życie.

Lila postąpiła do okna—odpowiadała wdzięcznym uśmiechem i skinieniem na ukłony spoglądających ku niej robotników. Jednego z nich przywołała bliżej.

— Jakże tam dziś wasza żona? spytała.

— Trochę lepij, Bogu dzięki — przespała noc spokojnie, wielmożna panienko.

— A dziecko?..

— Zdrowe zupełnie.

— Powiedźcie Wasągowej, że ją dziś, wieczorkiem, odwiedzę.

Robotnik wspiął się na cokuł okienny, ujął opuszczoną rącz-

kę Lili, i złożył na niej pocałunek, który zostawił ślad szary na białym, poznaczonym błękitnawemi żyłkami naskórku.

— Lubią panią widać ci ludzie! szepnął inżynier, patrząc zaciekawiony na przeciągające tłumy.

— A wie pan dla czego?

— Zapewne: że jesteś dla nich dobrą — miłosierną...

Lila podniosła głowę i patrząc prosto w oczy Kruszewskiego:

— Nie panie! Dla tego, że ich uważam za ludzi i nie pozwalam wyzyskiwać nikomu, odparła spokojnie.

Wzięła kapelusik, rękawiczki.

— Niebawem przyjdzie tu p. Hube i wskaże panu drogę — do widzenia tedy.

Skinęła mu ręką i biorąc Phidyasa za obróżę — opuściła pracownię.

II.

Ignacy Kruszewski, do Stanisława Grabińskiego w Paryżu.

Górowka, w sierpniu 1883 r.

Kochany Stanisławie.

Mimo uroczystej obietnicy, nie pisałem zaraz po przybyciu do kraju; — chciałem ci bowiem donieść coś stanowczego.

Niewiele brakowało a bylibyście mię tam znów ujrzeli — nie powiem: ze wstydem na czole, bo wstydzić się nie byłoby czego, ale... z nosem na kwincie, rozczarowanego raz na zawsze.

Szczęściem, że jakieś dobre bóstwa zawiodły mię do zakładów przemysłowych w Górowce, choć przybywszy do Warszawy dowiedziałem się, że stary Walter, przyjaciel naszego pułkownika, spoczął już od roku w tej ziemi, którą ukochał jak własną i bogacił swą uczciwą pracą, jak ongi własnemi zastawiał pierściami.

List tedy polecający — curiosum w swoim rodzaju, złożyłem do akt t. j. na duo kufierka i zakrzętnąłem się około wynalezienia kawałka chleba; — żołądek bowiem miałem zdrów zupełnie a w kieszeni, prócz dyplomu z Metz'u, świadectw z hr. Norfolk i z St. Etienne — zaledwie dwieście fr. z tych pięciuset, któreście mi wraz z pocziwą panią Stanisławową, na czarną godzinę pożyczili.

Czarna ta godzina nadeszła nadszpodziewanie chyżo, bo już przy pierwszym zapukaniu do wrót pewnego z tutejszych zakładów przemysłowych.

— Po co pan tu u diabła przyjeżdżałeś? Co można sądzić o człowieku, który z tak pięknymi zaświadczeniami w kieszeni, przez lat dwadzieścia bez mała, nie umiał sobie tam wywalczyć stanowiska, zapracować na kęs chleba i dach nad głową. W tem

wszystkiem musi być jakaś tajemnica—nie dajesz nam pan żadnej moralnej rękojmi...

Tak mi powiedziano.

W ciągu miesiąca obszedłem przeszło trzydzieści biur technicznych, banków, fabryk: z małemi wariantami w tekście, sły-
szalem wszędzie to samo. Czasem, zważywszy ciężkie czasy, sta-
gnacją niewysłowioną, nadmiar sił pracowniczych, niezliczoną ilość
zebrzących zajęcia fachowców i t. p. ofiarowywano mi dwadzieścia
lub dwadzieścia pięć rs. miesięcznej płacy, z zastrzeżeniem, że bę-
dę mógł sam projektować i doglądać wykonania robót t. j. praco-
wać samodzielnie—wymieniano nazwiska kolegów z Metz'u, Gan-
dawy lub Zurychu którzy daleko więcej umieli ode-
mnie, a jednak czuli się szczęśliwi na podobnych stanowiskach.

Tymczasem zmieniałem luidora po luidorze; nareszcie za-
pewniono mi, że znalazłbym nie tylko pracę, ale nawet pokazną
synekurę, gdybym przyniósł jakieś polecenie np. księdza X...
hr. Y...

— Nie znam tu nikogo przecie...

— Żadnej... damy?..

— Imość, która mi pokoik wynajmuje—ale ona na damę nie-
wygląda. Jest to co prawda, wdowa po jakimś znacznym urzęd-
niku, ale mówi gięś, w giębie, kobietów, koniów
i t. p.

— Może znasz pan jaką kokotę wybitną lub miłą akto-
reczkę...

Wyszedłem... zdziwiony.

Zapewne że tak źle nie jest u nas; tylko ja nie mam szczęścia
w życiu i gdy innym golą nożycze, mnie angielska brzytwa pry-
ska w rękę.

Ze względu na przykre warunki materyalne, w jakich zna-
lałem się tutaj, rozdrażnienie moje rosło w miarę doznawanych
zawodów—uprzedzałem się do ludzi, widziałem wszystko w czar-
nych barwach... Najbardziej zaś irytowały mię, dziś widzę, że
w prostocie ducha stawiane pytania:

„Po jakiego licha przyjechałeś pan tutaj“?

Raz, zapominając, że jestem nędzarzem zebrzącym pracy,—
że stoję o wiele niżej od najzwyczajszego nalewkowskiego hande-
lesa, mającego trochę grosza w kieszeni, a dużo sprytu do łotrów-
w mózgowicy—uniósłem się i odpowiedziałem, że przecie i pies
szczeka radośnie, gdy ujrzy kąty, w których go chowano — że wy-
rzucony z budy, w której przeżył lata — tęskni za nią i na aksa-
mituń poduszcze...

— To dobrze—odpowiedziano mi—pies... ale przecie jeste-
my ludźmi... liczyć się z jutrem powinniśmy...

.

Postanowiłem wrócić do was, pewny że mi zakłady górnicze w Palméranie, dawniej zajmowanėj posady nie odmówią i zabrałem się do zbierania i pakowania manatków w mój izdebce.

Przy téj czynności list do ś. p. Waltera wpadł mi w ręce.

A gdybym spróbował zwrócić się do spadkobierców? pomyślałem, Bóg wie dla czego.

Nazajutrz, dowiedziawszy się w mieście, że fabrykę w Górówce prowadzi samodzielnie panna Lila Walter, córka zmarłego—zamówiłem karetkę pocztową do S... a potem wziąłem ekstra pocztę t. j. nিকczemny wehikuł bez resorów i parę na pół zdechłych koni, i dotarłem szczęśliwie, tym razem już... do portu.

Nie myśl jednak, kochany Stanisławie, iż popadłem w ręce Niemców—tój wstępnój, na pół zzydzałej zgrai szubrawców, jakiej przepyszne okazy dają nam: Łódź, Zduńska Wola, Pabianice, Zgierz i wszystkie prawie nadgraniczne miejscowości, a która panoszy się tu, wyzyskuje naszą niezdarność i głupotę, urąga za dany kawałek chleba i nabiwszy worek, ulatnia się napowrót nad Spreę.

Ludzie, którzy mi szlachetnie podali rękę — tu urodzeni, wychowani: plus royalistes que le Roy — plus catholiques que le Pape lui même. To ci chyba wystarczy przyjacielu.

Prócz nazwisk, których przecie zmienić niepodobna — nic nie zachowali z dawniej ojczyzny — a wnieśli nam czystość ciała i umysłu, ład przedziwny, zamiłowanie mrówczej pracy, moralność i oświatę.

Ze względu na obrządek religijny, pielęgnują niemiecką mowę, ale polakożercze tendencje obce im są; ta ziemia ich matką-ziemią jest i nieraz dla niej najcięższe ponoszą ofiary.

Wierz mi — nie zadowolenie, że może zapewnię sobie lepsze jutro, przez moje usta przemawia — nie zachwyty człowieka, widzącego wśród ruin i bezładu, lekkomyślnego życia bez jutra, na żart, zakątek wrzący pracą — pełen światła, ciepła i wesela. Tu przemawia słusność — chęć oddania holdu temu, co dobre, piękne szlachetne.

Cały tu personal roboczy — setki pracowników — z polaków złożony; a ludzie ci myją się i czeszą co dzień i jedzą mięso, ich żony pracują przy domowém gospodarstwie — dzieci noszą obuwie, są także myte, czesane i w świeżej bieliznie chodzą... musowo do szkoły. Oparcie się odnośnym przepisom pozbawia pracy ojca rodziny.

W zarządzie i w biurach cztery tylko osoby są germańskiego pochodzenia. Właścicielka, panna Lila Walter — główny dyrektor Hube, naczelny inżynier-górnik i paradna figurka, królewski okaz sprusaczanego saksona, kasyer zakładów p. Gotlieb Eisenherzhut, człowiek do rany, ale typ w swoim rodzaju.

Przyjęto mnie tu serdecznie, ugoszczono, poznano z przyszłymi kolegami, z których jeden żonaty i względnie zamożny, ofiarował mi u siebie elegancki pokój i całodzienne utrzymanie. Za bajecznie niską kwotę dwudziestu pięciu rs. miesięcznie, jestem żywiony po książęcemu.

Ale: à tout seigneur, tout honneur! zaczynam tedy od opisanie ci mej przełożonej.

Oczekujesz zapewne smagłej kibici, uroczych oczu, anielskiej twarzy, dziewiczego blasku na czole, powiewnej postaci i t. p. frazesów używanych zwykle w powieści. Nic z tego, mój drogi Stanisławie,—nic prawie—bo panna Lila Walter, mimo swych dwudziestu dwóch lat i kwitnącego zdrowia, jest co się zowie... brzydka dziewczyna.

Najpierw, ma wedle moich pojęć o pięknie w kobiecie, wzrost odrobinę za duży—wedle zaś ogólnych prawideł: za duże usta, choć w nich przesliczną drobne ząbki—za ruchliwe nozdrza, za wąskie czoło, za okrągłą twarz i za krótką szyję. Całość jak widzisz wcale nie ponętna, mimo zdumiewającej białości i delikatności płci oraz rzecz dziwna, na wskroś rasowych arystokratycznych ruchów i dość powabnego chodu, nie przypominającego w niczem ruchu kaczkki na łądzie lub wahadła ze starego zegara z kukułką.

Za to panna Lila ma włosy duże, popielatęj barwy i ładne, rozumne, błękitne oczy, w które, gdy patrzysz, zapominasz mimo woli o nieprawidłowościach wyżej wymienionych. Błyszcza one jak dwie lampki elektryczne—nie tém jednak spokojném, łagodném, jednostajném światłem, jakie spotykamy w okazach zagranicznych, ale jak tu u nas, domorośle, gasnące co chwila, aby nagle zajaśnieniem oślepić przechodniów. Dowód to nieuctwa naszych pp. elektro-techników—w oczach jednak panny Lili dowód przedziwnęj mądrości przyrody, która wytwarza na każdym kroku arcydzieła i odmawiając biednej dziewczynie ładnej twarzy, dała te dwie gwiazdki tryskające życiem.

Prócz tego, panna Walter, o ile wnoszę z jej niewymuszenia i zupełnego braku zalotności, nawet nie domyśla się, czém, mimo braku urody, przewyższa i do rozpaczy doprowadziłaby mogła najpiękniejsze może kobiety. Oto, królewską budową ciała, którego kształty są zupełnie bez zarzutu.

Oszczędzam ci głupich porównań z Wenus z Milo, z Wenus medycejską i innymi; oszczędzam ci także wyrażań: wykuta jak dłem Phidyasa (nie tutejszego psa państwowego w Górówce, ale rzeźbiarza), Praksytelesa, Canowy i t. p., gdyż nie jestem piszącym idyotą, ale zwyczajnym inżynierem,—natomiast powiem prosto, że ręka i noga tej dziewczyny są przedziwniekształtne i drobne, gorsz okazały, biodra mistrzowsko zakreślone... Czarne szaty dodają

kształtom tym powaba, wytworne obuwie, uwydawnia prześlizne stopy, mogące być ozdobą najpyszniejszych dywanów w salonie.

Taką jest panna Lila Walter, wyobrażona cieleśnie; co do moralnych stron dziewczyny, tyle tylko powiedzieć mogę, że ją tu lubią i szanują, bo dobrą jest i sprawiedliwą.

Przy śniadaniu, do którego mię, przybysza, zaraz po rozmówieniu się co do mego wejścia do zakładu, zaproszono—zastąpiłem prócz dyrektora Hubego, dwóch duchownych: miejscowego katolickiego proboszcza i pastora; rzecz szczególna, nieklócili się przy deserze; rozchodząc, uścisnęli dłonie serdecznie. Gdy wyraziłem później panie Walter moje podziwienie:

— Zasluga w tém mego ojca jeszcze; umiał ich obu dobrać wykształconych, pełnych taktu. Czują, że wobec szczytnéj idei bóstwa, jego przedstawiciele musieliby upaść bardzo nisko, aby sprzeczać się i sypać docinki co do większój wartości téj lub owéj formy czczenia Najwyższego. W Górówce, obie plebanie siostrzane wiodą życie; zwiedzisz pan oba kościoły i ich zabudowania; jednakowa w nich wygoda—domy podobne do siebie—takie same uposażenie.

W salonach pałacyku, który zamieszkuje właścicielka wraz z ciotką swoją, wdową, noszącą trochę zabawne nazwisko: Firlecka, przyjęto nas ze staropolską gościnnością; przy stole dla proboszcza było wino, dla nas oryginalne monachijskie piwo, podane w staniemieckich pucharach ze srebrnymi przykrywkami.

Gdyśmy przeszli do czytelni, na czarną kawę, —zauważyłem całe stopy gazet, broszur i przeglądów w czterech czy w pięciu językach ziemi; siedm pism polskich i trzy nasze ilustracye, na osobnym umieszczone stoliku.

— Wiem, że panowie co dłuższy czas przebywaliście za granicą, czytacie namiętnie gazety—lubicie być „au courant“ ruchu naukowego i literackiego... rzekła Lila zwracając się do mnie. Chciéj pan tedy wynotować potrzebne ci pisma, a co dzień świeże przyniosą ci do domu. Ja wyjątki tylko ważniejsze czytuję: zaznacza mi je jeden z pisarzy biurowych—czasem ciocia...

Proboszcz z pastorem zasiedli do pikiety—ja pożegnałem miłą gosposię i wróciłem z p. Hube do biur, gdzie miałem zasiąść nazajutrz pod opiekuńczemi skrzydłami p. Gotlieba.

.

Weź tyczkę do chmielu, najwyższą jaką znaleźć można, zasadź na końcu wielką żółtą dynię i trochę niżej przymocuj poziomo dwie ręczne maglownice, odzież to wszystko w długi wytłusz-

czony surdut, z którego pół—będą wyglądały kruciutkie, obcisłe spodnie i niemożliwie płaskie czternastocalowe obuwie—a będziesz miał dokładny obraz p. Żelazo-serco-kapelusza, bo tak go młodzi adepci przemysłu w biurze przezywają.

Słyszałem niemożliwą śpiewkę, tak rozłożoną na głosy, że istotnie komiczne sprawia wrażenie. Jeden z młodych sowizdrzłów śpiewa np. Eisen--drugi Herz trzeci Hut i t. d. Cała zwrotka brzmi jak następuje:

Eisen—(herz) hut,
Nicht alles gut!
Ganz ungenirt,
Bismarck krepirt!
Eisenherzhut,
Bismarck kaput—
Schon alles gut!

Niech tylko stary inżynier opuści biuro na chwilę, odzywają się z różnych kątów głosy piskliwe przeplatane zręcznem naśladowaniem kocich—co biedne niemczyśko do rozpaczy przyprowadza, porusza bowiem w szufladach biurka niewiune zwierzątka, spoczywające tam z cierpliwością, o jakiej trudno mieć wyobrażenie. Wtedy p. Gotlieb, zżyma się, sierdzi, donnerweteruje zawzięcie—nareszcie uderza w pokorę i składając na kolek swą godność płatnika, zniża się do próżb, niezawsze skutek odnoszących.

P. Eisenherzhut mówi po polsku szkaradnie—niemożliwie; przez krtań tego Germana, szorstkie dźwięki naszej mowy przejść poprawnie nie mogą—przytem miesza rodzaje tak zabawnie, że istotnie trzeba mieć wiele powagi, aby nie śmiać się mu w oczy. Mówi np. o sobie; miała, musiała, jadła, piła i t. p., a natomiast: żona moja psijechał od Warszawa—jedna dziecko chorowała na szkarlatin... sądzę też jego wymowa głównie pobudza młodzież biurową do żarcików, czasem bardzo przykrych dla starego weterana mrówczej pracy.

Osiwiali w topielni robotnicy pamiętają jednak p. Gotlieba, gdy zjawił się w zakładach jako dorodny Niemczyk z niebieskimi oczami i tak piękną blond brodą, że dziewczęta w okolicy o nim tylko marzyły. Jedna nawet córka dzierżawcy, zaczęła uczyć się po niemiecku i tak znakomicie wprawiła się do odmiany słowa „lieben“, że upolowała zajmującego już podówczas posadę rachmistrza i uszczęśliwiła go swą gładką buzią, za to jednak bardzo chropowatym języczkiem.

Miodowe miesiące zaledwie kilka tygodni trwały—potém nastąpiły burze domowe, a choć dziatwa sypała się jak z rogu obfitości—macierzyństwo, miasto łagodzić czupurne usposobienie pani Eisenherzhutowej, zmieniało ją w słynną z balady Twardowską i w drugą z udatnej bajki: „Strzyżono golono“. Tetryczał

też, starzał się, chudł i wyciągał w górę jak tyczka biedny p. Gotlieb, unikał domu, gdzie widząc ciągle sceny małżeńskie, małe Eisenherzhuty traciły szacunek dla rodzica—nareszcie cały zasób miłości i przywiązania, jakie miał w swém miękkim sercu, przeniósł na koty, ubóstwiając w nich, wyjąwszy pewnej pory, istoty milejące i niezależne. Na noc, zamykał się z niemi w swym pokoiku,—rano karmił je i brał na cały dzień do biura, aby żona lub dzieci, z wysoko rozwiniętym instynktem szkodzenia, dla szkodzenia i sprawiania przykrości, jedynie dla napawania się gniewem lub żalem bliźnich—nie potruły ich, lub nie powywieszały na pierwszój lepszój żerdzi lub gałęzi.

Co było powodem ciągłych walk, w których, od czasu do czasu, godzono i na ostre—jest do dziś tajemnicą nieprzeniknioną; w sąsiedztwach, kobiety utrzymywały, że cała wina była po stronie Gotlieba, mężczyźni, mimo gładkiej, przed laty, buzi pani Rózi, jak jeden nazywali ją czarownicą, dawniej młodą, dziś starą. Wiedziano tylko, iż wystarczało jedno słówko Eisenhrzhuta, jedno krząknięcie, a często dotknięcie jakiegoś sprzętu, lub błaha uwaga co do dzieci, aby poruszyć straszny wodospad wyrazów i obelg, jakich nieboszczyk Linde nie zamieścił w swym słowniku dla tój prostój przyczyny, że nie miał zapewne takiej połowicy.

Sądzę, że dziwaństwo uprawiania polityki i apoteozowanie Bismarcka, również przypisać trzeba nieszczęściom rodzinnym p. Gotlieba; uwielbiał siłę, której nie miał sam, niestety, aby potrzaskać niezawsze słodkie jarzmo pani Rózi. A rzecz najzabawniejsza, że p. Eisenherzhutowa była zazdrośna jak tygrysica i jest nią do dziś jeszcze, choć dalibóg, mój bezpośredni zwierzchnik wcale do Adonisa niepodobny. W domu, wystarcza jego uwaga o przystojności, sympatycznej twarzyżce nietylko jakiejś damy, ale robotniczki lub wieśniaczki, a już pani Rózia upatruje w niej uderzające podobieństwo do koczkodana, podejrzywa męża o niewiarę i.... wyprawia mu wstrętne sceny. Raz tylko jeden, poproszony na herbatę, miałem szczęście być świadkiem domowój sprzeczki w domu pocziwca.

Rozmawialiśmy o Napoleonie I ym.

— Ah, to ten cesarz, co zginął pod Waterloo? wyrwała się pani Gotliebowa.

— Nie—poprawił mąż. Tam przegrał walną bitwę; umarł na wyspie Ś-iej Heleny, w niewoli u Anglików.

— Nie prawda!

— Ależ Rózio! nie mówże takich herezyj.

— Wiem, co mówię—pamiętam wybornie. Nieprawdaż panie inżynierze, rzekła zwracając się do mnie, że zginął pod Waterloo?

— Myli się pani, niestety.

Płomienie przebiegły jój po twarzy.

— Pan może nie pamiętał odparła zaciętrzewiona.

Milcząc, poszedłem do oszklonej szafy z książkami i wzięwszy z niej tom N encyklopedyi Brockhousa, wskazałem jej odnośny ustęp.

— Omyłka! rzekła, ruszając ramionami.

— W Encyklopedyi i omyłka tego rodzaju?

— Alboż to książka, to ewangelia?

Wzięłem historią powszechną i odczytałem zakończenie dramatyczne dziejów wielkiego zdobywcy.

— I w tej książce pomylić się mogli!...

Odtąd, wyobrażenie moje o wykształceniu, rozumie i usposobieniu pani Gotliebowej, było utrwalone i ręczę ci, Stanisławie, że drugi raz progów jej nie przestąpię.

W biurze przerachowano się, sądząc, że przyłączę się do kółka przesładowanych. Nieraz, psie figle młokosów i mnie do śmiechu pobudzały;—o ile to było w méj możności jednak karcilem je słowami.

Po miesiącu pobytu w Górówce, miałem już dowody, że Niemczyko było z kośćmi dobrym człowiekiem i, że nie zasługiwało na przesładowanie ani na taką plagę w postaci pani Róży.

Z uprzejmością, na jaką uprzedzony doń niekorzystnie, liczyć nie mogłem wcale, p. Eisenherzhut zaczął wtajemniczać mnie w ściślejszą rachunkowość zakładów, obznajmiać z ruchem wszystkich kółek tego wielkiego mechanizmu pracy, rozłożonej w cząstki z wzorową regularnością. Rozmowa nawet potoczna przyjemną jest z tym dziwakiem—choć każda, niechybnie zwraca ku swemu ulubionemu mężowi stanu.

Co do pamięci—ma ją kolosalną, a także wprawę w liczeniu zdumiewającą. mógłby z estrady za pieniądze rozwiązywać matematyczne zagadnienia. Mnoży i oblicza procenta z miesięcy, dni i tygodni odrazu i niemyli się, choć kapitał najeżony różnemi liczbami, z ułamkami na końcu.

Co kilka dni, wiem to od Gotlieba, panna Lila dowiaduje się o moich postępach. Czyżby istotnie miała zamiar podwyższyć mi plagę w biurze, lub powierzyć który z wydziałów w zakładach?

Nazajutrz po mojem przybyciu do Górówki, wezwano mię do kasy i wypłacono 100 rs. tytułem zaliczenia, zastrzegając strącanie miesięcznie po rs. 25. W końcu miesiąca lipca, dano mi rs. 75, zatem odrazu płaca wynosi 1200 rs. rocznie, co jest wynagrodzeniem królewskim, w porównaniu z 400 rs., ofiarowanemi mi wspaniale w warszawskiej fabryce stali.

W niedzielę i święta nakrycie moje jest zawsze w pałacyku, gdzie najwięcej zyczliwości okazuje mi pani Firlecka, ciotka mojej przelożonej, której dom prowadzi. Miła to kobiecina, rozmowna w miarę, uprzejma i rzecz niezwykła wśród kobiet, nie lubi obmowy.

W zakładach wszyscy okazują mi względy, które zawdzięczam pierwotnemu przedstawieniu mię dyrektorowi przez pannę Lilę. Za plecami nazywają mię protegowanym panny Walter, choć Bogiem a prawdą, o przenoszeniu mię nad drugich i mowy być nie może. Pracuję od dziewiątej do południa i od drugiej do szóstej, t. j. do obiadu, kamieniem z moim śmiesznym Eisenherzhutem; prócz tego, często wieczorami. Właścicielkę widuję rzadko bardzo, w przechodzie, oddają jej ukłon głęboki, na który odpowiada poważnem skinieniem głowy,—to wszystko. Za to Phidyas bywa codziennym gościem w biurze, a wieczorem zachodzi, jak mówię żartując: na pogawędkę. Bardzo muzykalne bydle—zakasowałoby niejedną z naszych melomanek i ma słuch znakomity. Zrobiłem niedawno próbę ciekawą.

Phidyas przychodzi rzeczywiście słuchać gry mojej na pianinie, jeżeli udaje, że nie rozumiem o co mu idzie—ciągnie mię za poję, potem idzie i kładzie pysk na klapie instrumentu. Póki gram leży i macha zawzięcie ogonem, przechylając piękną swą głowę to na prawo to na lewo, nadstawiając uszu; a wszystko mu jedno czy słyszy smutne czy wesołe tony, byle niefałszować tylko. Wyobraź sobie—raz, żartem zacząłem grać od rzeczy—pies natychmiast powstał, zrobił zdziwione oczy, a zapewne widząc, że nie przestaje—zaczął wyć jakby wyrażając mi swe zgorzsenie. Powtórzyło się to i mam teraz wiele szacunku dla lubiącego tak harmonię czworonoga. Ileż to pań naszych wykonywających mazurki Chopin'a na tempo walców Straussa, lub sonaty Mendelsohn'a, wedle ruchu korby katarynki, pozazdrościłyby Phidyasowi jego estetycznego uzdolnienia! Zauważałem jednak, że ta sympatya okazywana mi przez wodolaza, niepodoba się mojej zwierzchniczce; można by sądzić, że podejrywa mię, iż dokładam starań, aby zjednać sobie życzliwość jej strażnika, choć daleką jest ta myśl odemnie. Zresztę w jakimżebym to czynił celu? Przysłowie twierdzi, że: dziecko za rękę, matkę za serce; w tym jednak razie nie da się zastosować przecie. Pies lubi mię—nie staram się jednak zaskarbiać jego życzliwości, gdyż nigdy czegobądź mu do jedzenia nie daję, a trudno przecie, abym go wypędzał?

Jak widzisz, życie tu dość znośne, dotąd przynajmniej. Są i sąsiedztwa i niejacy Kawscy, właściciele Kawina, pięknej posiadłości, do której należy ośmdziesiąt włók starannie utrzymywanego, wysokopiennego lasu. Dyrektor namawia mię, abym złożył im wizytę—mają być ludzie dobrzy, trochę za bardzo „bon vivant“ oboje, zato jest tam ładna panienska i synek, trochę letkiewicz, ale bardzo miły chłopiec—kręci się koło panny Walter, ale chyba dla jej ogrounego mienia...

Oto list—niezwykły co do rozmiarów, niezbyt ponętny treścią: Wybacz, że tak długi i nudny napisałem i mierz go łokciem Wa-

szój dla mnie życzliwości. Donieś mi też co porabiają dawni znajomi i co piękna hrabina Klara... Powiedz jej, że piękne jej szare oczy ścigają mię jeszcze tutaj, lecz daremnie.

Żonie twój serdeczne pozdrowienie—pocałunki dzieciom, tobie zaś—tobie nic, bracie, prócz tego, że radbym co chwila trzymać w mojej Twojej dłoń pocziwą, — tak chętną do niesienia pomocy nieszczęśliwym.

Twój

Ignacy.

III.

— Już od trzech miesięcy p. Kruszewski jest w zakładzie—co niedziela i święto siada z nami do stołu a dotąd jeszcze mój Andrzej, nie możesz zapamiętać że kromki tylko jada...

— Kiedy dziś niema proszę pani— panna Lila psu ją przed chwilą odkrajała.

— To wziął z drugiego bochenka! była cierpka odpowiedź.

— Ostatni przysłano ze spiżarni...

— Posłać po inny do osady.

— Ciociu! ozwał się głos panny Walter po francuzku.

— Co takiego aniołku.

— Ciocia przesadza! Cóż się stanie p. Kruszewskiemu, jeżeli raz zje więcej ośrodka a mniej skórki.

— Zapewne, że nic; dla czego jednak nie dać mu tego, co lubi?

— A gdyby bardzo polubił Górówkę? zagadnęła, śmiejąc się trochę wymuszenie Lila—czy także daćby mu ją trzeba było?

— Naturalnie, ale chyba z ręką właścicielki.

Po twarzy młodej dziewczyny przebiegł obłoczek różowy—przygryzła wargi i nie odpowiadając, wzięła książkę i zagłębiła się na nowo w czytaniu.

Stary Andrzej tymczasem skoczył po rozum do łysej swój głowy i odkrajawszy zgrabną, niewielką kromkę od spodu bochenka, wsunął ją w złożoną na talerzu serwetę, przed krzesłem przeznaczoném dla inżyniera.

— Widzi pani, że sobie poradziłem! rzekł z tryumfującą miną.

— Nie pomijając że i reszta chleba ładnie teraz wygląda! wtrąciła Lila.

Brząk tłukącego się talerza był odpowiedzią.

— Nie wiem czemu panienka tu przesiaduje, jak nakrywam do stołu! jakby tylu pokoi nie było; człowiekowi wszystko z ręki leci... mrucał tymczasem służący—właściwie kredencarz teraz, który właścicielkę Górówki piastował niegdyś na rękę.

Pokręcił się jeszcze, popatrzył na swe dzieło — poprawił kwiaty, przesunął trochę wielkie świeczniki, wygładził obrus i u-

łożywszy fałdy na rogach, wysunął się cicho z jadalnej sali, zapominając skorupach na podłodze.

Po jego wyjściu Lila przeglądnęła nakrycie i wskazując krzesło po lewej stronie miejsca Kruszewskiego:

— Kogo tu, ciotko, umieściłaś?

— Pannę Joannę.

— Do czego to podobne! odparła ruszając z lekka ramionami panna Walter. Złożył Kawskim wizytę — to dobrze; sadzać ich jednak razem, — to może się rodzicom nie podobać!

— W szczególném dziś jesteś usposobieniu, moja Lili, — dopatrujesz plam na słońcu.

Znów niecierpliwy ruch ramionami.

— Dla mnie — niech ciocia z drugiej strony posadzi pannę Hube; myślę jednak.

— Dobrze, zapytam pierw panny Joanny...

— Tego niech ciocia nie robi! byłoby to prosto...

— Czém takim!

— Mniejsza czém, ale już dawno chciałam ciocię prosić, abys tak jaskrawo nie akcentowała twych sympatyj.

— Do Janki?

— Ale cóż ona nas obchodzi! ciocia wie dobrze, że o panu Kruszewskim mówię.

— Jaskrawo? Kromkę chleba na talerzu nazywasz jaskrawością? Nie rozumiem, co ci jest, Lili, stajesz się co dzień nieznośniejszą!

I poczciwa cioteczka zaczęła szukać pilnie po kieszeniach chustki do nosa; nigdy bowiem nie płakała pierw, póki nie miała pod ręką tego kawałka płótna w pogotowiu.

Panna Walter zrozumiała widać te ruchy i płacziwy wyraz twarzy krewnej; — skinęła bowiem na Phidyasa i wyszła z jadalni, nie odpowiadając ani wyrazu.

Jeżeli jednak istotnie owego dnia, właśnie jej urodzin, była w wyjątkowo kwaśnym usposobieniu — to nie mogła gorzej trafić, jak schodząc do parku, w którym, na zakręcie pierwszej platanej alei spotkała właśnie inżyniera w towarzystwie córki dyrektora swych zakładów, przystojnej choć za małej szatynki, ruchliwej jak żywe srebro niemeczki.

Młodzi ludzie szli oboje, śmiejąc i rozmawiając — uniknąć ich nie było można.

Kruszewski w letniém okryciu na czarnej odzieży, panna Hube w zibelinowej narzutce na wizytowej tualecie, postępowali wolno zajęci żywą rozmową.

Lila, teraz uśmiechnięta, zbliżyła się do nich swobodnie. — Z córką dyrektora była w jednym wieku — obie razem się chowały i w Dreźnie kończyły nauki — ścisła przyjaźń ich łączyła.

— Nie wyobrazisz sobie, Lili, co mi pan Kruszewski

o twoim psie opowiada, o jego usposobieniu muzykalném....

On tymczasem kłaniał się jej z powagą uniewiniał, że jej w parku składa życzenia: obowiązkowe tylko, bo szczerze nic jej przecie życzyć nie może... ma wszystko: młodość, mienie, zdrowie, przywiązanie podwładnych...

— Dziękuję panu za śliczny bukiet przysłany z Warszawy — rzekła wyciągając doń rękę. Była to dla mnie tem miłsza niespodzianka, że gardenii nie ma już w mojej cieplarni, a kamelie, w tym roku, nie dopisały.

— Obawiałem się tylko że nadejdzie nie w porę...

— Doręczono mi go dziś rano. Zkąd pan jednak wiesz, że to moje ulubione kwiaty? dodała.

— Niedawno, rozmawiając z ogrodnikiem, dowiedziałem się. Żalił się, że ich nie ma już... a pani za nimi przepada.

Mała Hube spojrzała na zegarek.

— Po piątą już, a tyś jeszcze nieubrana? rzekła. Wszakże dziś po raz pierwszy zdejmujesz żałobę.

— Głowa mię trochę boli, chciałam przejść się pierwój; w istocie jednak, późno jest... obiad o pół do siódmój...

Turkot ekwipażu na grobli przerwał jej mowę.

— Zapewne Kawscy! rzekła panna Hube.

— Któżby inny? oni tylko swą czwórka i tak ciężką kareta robią tyle chałasu...

— Do tego jeszcze to staroświeckie trzaskanie z bicza! do-
dał inżynier z uśmiechem.

— Nie długo już będzie tej buty! szepnęła córka dyrektora.

— Michasiu! strofowała Lila.

— Ostatkami gonią!

— Czy to prawda? pytał Kruszewski...

— Nie opływają teraz w dostatki, ale tak źle nie jest jeszcze!

— Służby jeszcze za pierwsze półrocze nie zapłacili! ciągnęła nieubłagana mała osóbką. A szwaczka panny Joanny skarżyć ją musiała, aby odebrać należność za stroje karnawałowe.

Nadeszła ciotka panny Walter.

— Dobrze że tu pana zastaję — rzekła do Kruszewskiego z uśmiechem. Umieściłam pannę Kawską przy panu, przy obiedzie... czy ma pan co przeciw temu?

— Zupełnie nic! odparł z ukłonem — choć właściwie może to pytanie zwrócić by do panny Joanny należało.

— Założę się że to panna Kawska życzyła sobie... rzekła ze złośliwym uśmiechem Michasia.

— Ależ nie... tak się złożyło...

— Bo ja mówiłam jej w zeszłym tygodniu że p. Kruszewski ma w Paryżu bezdzietnego wuja który posiada cztery...

— Rany z ostatniej wojny! dopowiedział inżynier.

— Cztery miliony fr. i że to pau wszystko odziedziczy.
Nachmurzyła się sympatyczna twarz Lili.

— Michasiu! niepoprawną jesteś i złośliwą jak zawsze.

— Wypytywała mnie o stosunki p. Kruszewskiego—zażartowałam z niej... Ale, dodała zwracając się do Firleckiég: niech pani zmieni porządek rzeczy i mnie posadzi przy panu. Ja nie poluje na miliony, trzepała dalej, śmiejąc się, a p. Kruszewski ma zemną tańczyć pierwszego walca potem...

— Chyba drugiego, Michasiu! rzekła z powagą panua Walter, bo do pierwszego, już jest zapisany w moim karneciku.

Kruszewski nie dał poznać po sobie ogromnego zdziwienia, jakie go ogarnęło. Walca niezamawiał wcale — gubił się tedy w domysłach co do powodu odpowiedzi Lili.

— Tak? odparła patrząc na inżyniera. Nic mi pan nie mówięś przecie.

— Bo i pani o walcu dopiero teraz mówi!

Ekwipaż Kawskich zajeżdżał przed pałacyk — udano się na przyjęcie gości.

(*Ciąg d. n.*)

PIŚMIENNICTWO

K R A J O W E I Z A G R A N I C Z N E

Wydawnictwo Gebethnera i Wolffa: 1) Jak się uczyć i jak uczyć innych. Napisał Dygasiński. Warsz. 1889 str. 239. 2) Jak mówić po polsku? Gramatyka popularna. Napisał A. G. Bem. Warsz. 1889. Str. XI + 342. Errata II. Spis rzeczy IV. 3) Jak pisać po polsku czyli Stylistyka języka polskiego. Napisał Władysław Korotyński. Warsz. 1889 str. IV, 213. *)

Drugą z kolei książką Wydawnictwa p. Geb. jest „popularna“ gramatyka polska, opracowana przez p. A. G. Bema, dla samouków—pod tym ostatnim względem słowa przedmowy, zatytułowanej „Cel książki“ (przy końcu str. IV) nie pozostawiają wątpliwości. Gramatyka języka ojczystego dla samouków—rzecz to zaprawdę ciekawa, do wykonania zaś możliwa, bo jeżeli jaki przedmiot, choćby w przybliżeniu, jest dostępny dla samouctwa, to w największej mierze właśnie chyba teoria mowy rodzinnej, którą już się włada praktycznie. Spodziewamy się więc czegoś lepszego od metod Ollendorfa, Toussaint-Langenscheidta i Jeskego (w Stylistyce), a przy najmniej wykładu analitycznego, opartego na nieodłącznym od gramatyki materiale słów, przykładów i całych ustępów, zastosowanego do potrzeb samouctwa, bo zresztą wiadomo, że metoda analityczna uznana dziś została za jedynie możliwą w nauczaniu każdego języka żyjącego, a tém bardziej mowy rodzinnej. Z ciekawością więc przeglądamy układ treści w książce p. Bema i odrazu spotyka nas rozczarowanie: widzimy tu bowiem na-przód obszerny wykład głosowni (łącznie z pisownią), zajmujący $\frac{1}{4}$ całej pierwszej części (60 stronice na 240), dalej naukę odmian rzeczowników, zaimków, przymiotników, konjugacye słów i t. d., wreszcie krótki wykład składni—wszystko jak dawniej. Wprawdzie do kilku rozdziałów dodane są króciutkie ustępy (razem 6, po pół stronicy, najwyżej po stroniczce każdy) pod tytułem „materiał do rozbioru“, służące do wyszukania odpowiednich części mowy i ich form i t. d., ale przecie tego niepodobna uważać na seryo za wyraz metody praktycznej, podobnie jak umieszczonej na początku (w niełatwym do zrozumienia celu) prozaicznej przeróbki ustępu wierszowanego (str. IX—X). Jest tu jeszcze, na początku dziełka, zaraz po przedmowie,

*) Dok. Zob. Zeszyt na miesiąc Sierpień r. b.

„ustęp z dziennika samouka“, zawierający rzekomo „próbę elementarnego kształcenia się bez pomocy nauczyciela“, ale i tój próbie poważnego znaczenia przypisać niepodobna. Zaczyna tu bowiem samouk od *metryki* (!), rozbiera wierszyk Lenartowicza pod względem miary rytmicznej (wiadomo, że wiersze miarowe nie są bynajmniej powszechnie przyjęte w poezji polskiej i że częstokroć bywają naciągane, boć przecie np. trudno uważać z samoukiem wyraz *sobie* za pozbawiony akcentu, str. X); następnie zastanawia się, gdzie tu jest *opis*, gdzie *opowiadanie* i *rozumowanie*; dalej *krytykuje* niewłaściwe użycie znaków przestankowych przez poetę; nakoniec *kolega* pomaga mu wynaleźć w studyowanym wierszyku rozmaite części mowy.... I to ma być droga *elementarnego* samouctwa w dziedzinie gramatyki mowy rodzinnój? Zaprawdę ów samouk elementarny, zabierając się do utworu Lenartowicza, znał już *metrykę*, *retorykę*, *logikę*, używanie znaków przestankowych (nie czerpie bowiem tych wszystkich wiadomości z danego ustępu, ale je do niego jako kryterya stosuje); tylko części mowy wyróżniać jeszcze nie umiał—do tego był mu potrzebny *kolega*, a więc *nauczyciel!*.. Zresztą sam p. Bem cały tak skrupulatnie przez nas wyliczony „materiał praktyczny“ swojej książki oraz fantastyczny „ustęp z dziennika samouka“ uważa (całkiem słusznie) za nieistniejące, gdyż na str. V wymienionój powyżej przedmowy, czytamy dosłownie co następuje: „metoda popularnego wykładu nauki języka, powinnaby polegać na wszechstronnym rozbiore *ustopniowanych nalezycie zdań i całkowitych utworów piśmiennictwa*. Książka taka byłaby trwałym w literaturze pedagogicznej pomnikiem; ale na teraz *wyrzec się jej musimy*, bo *skąpa miara czasu*, przeznaczanego na wykonanie pracy, *utartą* jedynie pozwala nam iść drogą“. Jeżeli tedy sam pan Bem wie, że jego praca nie odpowiada podjętemu zadaniu, że idzie „drogą utartą“ i trwałym pomnikiem nie będzie, nie może więc i od nas wymagać, abyśmy utwór chybiony i niepraktyczny przyjęli z uznaniem, oraz wdzięcznością w jego roli zastępczej—zamiast pracy, której wykonać autor „nie miał czasu“....

Gramatyka pana Bema nie jest też bynajmniej „popularną“. W przedmowie, na str. IV autor obiecuje, że „wszelkie zachodzące między uczonymi rozdzwojenia, czy to w uznaniu form językowych, czy w pisaniu, będzie się starał treściwie a jasno określić“. Zapowiedzianych tu wywodów krytycznych pan B. nie uważa snąc za ujmę „popularności“, a jednak wiadomo powszechnie, że gramatyka „popularna“, czy to dla samouków, czy wogóle do nauki przeznaczona, powinna podawać jedynie wyniki pewne, stanowcze; dowodzenia zaś i uzasadnienia są tu całkiem zbyteczne, a wdawanie się w krytykę jest z punktu widzenia pedagogicznego, niestosowne, nieużyteczne i nawet wprost szkodliwe, jako nieodpowiadające wiekowi oraz uzdolnieniu umysłowemu uczniów i obarczające ich pamięć, którą oszczędzać należy. Dotrzymuje zaś autor istotnie swój obietnicy, rozwodząc się np. szeroko i wdając się nie tylko w krytykę, ale i w pole-

mikę w kwestyach ortograficznych o wyrazach na *ya, ia* (aż na 8-iu stronicach 53—60), o zakończeniach *em, ym* (str. 150—152), o imiesłowach na *szy* (str. 188). Nadto porównywa częstokroć formy jęz. polskiego z łacińskimi i greckimi (str. 8, 11, 33), wspomina nawet o sanskrycie i lingwistycę porównawczą. krytykując zarazem wywody filologiczne Mickiewicza i inne lingwistyczne dzieciństwa (str. 63—64). Ma również słabość do przytaczania form staropolskich i historii przekształceń, jakim te z biegiem wieków uległy; cytuje dawne zabytki i pisarzy dawniejszych (np. str. 8, 142, 143). Cały ten balast erudycyjny, należący do zakresu wyższych umiejętności—do gramatyki porównawczej i historyczno-krytycznej, w podręczniku pana Bema jest zbyt pobieżnym i ułamkowym, aby mógł zadowolnić uczonego badacza, dla samouków zaś i wogóle dla uczniów, a nawet i dla nauczycieli gramatyki elementarnej, jest najzupełniej niepotrzebnym: wszak pedagogika nowoczesna stanowczo potępia nauczyciela, który nie może utrzymać się na poziomie rzeczy, dla uczniów niezbędnych i przystępnych, lecz usiłuje popisywać się przed działwą, zabłysnąć niezrozumiałą dla niej erudycją. Pod tym względem zaiste autor już nie poszedł „drogą utartą“, gdyż dawniejsze podręczniki elementarne do nauki jęz. polskiego, na których nie zbywa naszej literaturze pedagogicznej, pomimo innych swych wad, wolne są przynajmniej od niepotrzebnej uczoneści. Praca p. Bema posiada jeszcze kilka innych cech „oryginalnych“ i te tu wymienić musimy. Tak już w przedmowie autor zapowiada, że usiłować będzie utrzymać się na poziomie chwili (str. IV), to jest rachować się ze zmianami, którym obecnie ulega nasza mowa, jak wszystkie języki żyjące. Jest to jednakże szkopuł niezmiernie drażliwy i do szczęśliwego omińnięcia trudny. Najłatwiej jeszcze być pobłażliwym dla przyrostu w słowniku—dla nowych wyrazów lub form upowszechnionych już i ustalonych pod wpływem istotnej potrzeby (np. *telefon, tramwaj, ukaz, gubernia* zam. daw. *gubernium, kumys, kefir* i t. d.); ale gdy chodzi o uszkodzenie i zwyrodnienie odmian gramatycznych, jakiego trzymać się należy regulatora? Zdaniem naszym, w tym punkcie wypada hołdować najuporczywemu konserwatyzmowi, to jest iść za powagą najlepszych pisarzy dawniejszych i nowych, stojąc na straży czystości mowy literackiej i na jej wzorach kształcić mowę potoczną, tém bardziej, że obecny nasz upadek pod względem oświaty oraz cześć, niekiedy przesadzona, dla prądów demokratycznych grożą zanieczyszczeniem i kalectwem pięknemu i od tak dawna wyrobionemu językowi Skargi, Kochanowskich, Mickiewicza, Pola i Kremera. Autorowie, badacze języka oraz nauczyciele w naszych czasach, gdy z tyłu stron grożą mowie polskiej zagłada i skażenie, powinni być bardzo ostrożni w uznaniu mocy prawodawczej „zwyczaju obecnego“ lub mowy potocznej, to jest wogóle niewykształconej: te rozmaite nowości, wprowadzane bez istotnej potrzeby, jedynie wskutek nieuctwa, wpływów obcych lub gwary trywialnej, ulicznej, zaprawdę nie mogą być

uważane za zbogacenie języka, za objawy jego życiowego rozwoju, ale ilekroć są sprzeczne z ustalonymi w ciągu wieków formami oraz wzorowymi dziełami pisarzy, są to raczej chorobliwe narośle zwyrodnienia, wytwory zepsucia i zgnilizny, których do zdrowego organizmu nie dopuszczać, rozkrzewione pasorzytniczo—wyrwać i obciąć należy. Pod tym względem potrzeba być raczej arystokratą niż demokratą o tyle, o ile każda rzecz piękna, dostatnia, cała i zdrowa pożądaną jest od brzydkiej, kuszej, dziurawej i chorąg. Pan Bem ulega niekiedy właśnie owemu prądowi demokratycznemu, zapewne owęj zalecanęj dziś tak głośno zasadzie „podporządkowywania“: uprawnia gminne, nie dające się uzasadnić formy biernika—*lilie, kolacye*, (str. 111); zbyt pobłażliwie toleruje formy dopełniacza *smoku, batwanu* (str. 85 i 87. wszak „mówią“ także *zegaru, cieniu*); broniąc zakończenia *ym zam. ém*, zbyt wyraziście i niecałkiem słusznie powołuje się na „język żywy“ (str. 152); jako powagi pod względem wysłowienia przytacza „Kuryera Świątecznego“ (str. 122, nawet zbytecznie, dla uzasadnienia form *cioc, Zoś*, jedynie możliwych); cytuje banialuki humorystyczne Kolców (! str. 201) dla usprawiedliwienia form: *będą prowadzić, będą nosić* i t. d.); przytacza ustęp jednego z Kuryerów—pism, jak wiadomo, bynajmniej czystością języka niecelujących—ustęp, który zdaniem naszym, jest raczej przykładem błędnego stylu, pochodzącego wskutek nadmiernej ilości nagromadzonych tam przypadków drugich (str. 291). Nadto p. Bem zaleca formę gminną *dohtór* (czemu już nie *dochtur*, jak mówią chłopci?), nie wyjaśniając wcale, na jakiej to zasadzie ten wyraz ma być jedynym wyjątkiem ze wszystkich wyrazów obcych, gdzie należy rzekomo pisać o pochylone? (str. 16).

Oprócz tego zbytecznego względu na gwarę niewykształconą, wykład p. Bema posiada jeszcze kilka oryginalności indywidualnych w terminologii i klasyfikacji gramatycznej. Tak np. brzmienie spółgłoski nazywa stale *szeptem*, deklinacji przyjmuje 4, koniugacji zaś—dwie tylko, co wobec zawilosci czasowania polskiego bynajmniej nie jest uproszczeniem, używa wyrażen *skłonnik* (zam. przypadek np. na str. 86) i formy *skłonnikowe* (str. 84) i t. d.

Nie brak też w książce błędów, niewłaściwości oraz opuszczeń, na które przystać trudno; dla przykładu przytoczę niektóre ważniejsze. Z alfabetu, za przykładem Małeckiego ¹⁾, autor wyrzucił całkiem literę *x*, niesłusznie, ponieważ: 1) od wieków używaną tę literę, piszący zarzucili samowolnie od lat dopiero 40-tu; 2) jako znak graniczny skrócony, *x* jest pożądanym, skoro pragnęlibyśmy posiadać pojedyncze litery dla oznaczenia np. brzmień *ch, cz, sz*, jak kirylica, która się tęp chlubi; 3) dwójka *ks*, używana obecnie zam. *x*, w wy-

¹⁾ Małecki wpada w sprzeczność, gdyż w § 7 swój Gramatyki całkiem wyrzucił X z alfabetu, a w §§ 826 i 830 sam je zaleca w pisowni wyrazów obcych, oraz skröceniach (P. A.)

razach obcych niezawsze odpowiada lit. *x*, która powstała nietylko z *k+s*, ale także z *g+s* (np. *sfnx*) i z *ch+s* (*onyx*); 4) dwójka *gz*, której używamy zam. *x* przed samogłoskami (na tój wątpliwej zasadzie, jakoby w tych razach greckie i łacińskie *x* brzmiało jak *kz*), jest wprawdzie zgodną z głosownią polską, ale brzmieniu oryginalnemu nie odpowiada (np. *egzemplar*, *egzamin*).

Pierwszą część gramatyki elementarnej autor, po staremu, nazywa *etymologią* (str. XI), co dziś oznacza dział gramatyki wyższej, zajmujący się rodowodem wyrazów; właściwą zaś nazwę nauki odmian podaje sam p. Bem nawiasowo dopiero na str. 242—morfologia. *Rz* i *ó* należą według autora, do „brzmień zanikłych“ (str. 2), co nie jest prawdą, bo nawet z wymawiania ludu przekonać się można, że *rz* nie jest całkiem to samo co *ż*, a tém mniej jeszcze *ó* zupełnie=*u*, chociaż autor wyraźnie tak twierdzi (jeszcze i na str. 15). Błędnie też utrzymuje, jakoby skłonność do *o* pochylonego przeważała w zachodnich okolicach kraju, we wschodnich zaś—do *o* czystego (str. 19), gdyż rzecz ma się całkiem przeciwnie: wiadomo każdemu, że właśnie na wschód od Niemna i Buga wszyscy niemal mówią, a nawet piszą (niekiedy sam Mickiewicz): *noż*, *bol*, *mozg*, *nożka*, *drożka* i t. d. Kwestya zachowania *ó* w przypadkach ubocznych (*król*, *chór*, *ogól*, *szczegól*) lub przywrócenia *o* czystego: bolu, powrotu, mozgu i t. d.) p. Bem zupełnie pominął, nie znajdujemy jój ani w głosowni ani na str. 19, ani przy deklinacyi I na str. 86—87. Wspomina tylko, że niektórzy autorowie piszą *powrótu*, *szkólnoy*, *połny* (*ó* str. 19), ale my o takich autorach nie wiemy, podobnież jak i o takich, którzy wyraz *nauka* uważają za dwuzgłoskowy (str. 52)—zapewne byliby to poeci, bo tylko w wierszu możnaby poznać tę różnicę. Wątpimy, czy wyraz *szczegól* może być pokrewnym nazwie ptaka *szczygła* (str. 17), a wyraz *drut*, skoro już o tém mowa, nie pochodzi od niemieck. *Draht* (str. 18), lecz jest wspólnego pierwiastka z sanskr. *drutas* (= mocny) i dla tego pisze się przez *u*.

W podziałespółgłosek pod względem trwałości brzmienia, wszyscy poważni badacze gramatyk zgadzają się na to, aby używać klasyfikacyi oraz terminologii jednakowej we wszystkich prawie językach aryjskich, gdyż ubieganie się o oryginalność w wynajdowaniu nowych działów i wymyślaniu nowych nazw, prowadzi tylko do zamętu i sprzeczności. Według owego podziału i zgodnie z czynnością organów głosowych. *trwałemi* są tylko spółgłoski płynne (z nosowemi), oraz syczące; p. Bem zaś dopatrył się trwałości także w brzmieniach wargowych *w*, *f*, oraz gardłowych *h* i *ch*, które powszechnie uważane są za *nieme* (według terminologii autora—*chwilowe*). Dział więc i nazwę spółgłosek *powiewnych* uważamy za całkiem nieuzasadnione i niepotrzebne (str. 23), bo i objaśnienie na str. 24 nie trafia do naszego przekonania. Nadto spółgłoski najwłaściwiej zwane *slabemi* autor nazywa *dźwięcznemi*, *mocnym* zaś nadaje miano *gluchych*—sprzecznie, jak mi niemam, z naturą rzeczy, bo przecie np. w mocnych *p*, *k*, *t*, tkwi nierównie więcej dźwięku, większy jest przycisk głosu i brzmienie dobitniejsze niż w słabych *b*, *g*, *d*. Pokrewieństwo

brzmienia *g* z *j* wydaje się nam niemożliwem; forma zaś *aniol* z *angelus* powstała pod wpływem jęz. czeskiego, o czém autor nie wspomniał (str. 28). Trudno też zgodzić się na to, co autor mówi o rzekomiej niemożności *oddawania* (wymawiania) brzmień *i* oraz *h* (str. 37): ani w ustroju narzędzi głosowych, ani w temperamencie narodowym, ani w cechach mowy polskiej nie widzimy podstawy, dla czegoby wymawianie tych głosek miało być dla nas trudnem. We wschodnich obszarach mowy polskiej słabe *h* wymawiają wszyscy najdokładniej; pomieszanie zaś tej głoski z mocnem *ch*, które tyle bruździ w mowie potocznej i w druku (piszą bowiem niektórzy harakter, pohopny, błachy i t. d.), właściwe jest strefie zachodniej. Co się zaś tyczy miękkiej samogłoski *i*, tej wymawianie dla każdego jest najłatwiejszem, nawet na początku wyrazów, gdzie jedynie samogłoski twarde wymagają pewnego wysiłku, ułatwianego częstokroć w jęz. słowiańskich za pomocą joty (jabłko, jest, ludowe Jadam i t. d.). Zamiast *pell*, *metł*, *mlit* (str. 45) we wschodnich dziedzinach mowy polskiej mówią wszyscy *plet*, *mleł*. Formy *uczennica*, *stronnica*, przez autora zalecane (str. 45) uważamy za błędne, wystarcza tu jedno *n*—*uczen—ica*, *stron—ica* jak np. *sam—ica*, *paw—ica* i t. d. ¹⁾ Wymieniając (str. 68) formy *Lachy*, *sąsiady*, *Teutony*, autor zaniedbał powiedzieć, że były to niegdyś odrębne formy biernika l. mn. i nie mówi o tém także w uwagach o deklinacyi I na str. 96. Podział rzeczowników na zmysłowe i umysłowe, osobowe i rzeczowe (str. 70) jest przestarzały i z logiką sprzeczny: *rzeczowniki* bowiem, to jest *wyrazy* nie mogą być ani zmysłowe, ani osobowe; nie mogą być takimi również *pojęcia*, którym te wyrazy przysługują, a raczej wszystkie pojęcia są umysłowemi; zmysłowemi zaś osobowemi lub rzeczowemi mogą być jedynie istoty i przedmioty w przyrodzie. Mówiąc o przyp. 5 od żeńskich rzeczowników zdrobniałych (str. 111), wypadało wspomnieć o takich jak *Józiczka*, *Zosieńka* i t. d., od których gwara warszawska urabia formy błędne wołacza *Józiczku*, *Zosieńku* (zam. na *o*). Wyrażenie staropolskie „rok *zawity*“ nie znaczy *zawinięty* (str. 123), ale pochodzi od wyrazu *wić*, gdyż *wici* rozsyłano jako pozwy. Obok formy *rzeczpospolita* (str. 131) warto było wspomnieć o wyrazie *republika*, z powodu, że dziś panuje błąd powszechny w deklinacyi tego wyrazu *respubliki*, *republice* i t. d. (rusycyzm); wzięliśmy go zaś nie z łaciny, lecz z jęz. francuzkiego (*république*) i dla tego wypada mówić: *republika*, *republiki* i t. d. *Dobro* i *zło*, jako rzeczowniki, cierpiane być mogą jedynie w przypadku 1-ym; odmieniać zaś je należy podług formy przymiotnej: *dobrego*, *dobremu* i t. d.; wątpię bowiem, czy którykolwiek z lepszych pisarzy używa form *dobra*, *dobru*, *zła*, *złu*, jak chce autor (str. 160). Błędną jest także forma biernika *jedną* (zam. *jednę*), którą zaleca autor, nawet bez uzasadnienia (jak to w innych razach by-

¹⁾ Co innego np. *pannica* (od panna), *konnica* (od konny). Wszak i zdrobniało *stroniczka*, nie zaś *stronniczka* (bo to jest forma żeńska od *stronnik*). (P. A.)

wa jego zwyczajem), jedynie na mocy jakiejś „analogii“ (str. 177). Przy określeniu składni oraz jej różnicy, od morfologii (str. 242) należało oprzeć się na różnicy logicznej *sądu* od *pojęcia*. Wyrażenia: „Trzech Janów zasiadało“, „kilku wpadło“ i t. d. (str. 244) zasługiwały na rozbiór bliższy i dokładniejszy. Na str. 271, gdzie mowa o zdaniach względnych, należało zwrócić uwagę na różnicę pomiędzy zaimkami *który* i *jaki*, ponieważ dziś wielu błędnie ich używa (w tej liczbie sam p. Bem, jak o tém poniżej). O okresach ani słowa. Cały wykład składni w ogóle za krótki i pobieżny.

Co się tyczy spornych kwestyi ortograficznych, autor należy do grona tych nowatorów, którzy koniecznie chcieliby wprowadzić owo znane *ym* zam *ém*, oraz archaizmy *siadszy*, *wrósszy*, a w kwestyi jutowej radzą używać pisowni *Azyja*, *Amelija* i t. d. Co do tego ostatniego punktu, godną podziwienia jest rzeczą, że nikt z rozprawiających o tej kwestyi spornej. przy jej rozstrząsaniu nie zwrócił się do samego źródła, zkąd wyszły owe dziś tak niesforne wyrazy—do łaciny i jęz. greckiego: zastanowienie się bowiem w tym kierunku byłoby wykazało, że właściwie nie ma tu o co się spierać, gdyż sama „kwestya“ tak dobrze jak nie istnieje wcale. Oto np. wyraz *Idalia* po łacinie i po grecku składa się z czterech sylab, przy tém końcowe a stanowi oddzielną sylabę i zachowuje swą twardość, gdyż to w językach klasycznych jest możliwem: *I-da-li-a*. W polskiej jednak mowie po samogłosce *i* (jeżeli nie jest ono prostym znakiem zmiękczenia spółgłoski jak w *Mania*, *ciocia* i t. d.) twarde *a* stać nie może, wtrącamy więc jotę (przydech miękczący) i wymawiamy *I-da-li-ja*, ale z akcentem na trzeciej sylabie od końca (jak w łacinie); przy tém wymagania głosowni polskiej zmuszają niekiedy do używania zamiast *i* zastępczego *y* (*A-zy-ja*, *ra-cy-ja* i t. d.) Taka więc pisownia byłaby istotnie najwłaściwszą, a jeżeli dziś jeszcze piszemy *Idalia*, *Azya*, *racya* i t. d., czynimy to dla tego, że za czasów Towarzystwa Przyjaciół nauk w Warszawie, którego uchwała stała się powszechnie obowiązującą, *j* nie była jeszcze używaną przez wszystkich; nie przeszkadza to nam jednak zachowywać jej w wymawianiu, bo przecie i p. Dygasiński wypowiedział przytoczone przez nas powyżej, a słuszne zdanie, że pisownia nie wpływa (bezwzględnie) na wymawianie. Oto cała „kwestya“. Że zaś przed *ja* nie można wyrzucać całkiem *z* lub *y*, o tém, oprócz powyższych wyników porównania z oryginalnem brzmieniem łacińskiem i greckim, świadczy jeszcze choćby ta okoliczność, że lud wymawia te wyrazy z szczeropolskim akcentem na zgłosce przedostatniej: *Maryja*, *kolacyja* i t. d. co nie byłoby zgola nawet możliwem w wymyślonych pod wpływem obcym i z połączniem całej jednej sylaby dziwolągach ortograficznych Kuryerów: *Marja*, *kolucja* i t. d. Te ostatnie słusznie też i p. Bem potępia, nazywając taką pisownię „ważnem kalectwem pod względem etymologicznym

i głosowym“¹⁾, (str. 60), ale... nieco później, jako jeden z trzech autorów „Referatu“ w sprawie pisowni, zaleca właśnie taką ortografią (Przegląd Pedagog. 1890 Nr. 1 i 2). Czyż prawda naukowa i słuszność mają się zmieniać, stosownie do zmiennego widziemi się tego lub owego z piszących?

Nakoniec i w wysłowieniu autora znajdujemy niektóre usterki. Tak np. nietylko zgodnie z zalecaniami przez siebie błędnymi zasadami, o których wspomniałem, sam pisze *harmoniję* (str. 1), *Anglije* (str. 3), „jedną głoskę“ (str. 1), ale mówi także książkę, *jaką* mam (str. VII, zam. *którą*), „alfabet *jakiego* używamy“ (str. 1, zam. *którego*); używa formy trywialnej *Warszawiak* (str. VI, zam. *Warszawianin*) i kilku wyrazów nie polskich jak *tuziemiec* (str. I), język staro *bułgarski* (str. 3), oraz pewnej ilości nowo tworów, do których, oprócz wymienionych powyżej z terminologii autora, wypada zaliczyć także wyrażenie „język *ogólnopolski*“ (str. 1 i inne).

Trzecim z kolei podręcznikiem jest stylistyka p. Korotyńskiego.

„*Grammatica est ars bene loquendi et recte scribendi*“ głosi określenie odwieczne. Wszelako już w czasach starożytnych powstała nauka wystowienia ozdobniejszego, krasomówczego, do użytku rektorów, nazwana ztąd retoryką. Z biegiem wieków, rozwój krasomówstwa w praktyce bogacił jego teorią: oprócz więc wskazówek stylowych, do retoryki weszły rozmaite przepisy postaci, figur i ozdób sztucznych, których głośniejsi mówcy używali, a które następnie podane zostały za wzór do naśladowania. Za tęp poszło także krytyczne rozpatrywanie zabytków prozy i poezyi, wykazanie ich cech, rozgatuńkowanie utworów: z retoryki ogólnej wyrosły tak nazwane później teoria prozy i poetyka. W czasach nowszych te dwie ostatnie jedynie części retoryki zachowały swą wartość, z charakterem przeważnie sprawozdawczym, krytycznym, w połączeniu teoryi z żywiołem historycznym, jako wstęp do historii literatury; co się

1) Oprócz tego, że formy *Marja*, *opinja* i t. d., 1) są okaleczeniem form źródłowych przez gwałtowne zatarcie całej sylaby (*Marya* powinna zawierać trzy sylaby, *opinia*—4 i t. d.); 2) zostają w sprzeczności z zasadami głosowni polskiej, gdyż w języku naszym niemożliwe są brzmienia *rja*, *rje*, *nja*, *nje* i t. d., (te ostatnie należałoby pisać chyba *nja*, *nje*, a i wtedy byłyby również niemożliwemi); nadto 3) błędnie sądzą niektórzy, jakoby w wymawianiu potocznym słyhać było *Marja*, *Azja* i t. d., bo nikt tak nie wymawia, lecz mówią wszyscy *Maryja* i t. d., z akcentem na 3 zgłosco od końca, tak, że sylaba przedostatnia, chociaż bez nacisku, zachowują się jednak w wymawianiu, czego zwolennicy owych dziwolągów ortograficznych wcale nie pojmują. Co do kwestyi fonetycznej, autorowie wzmiankowanego „Referatu“ powołują się na wyrazy złożone oraz zbieg spółgłosek w dwu wyrazach—poprzedzającym i następującym; ale wiadomo, że takie połączenia przypadkowo we wszystkich językach (nawet w greckim) bywają niezgodne z głosownią i gdybyśmy chcieli na zasadzie np. takiego zbiegu spółgłosek jak w *podstawie*, *jak brat*, *zaraz fuknie* i t. d. uprawniać połączenia *dst*, *kbr*, *zf*, w jednolitych formach wyrazów, obalilibyśmy całą fonetykę polską. (P. A.)

zaś tyczy nauki ozdobnego wysłowienia, gwoli tradycyi pozostała wprawdzie tak zwana nauka stylu, składająca się ze szczupłej wiązanki określeń stylu prostego, średniego i górnego, z garstki wskazówek, dotyczących się czystości, jasności, harmonii wysłowienia i t. d. wreszcie z części wypisowej, podającej przykłady i wzory do naśladowania; ale coraz bardziej utrwala się to słuszne przekonanie, że przyswojenie tych teoretycznych przepisów nie zdoła wykształcić wybitnych mówców oraz pisarzy wytwornych, pod względem stylu wzorowych, gdyż do tego potrzeba uzdolnienia z natury czyli talentu lub geniuszu; którego w szkole ani z książek nabyć niepodobna ¹⁾).

Położono więc w praktyce pedagogicznej większy nacisk na to, co przy pomocy dobrych podręczników i zdolnych nauczycieli może być osiągnięte, to jest na wysłowienie porządne i poprawne. Wypadło tedy wrócić do przytoczonej na początku definicyi starożytniej, a za tém poszła konieczność nadania gramatyce takiego kształtu, aby przestała być zbiorem formułek teoretycznych, lecz żeby uczyła istotnie mówić i pisać poprawnie. Zgodnie więc z wymaganiami zrodzonej i wypróbowanej w praktyce metody analitycznej, stosowanej do nauki języków żyjących, a zwłaszcza ojczystego, główną częścią składową dobrej gramatyki stały się przykłady, wzory i ćwiczenia, do ustnego i piśmiennego użytku zastosowane. Tak więc stylistyka elementarna i prawie jedyna możliwa, została nieodłącznym żywiołem gramatyki, a jeżeli niektórzy, jak np. u nas A. Jeske przed 15 laty, odłączyli od gramatyki stylistykę dla dzieci, odłączenie to było bardziej zewnętrzne niż istotne, gdyż Stylistyka dla dzieci tego autora powołuje się wciąż na gramatykę, jest jej koniecznym uzupełnieniem i nawet byłoby daleko właściwiej, gdyby stanowiła z nią razem jedną całość, gdyby zarazem uwzględniała nie tylko wysłowienie na piśmie, ale zawierała pokaźniejszą ilość materiału do praktycznego nauczania gramatyki, na wzór rozmaitych „kluczów“ do gramatyk języków obcych. Ze nie tylko poprawne mówienie, ale także i poprawne pisanie stanowi cel nauki gramatyki, wynika to już z przyjętego w nowszej praktyce pedagogicznej połączenia z czytaniem nauki pisania w znaczeniu mechanicznym, jako kunsztu; a więc na dalszym szczeblu nauka poprawnego wyrażania się ustnie może i powinna być połączona z nauką poprawnego wysłowienia się na piśmie. Tak więc np. gramatyka języka polskiego powinna nie tylko uczyć „jak mówić po polsku“, ale także — „jak pisać po polsku“, to jest ma być połączona w jedną całość organiczną ze stylistyką elementarną.

Na zasadach powyższych mogliśmy się spodziewać, że Stylistyka p. Korotyńskiego, oderwana od gramatyki podobnie jak Stylistyka Jeskego, będzie jednak czemś w rodzaju tej ostatniej, może lepszym i doskonalszym, służąc zarazem jako uzupełnienie i „klucz“ do gramatyki p. Bema, pozbawionej, jak to już widzieliśmy, materiału

¹⁾ Najlepszą szkołą pięknego stylu pozostanie w każdym razie głośne czytanie dzieł, napisanych wzorową polszczyzną. (Przyp. Red.)

praktycznego, któryby czynił zadość wymaganiom najnowszej pedagogiki. Przejrzawszy jednak pracę pana K., widzimy, że oczekiwanie nasze było płonne: autor nie uzupełnił, nie poratował i nie podźwignął gramatyki p. Bema; utwór jego nie zawiera w sobie materiału praktycznego do ćwiczeń, nie może być nawet uważany za podręcznik pedagogiczny, lecz raczej za naśladowanie dawnych retoryk, w połączeniu z teorią prozy i poetyką oraz z obfitą częścią wypisową—przykładami figur retorycznych i próbkami stylu rozmaitych pisarzy. Autor ludzi się nadzieja, że nauczy „pisać pięknie“, gdyż, jak powiada, sprzecznie z wypowiedzianymi przez nas powyżej zasadami, „mówić lub pisać (raczej: i pisać) poprawnie jest obowiązkiem; mówić lub pisać pięknie — zaletą. Poprawności uczy gramatyka. piękności—stylistyka“ (str. 5). Przeciwno temu określeniu, oprócz uwag powyżej wypowiedzianych, można jeszcze nadmienić, że granica pomiędzy pisaniem pięknym a poprawnym niełatwą jest do wytknięcia, niekiedy nawet niemożliwą: wiadomo przecież, że częstokroć prostota jest zarazem rzetelnym pięknym, jak np. u Homera lub w Panu Tadeuszu; z drugiej zaś strony, nie tylko u pisarzy małego talentu, którzy usiłują błyszcząc świecidłami retorycznymi oraz kunsztowną a wymuszoną manierą, ale nawet u takich mistrzów jak np. Kremer, Słowacki i Krasiński, wytworność i ozdobność nieraz przechodzą w napuszonosc. Do tego, azali *czystosc* wystowienia, o której autor mówi najpierw, jako o warunku *pięknego* stylu, nie należy także do wymagań *poprawności*?

Zresztą, sam pan K. słusznie powiada, że „nie stylistyka *robi* (tworzy) mistrzów słowa“, że uzdolnieni z natury pisarze „nie pamiętają o przepisach stylistycznych“ (str. 92); ale gdyby nawet tak nie było, nikt z dziełka niniejszego nie nauczy się „pięknie pisać“ ani też w ogóle „jak pisać po polsku“. Dydaktyczne bowiem wskazówki autora, jeśli je takimi nazwać można, są niezmiernie skąpe i osobliwsze. Najważniejsze prawidło brzmi tak: „*umieć wyrazić*, co myślisz i czujesz, a myśl zdrowo i czuj szlachetnie, formy same się znajdą“ (str. 92). Tak więc ktoś, poszukujący w stylistyce pana K. wskazówek, jaką drogą może nauczyć się dobrze (pięknie, czy choćby poprawnie) pisać po polsku, znajduje radę: „*umieć pisać*“! Zaprawdę krótko i prosto. Tak samo na pytanie: co mam czynić, aby nauczyć się pływać? Odpowiedź brzmić będzie: *umieć pływać*... Co się tyczy „zdrowego myślenia i szlachetnych uczuć“ te nie uczyniły wielkimi stylistami np. Kanta lub naszego Lelewela; z drugiej strony, czy mało było i jest sofistów, którym na powyższych przymiotach zbywa, a jednak niepodobna im odmówić wymowy świetnej i błyskotliwej?

Z wybitniejszych mamy tu jeszcze wskazówkę, polecającą *uczyć się na pamięć* podanych przykładów figur retorycznych (tamże na str. 92), a należy wiedzieć, że te przykłady zajmują niemniej jak 58 stronic (od 33 do 90). Wykaz tych figur, podany wzorem retoryk scholastycznych, prawda że, jak mówi sam autor, pozbawiony jest

wszelkiej klasyfikacji (str. 32), ale nie „unika bynajmniej nazw greckich i łacińskich“ lecz podaje je stale, czasem nawet same, bez polskich (hyperbola, alegorya). Pomija przytém najprostsza *metaforę* (przenośnię); ale za to mamy tu takie postaci jak: *proroctwo*, *przekleństwo*, *blaganie*, *widzenie*, *zwierzenie*; możnaby w takim razie dodać jeszcze chyba takie „figury“ jak np. *podziękowanie*, *wyrażenie nadziei*, *gniewu*, *niechęci* i t. d. do nieskończoności.

Ażeby już skończyć z wypisową częścią książki pana K., to jest z tém. co jest w niej cudzego, dodam, że oprócz 58 stronic figur retorycznych, mamy tu jeszcze 33 stronicie (od 93 do 125) wzorów stylu w dłuższych ustępach, pomiędzy którymi znajduje się ustęp z Psalmodyi Kochowskiego (str. 97—101), który poczytywalibyśmy raczej za próbkę stylu napuszonego, oraz wyjątki z niektórych pisarzy, których sam tylko pan K. za znakomitych uważa. Zresztą i to, co mówi autor o rodzajach stylu (str. 126 i nast.) gęsto przeplatane jest wyjątkami.

W pozostałej części książki znajdujemy zwyczajne wiadomości z retoryki, teorii prozy i poetyki, nie przedstawiające nic wybitnego, coby usprawiedliwiało potrzebę tej Stylistyki, ale pełne braków i błędów. Tak np., skoro już autor nie pogardził figurami retorycznymi, to z niemniejszym uzasadnieniem należało wprowadzić do stylistyki elementarny wykład zasadniczych podstaw logiki, a mianowicie rzecz o pojęciach, sądach i wnioskach, jak to bywało w dawnych retorykach, a jest nawet istotnie potrzebnem w czasach dzisiejszych, gdy piszący tyle grzeszą niejasnością pojęć, bezzasadnością sądów oraz fałszywem rozumowaniem. Ze względu zaś, że pisarze nasi, dawniejsi oraz obecni, naśladową częstokroć utwory obce nie tylko pod względem treści, ale i formy, i że w ogóle formy utworów prozaicznych i poetyckich nie zostały przez pisarzy polskich wynalezione, lecz są wytworem obcym, wypadało więc przy każdym gatunku i rodzaju wymienić odpowiednio dzieła nietylko swojskie, ale także najznakomitsze obce, jak to czynią zwykle autorowie teorii prozy i poetyki.

W rozdziale p. n. „Styl literacki“ (str. 144 i nast.) znajdujemy charakterystykę stylu pisarzy polskich — 5 prozaików i 6 poetów: prozacy, z wyjątkiem Lelewela, wszystko dawniejsi, poeci — nowsi. Kto chciałby dowiedzieć się czegoś o stylu Kraszewskiego, Kaczkowskiego, Kremera, Libelta, Trentowskiego, Zmichowskiej i tylu innych autorów znakomitych, nie znajdzie tu żadnej o nich wzmianki.

Przysłowia — zabytki odwiecznej literatury ustnej albo też utrwalone w tradycyi trafne sentencye i aluzye historyczne—pan K. policzył do „rodzajów pism“ (str. 159), chociaż nie wiemy o autorach, którzyby przysłowia tworzyli—znamy tylko ich zbieraczy. ¹⁾

¹⁾ Wprawdzie mieliśmy jednego takiego autora, który tworzył przysłowia (A. Werybę-Darowskiego), ale za to właśnie nazwano go fałszerzem. (P. A.)

Powieść i romans u autora — to jedno, a „osnową powieści bywa zwykle miłość dwojga ludzi“ (str. 161). Stosuje się to do romansu, ale przecież bywają powieści, gdzie nie ma owęj miłości i te romansami nie są.

Mówiąc o *temacie*, pan K. uważa *krótkość* i *dokładność* za niezbędne jego warunki i sądzi, że np. temat *Warszawa* byłby *zbyt obszernym* (str. 181). Wszelako dozwolone są nietylko utwory *krótkie*, ale i bardzo *obszerne*, wielotomowe: mamy przecie np. dzieło *Kraszewskiego* p. t. *Wilno*. Dalej na str. 182 nasz autor pomieszał *temat* czyli *treść* z *nagłówkiem* albo *tytułem*, a przecież to nie jedno, jak np. etykieta butelki nie jest *témże*, co sama zawartość flaszki. Wiadomo zresztą, że częstokroć tytuł nie daje wyobrażenia o treści utworu, uwydatnia jedną jej stronę lub częśćkę albo nawet bywa fantastycznym (np. „*Nieboska komedia*“, „*Pot Bouille*“ *Zoli* i t. p.)

Największą dowolność, określenia i twierdzenia zbyt nieogłędne, brak ścisłości oraz wykroczenia przeciwko faktom w języku ustalonym i przeciwko logice znajdujemy zaraz na pierwszych kartach *Stylistyki*. Tak pomiędzy przykładami „*złych wyrażeń*“ (str. 6—7) znajdujemy wyrażenia wcale dobre, ustalone w używaniu przez najlepszych pisarzy jak: *nie jestem w stanie, słyszę że chcesz odjechać*. W wyrażeniu: „*lepszy rydz jak nic*“ zapewne lepiej powiedzieć *niż*, ale to przysłowie odwieczne, w tej formie już utrwalone. Gani też autor wyrażenie: *nie potrzebuję twojej pracy*, a natomiast każe mówić: *obejdę się bez ciebie*, chociaż znaczenie tego ostatniego frazesu, ściągającego się do samej osoby, może być całkiem odmienne, zastosowane nie do pracownika, ale także do towarzysza, współnika, spółbiesiadnika i t. d. Podobnie *błędne*, według p. K. wyrażenie *musicie go skarcić* nie jest to samo, co zalecane natomiast *powinniście go skarcić*, gdyż *mus* — jest to konieczność nieodzowna, której uniknąć niepodobna, od *powinności* zaś można się uchylić. Wyrażenia: *mniemałem go zasmucić; mniemam to być niesprawiedliwością* i t. p. są to wprawdzie naśladowania lacińskiego *accusat. cum infinitivo*, których dziś polecać niepodobna, ale znajdujemy je u wszystkich najcenniejszych pisarzy XVI wieku.

Na str. 8 — 11 znajduje się wykaz wyrazów obcych, które zdaniem pana K. są *zbyteczne*. Sam jednak powiada poniżej, że „*nie należy obcych wyrazów unikać, skoro do skarbnicy mowy ojczystej weszły i znajdują się w powszechném użyciu*“ (str. 12). Czy może zaś istnieć wątpliwość, że do języka weszły i powszechnie są używane takie potępione przez autora wyrazy jak *abdykacya administracya, antyk, arenda, bagatela, deseń, emigracya, fant, forteca, garderoba, honor, infamis, kompania, kwestya, kuracya, ładunek, metal, nominacya, prasa, rygiel, salon, sekret, sympatya?* Znalazł się więc pan K. sam w sprzeczności z własnymi zachciankami wygórowanego puryzmu. Zresztą wyrazy swojskie, któremi rzekomo należy zastępować owe cudzoziemskie, podane są częstokroć niedokładnie lub błędnie. Tak np. *atak* znaczy nietylko *natarcie*, ale także *napad* (choro-

by); *kwestya*—to nietylko *sprawa, rzecz*, ale także *pytanie, zadanie, zagadnienie*; *prasa* nietylko — *dziennikarstwo*, bo przecie jest prasa drukarska i prasa do tłoczenia winogron, *ambicya* nie jest to samo co *duma*, gdyż *duma* oznacza tylko wysokie rozumienie o własnej wartości, *ambicya* zaś jest to dobijanie się pochwałą, pragnienie zaszczytów, połączone z obawą upośledzenia lub nagany; *grymasić* i *dziwaczyć* to także nie jedno, gdyż pierwsze=*kapryścić*, dziwactwa zaś można wyprawiać nie kaprysząc; wyrazu *metoda*, w znaczeniu naukowym, niepodobna zastąpić swojskim *sposób*, a żądać, aby zamiast *garderoba, garniować* i *infamis* mówiono dziś: *szatnia, bramować* i *bezecnik* znaczy to wskrzeszać niezrozumiałe dziś dla ogółu archaizmy.

Neologizmów autor przytacza zaledwie kilka (str. 12), prowincjonalizmów—kilkanaście (str. 14). Tych ostatnich wystrzegać się radzi; „chyba że chcemy nadać opowiadaniu *zabarwienie ludowe*“; wypadaloby raczej powiedzieć „koloryt miejscowy“, gdyż prowincjonalizmy nie zawsze są to wyrażenia ludowe jak np. najpokaźniejsza grupa tak zwanych prowincjonalizmów litewskich, które już dla tego nie mogą być uważane za wyrażenia ludowe, że w taintych stronach mową ludu nie jest polska, lecz białoruska lub żmujdzka. Na str. 32 pan K. dozwala używać prowincjonalizmów: a mianowicie tych, które zostały wprowadzone przez Mickiewicza, Zaleskiego i „*innych* (?) pisarzy wzorowych“, do których zaliczył A. Szymańskiego, autora „*Srula z Lubartowa*“!

Zestawienie kilku synonimów (str. 18) jest po większej części błędne bo np. *zajęcie, przemysł, fach*, nie znaczą to samo, co *praca, robota*; *ułaskawić* (darować karę) co innego niż *przebaczyć* (winę); *oręż* nie jest synonimem wyrazów *szabla, pałasz* i t. d. (pomimo że się mówi *dobyć oręża*), ponieważ *orężem* jest także lanca, topór i t. d.; *wieść, powieść, bajka, plotka* nie są bynajmniej synonimami; *uszlachcić* znaczy nadać godność szlachecką, *uszlachetnić* zaś—*ulepszyć*.

Wykaz homonimów—wyrazów, mających po kilka znaczeń, jest całkiem zbyteczny w stylistyce, bo gdy np. mówię lub piszę: „*woźnica siedzi na koźle*“, nie potrzebuję wcale rachować się z innymi znaczeniami wyrazu *koźle*, które bynajmniej na wybór tego wyrazu nie wpływają: to raczej słuchacz lub czytelnik nie powinien być tak naiwnym, aby mniemać, że furman siedzi na brodatém zwierzęciu lub musi ze związku dopatrzeć się należytego znaczenia tego wyrazu.

Do najbardziej zadziwiających należy ustęp na str. 28 — 30, gdzie mowa o wyrazach *gminnych, pospolitych, oklepanych*, których „*wystrzegać się należy*“. Znajdujemy tu bowiem takie wyrazy jak *ojciec, matka, kościół, mowa* (wyraz przez samego pana K. na tej samej stronie użyty kilkakrotnie), *odzież, zamiar, ciemność, pewny, Bóg, śmierć, schronienie, kwiat, przyjaciel, zepsuty* i t. d. Według naszego mniemania, w całym tym wykazie nie masz ani jednego wyrazu istotnie gminnego i pospolitego (byłyby takimi np. *kiep, kiepski, łapać, chłapnąć, gadać, grzmocić, łajdak* i t. p.) Tak tedy odtąd nie godzi się mówić i pisać *ojciec, matka*, ale *rodzic* i *rodzicielka*; zamiast

Bóg należy mówić *Stwórca*; nie *kościół*, jeno *świątynia*; nie *jedzenie*, ale *jadło*, *strawa* (bodaj że to ostatnie jest raczej gminne); niewolno używać wyrazu *mowa* lecz *wysłowienie*; *przyjaciel* ma być *poufalcem*, a *schronienie* — *ostoją* (te dwa są to archaizmy, dziś niezrozumiałe) i t. d. Do archaizmów pan K. czuje pewną słabość (przepraszam, *niemoc* według wskazówki na str. 21), bo chociaż potępił je na str. 15, ale na str. 30 utrzymuje, że „archaizmy wielce przyczyniają się do szlachetności stylu, byleby właściwie użyte i łatwo zrozumiałe“. Jest to przepis retoryki scholastycznej, stosowany zwykle do tak zwanego stylu górnego w czasach, gdy górność utworu polegała na tém, aby jak najmniej ludzi zdołało go zrozumieć. Polecane zaś przez autora i powyżej i na tém miejscu archaizmy nie są bynajmniej łatwo zrozumiałe jak np. wyrazy *rozciecz*, *wiotchy*, *dmąc*, *wielozłytny*, *dużać się*, *rumy*, *odwieczerze* i t. d., znane zaledwie badaczom, czytającym w dziełach pisarzy XVI w.

Posłuszni wskazówkom pana K. (str. 29 —31), spróbujmy ułożyć „pięknym stylem“ taki np. ustęp.

„O czém wysłowienie? O naszym wiotchym rodzicu, który mając niemoc do przechadzki i pięknych widoków, poszedł ufego odwieczerza do lasu, ale nie mogąc, z powodu rozcieczy, trafić na skazony mostek, znalazł ostoję u swego poufalca“. Czy to pięknie — nie wiem, ale czy zrozumiałe?

Na zakończenie wspomnę, że styl samego autora pozostawia wiele do życzenia: nietylko bowiem, że nie zawsze jest piękny, ale bywa częstokroć zawiłym, niekiedy nawet niepoprawnym. Oto próbki. „Dobierając wyrażenia *przebrańsze* i wyszukane“ (str. 28, słowo *dobierać* wymaga przypadku 2-go); „wyrazów *dających się* zastąpić“ (tamże); *zastanawiające* ozdoby językowe wynikają ze związku lub przeciwieństwa zrodzonych w umyśle wyobrażeń“ (? str. 92). Szczególniej ulubiony autorowi jest wyraz *wniknięcie* (rusycyzm): „*wniknięcie* w ducha mowy można zdobyć“ (str. 5); *wniknięcie* w przedmiot, *wniknięcie* w przykłady (str. 92). A jednak już choćby z przytoczonych na str. 159 słów M. Wiszniewskiego autor mógł się dowiedzieć, że zamiast tak rozpowszechnionego dziś błędnego *wnikać* po polsku mówi się: *zglębiać*, *zagłębiać się*, *siegać w głąb* i t. p.

Na str. 64 zam. *congesies* ma być *congeries*, a na str. 92 w wyrażeniu: „mowa ludzka... w ścisłe karby ująć się *daje*“ powinno być, oczywiście, *nie daje*.

L. W. Szczerbowicz.

Marya Rodziowiczówna. *Ona. Warszawa 1890.

Kiedym jako członek komitetu konkursowego, czytał w rękopismie „Straszne Dziadunia“, uderzył mnie w tój powieści świeży powiew, zapach oryginalności, a między innymi ton realistyczny całości. Dla tych przymiotów i scen, wykazujących obserwacyą bar-

dzo bliską, społeczną, powieści, pomimo pewnych słabości technicznych, podobała się ogólnie i otrzymała premium, jeszcze przed „Dewajtysem“. Ileż to we mnie nadziei obudziło to młode pióro, które jakby od niechcenia, czasami łamanym językiem, kreśliło „Strasznego Dziadunia“! Autorka nie wiedziała nawet jak gorliwego miała we mnie sprawy swój orędownika. Prasa tak rozkrzyczała jej następnego „Dewajtysa“, i na takim piedestale postawiła jego autorkę, że potem nic nie pozostawało tylko ją zeń powoli strącać. Nie przyjmowałem udziału w tym koncercie uwielbień, tak jak i do rozczarowania ręki nie przykładałem, ażem się strasznych rzeczy dowiedział o „Onęj“. A no trzebaż ją poznać nie tylko z reputacji.

„Ona“ jest to młoda ośmnastoletnia sierota szlachecka, wysługująca się zamożnym krewnym za przytułek od doby niemowlęcej i za wychowanie. Kopciuszek domowy, z wdzięcznością przyjmuje stanowisko starszej klucznicy u ciotki, prawie garderobianych swych sióstr ciotecznych; poprzestaje na kawałku chleba przy stole rodzinnym, na lichej odzieży, na izdebce poddasznej, i zapracowując się od świtu do zmroku, ręce za to całuje swych dobroczyńców, na których skinienie rzuciłby się w ogień. Ciotka obchodzi się z nią zimno, spoglądając na nią ze swój wysokości względnie jak na pojętne i wierne bydło robocze, pracy jej zgoła nie oceniając; kuzynki ją traktują z góry. Coś cieplejszego przeziiera z obójścia się wujaszka, ale ta jego przychylność ma bardzo krótkie granice; cechuje się pogłaskaniem po twarzy, kupieniem w prezencie sztuczki flaneli na zimę, wysłaniem czasem w święto bryczką na nabożeństwo do sąsiedniej parafii, i tym podobnemi wspaniałomyślnościami. I kuzynki nie są od tego: i one się niekiedy poczuwają do okazania siostrzanego serca podarowaniem już to zużytego przez się łachmanka, już to pięknego pudełka od cukierków, lub podobną temu ofiarą, złożoną na ołtarzu solidarności rodzinnej. I dziewczyna czuje się nie tylko zadowoloną, ale szczęśliwą temi objawami tkliwości. O zbliżeniu i porównaniu nie ma i mowy. Przyjąć w dom, wychować, dać jaką taką edukacją i obrócić na dworską ochmistrzynię ubogą krewną, — czyż to nie dosyć ze strony bogatych? Wziąwszy pod dobrą kredkę, to nawet dobrodziejstwo, za które zmarli rodzice sieroty powinni ich błogosławić w niebie, o ile są jego stałymi lokatorami. Tym sposobem, zadowolniejszy potrzeby ciała Kostusi, za zbytekby uważali sięgać do potrzeb jej duszy. Jeden tylko Kazio, rówieśnik jej, spoglądał na nią inaczej. Dziewczyna ładna i hoża, przytem sprytna i z główką otwartą; chłopiec serdeczny i prawy, łatwo przystali do siebie współnością upodobań w pięknem i zacnem.

Nie poszła autorka starym trybem powieściowym i teatralnym, by z tego stosunku wyprowadzić romans. Przeciwnie: jakkolwiek młodym dobrze było z sobą, uczucie ich nad braterskie przywiązanie dalej się nie posunęło. Wprawdzie Kazimierz, obecnie kończący już studia lekarskie, w yniesieniu czułości dla opuszczonej coś napo-

myka o małżeństwie, ale szlachetna dziewica, znając dobrze swe w rodzinie położenie odpowiada mu:—„Nie: bobym wujostwu była jak ta gadzina, którą człowiek w zanadru odegrał sobie na zatracenie... Ty sobie pan jesteś dla jakiej pani, a ja sierota dla sieroty“. — Są dziewczęta, któreby się zdragały przez kokieterią i—odmawiając nęciły. Ale Kostusia powiedziała to szczerze, bez myśli ukrytej, bo nawet zbytecznie nadskakującemu kuzynkowi dała stanowczą odprawę, która jednak dobrego stosunku między niemi nie nadwreżyła; musiała tylko powstrzymać owe słodkie i poufne wymiany serdeczności, które w dorosłym wieku obojga i po takiej rozmowie straciłyby pierwotną swobodę i naiwność. Jakkolwiek bądź, oprócz pobudki jasno wyrażonej przez Kostusię, w tém przerwaniu romansu jest i domyślna przyczyna naturalna. W Kazimierzu widać raczej moc nawyknienia do kuzynki, przywiązanie obiektywne raczej niż popęd wewnętrzny, nieprzełamany: inaczéj bowiem żadne odmowy, ani żadne względy familijne nie powstrzymałyby go w chęci posiadania przedmiotu, którego brak zaćmiłby mu życie: dla tego to tak mało go kosztuje odstąpienie przed pierwszą przeszkodą, która w sercu jego pozostawia tylko lekki rankor, nie tamujący przyjaźni o jakiej kuzynkę zapewnia. Z drugiej strony i Kostusię niewiele kosztuje jéj stanowczość: dusza bratnia i bezinteresowna nie cierpi nad tém postanowieniem; godzina jéj nie wybiła jeszcze, ale wybić ma wkrótce.

Zjawia się we dworze Odochowskich kawaler, Sewer Stamirowski, młodzieniec energiczny, gwałtowny, z temperamentem awanturniczym, dzięki któremu wydano go ze szkół a następnie z wojska, dumny,—typ piękności męskiej. Znajduje się on w położeniu majątkowo zawikłaném, a to z powodu testamentowego rozporządzenia matki, która sąsiednie dobra Stamirowo zapisała na własność drugiemu mężowi, z pewną na rzecz Sewera służebnością, której mu niegodziwy ojczym ciągle urywa, i intrygami doprowadza do rozpacz, tak że z tego stosunku wyrodzić się musi albo proces skandaliczny, albo jakiś krok gwałtowny. Zła sprawa i sława ojczyma budzi w sąsiadach nadzieję, że Sewer kiedyś wypłynie na czyste pole majątkowe przez jakieś układy, i dla tego Odochowscy chętnie mu dom otworzyli ze względu na starszą córkę Felunię, która się też stosownie nastraja. Sewer przyjeżdża wciąż ze Stamirowa, ale się nie oświadcza, czém ją i rodziców zniercierpliwia, a tymczasem po pierwszym spotkaniu się z Kostusią, które nie odbyło się bez lekkiego, zobopólnego wrażenia, nieznanie zerkła wciąż w stronę kopciuszka. Przypadek, na który snadź dawno czychał Sewer, dostarcza im dłuższego sam na sam, w zaroślach malin, i wtedy otwierają się dusze obojga. Pięknym jest ten Sewer, wbrew oczekującej go karyerze, podający rękę sierocie na życie i śmierć, z takim przekonaniem z taką siłą, która odrazu przykuła doń istotę poszukującą takiego właśnie uczucia, jak roślina o potężnych sokach poszukuje promie-

nia słońca. Odtąd następuje zmiana w całym jestestwie dziewicy: dusza jej zyskała cel ziemskiego bytu, umysł zajęcie. Sewer stanie jej za wszystko, za wszystkich: on odrazu wszedł we wszystkie jej sprawy, przygarnął jak swoje własne. Chodzi z nią do lepianki jej stariej mamki na końcu wsi, — to ich salon konwersacyjny; towarzyszy na grób matki, — to świątynia ich marzeń.

Ale szczęście dwojga sierot nie mogło zostać tajemnicą, którą i dwór i folwark wytłumaczyły sobie niekorzystnie. Przychodzi do wyjaśnień i rozpraw drażliwych, po których Kostusia zapada w chorobę tamującą jej możliwość widywania się z Sewerem, a przyjsciu jej do zdrowia towarzyszy cios straszliwy. Po gwałtownej scenie wzajemnych obelg słownych i czynnych, ojczym każe wiązać pasierba pod pozorem szалу, zamknąć w lamusie o chlebie i wodzie, gdzie krewki ten młodzieniec rzeczywiście wpada w obłąkanie. Po miesiącu dopiero takiego traktowania, udało się bohaterskiej dziewicy, przy pomocy mamki, wykraść go z lamusa, lecz w stanie zupełnego idiotyzmu. Tu dopiero rozpoczyna się jej męczeńska odyseja, w obec której bledną wszystkie niedole ludzkości, wszystkie bohaterstwa świata. Kochać i patrzeć co dzień, co minuta, na mękę swego kochania bez nadziei ratunku; co chwila lękać się o jego wolność lub życie, karmić się krwią własnego serca, żyć tylko ofiarą własną; do tego, upadać pod ciężarem trudów i walki z żywiołami; — oto przebieg tej wędrówki, jaką po opuszczeniu zimnego dla siebie dworu, odbywa Kostusia z Sewerem i wierną zawsze mamką. Zrazu chodziło o udaremnienie poszukiwań ze strony ojczyma; dalej o znalezienie jakiegoś przytułku i możliwości życia, bo słabe, kilkunastorublowe środki wyczerpały się prędko i nędza bezmierna jednocześnie ze srogą zimą wyszczerzyła okrutne zęby. Przytułek? Gdzie go znaleźć w takiej kompanii? Najdroższy skarb jej serca, to w obec ludzi jej kompromitacya, szyderstwo, zniewaga: materyalnie, to jej zawada i ciężar. A *ona* odstąpić go nie może ani na sekundę, bo zaraz z niepokojem, grożącym burzą pyta się: „gdzie *ona*?“ chociaż jej nie poznaje, nie rozumie.

I niewiedzieć kiedy byłby koniec tej mordeczjej wędrówce, gdyby nie przypadek: Ze wsi do wsi, z karczmy do karczmy błędząc, ostatkiem sił i odzieży goniąc, z mrozem, wichrem i głodem walcząc, przybywa Kostusia ze swym orszakiem, w wigilią Bożego Narodzenia, do dworu w Pińszczyźnie. Strach pomyśleć, jak dziewczę to wyglądało, stanawszy z prośbą o pomoc w przedsionku dworskim. Jakież to ciężka jej legitymacya: kto, co, z kądem?... Mimo wszelkich trudności, uczucie chrześcijańskie dobrych państwa przemogło. Serce, którego prawdziwy stan udało się Kostusi przed państwem ukryć; otrzymuje posadę strażnika leśnego nad rzeką, śród bagnisk. Był to prawdziwy raj po piekle, jakie przebyli. Dach nad głową, ordynarya, zapłata: wszystko, to prawda, lichę, ale w tym położeniu zba-

wienne. Tylko, czy długo to będzie trwało, bo przecież dobrodziejstwa te nie płyną darmo? Owoż, z bohaterstwem bezprzykładnym Kostusia łączy bezprzykładny spryt Robinsona. Jak przedtem u wujostwa była nieporównaną ochmistrzynią, tak teraz w Temrze, staje się dzielnym gajowym: obchodzi las dokoła, przestrzega od szkody, tropi zwierzynę, wysledza gniazda ptasie i rezydencye bobrów, zna wszystkie szczegóły leśne, wiosłuje po rzece jak przewoźnik, zawsze w towarzystwie Sewera, który patrzy na to wszystko bezmyślnie i przez czas pewien uchodzi za sprawcę wszystkich tych porządków. Ale czy nadługo komedia ta wystarczy, — tembardziej, że państwo zadowoleni z cichéj i ucziwéj przy strażniczéj, domagają się od Kostusi, dla saméj moralności, zawarcia ślubu. Letnią porą przybywa syn ich, Michał, lekarz z powołania, zwolennik myśliwstwa, — i wtedy dopiero nastąpić musi rozwiązanie. Pomimo całego mydlenia oczu, lekarz poznał w rzekomym strzelcu idiotę a w młodéj wioślarce osobę innéj sfery i wychowania; domyślił się tajemnicy, i po serdeczném zachęcie dowiedział się jéj ze wszystkimi szczegółami. Przybycie Kazimierza Odachowskiego w odwiedziny do kolegi dopełniło reszty: Kostusia stanęła przed oczyma wszystkich w opromienieniu ofiary. Ale to niedosyć. Lekarze postanowili zaryzykować z chorym wielką stawkę; zwycięstwo albo śmierć. Biedna dziewczica, dawszy sobie wytłómaczyć, że nie ma innego wyjścia, a przewlekanie takiego położenia jest ze wszech miar niemożliwém, zgodziła się na eksperyment, który Michał podjął się prowadzić z narażeniem osoby własnéj, — i z bijącym sercem, cała we łzach i modłach, oczekiwała skutku. Nadszedł, lecz niepożądany. — Sewer odszedł, pozostawiając tylko za sobą nietłumiony dla jéj serca głos: — „gdzie ona, gdzie ona“? Dobrzy ludzie otworzyli jéj dom i serca, ale czy nadługo autorka nie domawia.

Jżeliśmy z góry zacytowali „Straszego dziadunia“, który w osobie bohatera był nieco ekscentryczny, ale w szczegółach życiowych realny i zgoła nowoczesny, — to mieliśmy na myśli porównanie z powieścią cbebną, stanowiącą niejako odwrotność tamtéj. Tu bohaterka nie ma w swéj naturze ekscentryczności żadnéj, przeciwnie, to serce wierne i w miłości bohaterskie przedstawia się jakoby cecha gatunkowa płci, począwszy od Antygony, Edypowéj córki. Szczegółowe roztoczenie idei autorki, wcielonej w Kostusię, zawiera wszystkie znamiona prawdy, napotykanéj w życiu. Jest to przede wszystkim dziewczica cicha, nie dla wystawy ciesząca się posiadaniem przedmiotów wartościowych: nie paraduje uczuciem swém po stronicach książki, lecz je ukazuje tylko jako wynik naturalny przy pewnych okolicznościach naciskających. Jest ona przytém konsekwentą, do końca odpowiadającą głównemu szkicowi, zarysowanemu na początku którego główném zuamieniem — prostota, przy silném uczuciu wystąpiła w niéj silna wola, lecz i ta nigdy z drogi prostoty nie schodzi. Kostusia przedstawia się jako zbiornik ucziwych natchnień, kiero-

wanych instynktem prawości, rozumuje nie według świata, tylko według sumienia, oświeconego wiarą; chociaż tedy czyni to, co w porządku mniemań światowych wykracza poza granice, nakreślone programem opinii, nie myśli ona ani nią gardzić, ani się przeciw niej buntować, a przeto nie ma zgola charakteru emancypantki, chociaż się jawnie emancypuje. Ten rys naiwnej pierwotności, stykający się w wyniku z teorią wyrozumowaną, dodaje wdzięku temu charakterowi; taką, zdaje się byłaby Zosia Mickiewicza, gdyby się znalazła w jej położeniu. Szczególniej ujmującą i zajmującą Kostusia jest w pierwszych rozdziałach przy swém u wujaszka gospodarstwie, ze złotym humorem, z jutrzenką w duszy, z dziecięcym zadowoleniem ze wszystkiego, co ją otacza. Jest też to niemal już pełny charakter, który nawet poważnie, a nie bez naiwności zaznacza się w stosunku do Kazimierza, a następnie odbywa interesujące przesilenie i przechodzi w nową fazę przy pierwszych wyznaniach z Sewerem.

Jest to też cała jego psychologia: dalsze fakty poświęcenia, mają swą stronę plastyczną, ale nic już nowego do niej nie dodają, stanowiąc tylko jej rozwinięcie. To poświęcenie, na tle naiwności wiernego serca, wytrzymuje wszelką krytykę teoretyczną i doświadczalną. Ale inaczej ma się rzecz z faktami! Jakżeż smutno pomyśleć, że te fakty, które nieraz bolesnością swą szczerze poruszają czytelnika ze względu na bohaterkę, są w gruncie urojeniem, a gdy raz się o tęp przekonujemy, jakżeż niekorzystnie ten brak podstawy realnej wpływa na artystycznie podbudzoną czułość. Początkiem poświęcenia, aureoli bohaterki, jest zamknięcie Sewera w lochu. Nie przeczymy, że to zamknięcie, a następnie uwolnienie nastąpić mogło... i gdyby autorka mogła była taki fakt, w jego okolicznościach *pozytywnych* i bez figury ojczyma przytoczyć, cały dalszy ciąg byłby w większej części usprawiedliwiony. Wszelkie lawirowanie w rzeczach sztuki na nic się nie przyda, one wymagają plastyki wyraźnej i dobitnej, te zaś warunki wyraźne, w jakich autorka postawiła fakt, są dla patrzącego prosto dzisiaj zgola niemożliwe. Jako! żeby ktoś samowolnie dopuścił się zamknięcia kogoś w lochu o chlebie i wodzie, ze współudziałem tyłu ludzi, z wiadomością całej okolicy (wiejskie chłopaki pokazują sobie więźnia przy oknie), ustanowił dozorcę tego prywatnego więzienia, jak w zamku średniowiecznym;—i żeby przez miesiąc nikt się w to nie wdał z obawy odpowiedzialności za współwinię, z miłosierdzia lub z urzędu, ani wójt, ani ksiądz, ani nikt z parafii,—to chyba autorka nie ma nas za tak naiwnych, ażebyśmy w to uwierzyli. Trzeba było odnieść fakt przynajmniej do czasów starosty Kaniowskiego. Zle wreszcie autorka pod względem psychicznym oceniła swego podrzędnego bohatera, ojczyma Sewera. Takie lajdaki, co to *de longue main* chcą urosnąć cudzą krzywdą, nie popełniają czynów odpowiedzialnych i gwałtownych, oni idą cichaczem i legalnie, jak Milczek Fredry; to tchórze, którzy nigdy nie ryzykują więcej nad policzek, by i z niego korzyść wyciągnąć. A przecież taki gwałt

ze strony p. Rudowskiego, przy czyjéjs dobrej lub zléj woli, groził utratą całego źle nabytego mienia. Jeżeli nakoniec, mógł istnieć taki ojczym, to czyż podobna przypuścić całą okolicę równych mu niemal nikczemników, z których to żaden, przez miesiąc, nie sprzeciwił się męczeństwu nieszczęśliwego.

Zkądinąd, i ludzie przytomni działają tak jakby im czegoś w głowie brakowało. Sewer, zamiast jawnie i otwarcie oświadczyć się we dworze, do czego żadna dobra racya nie przeszkadzała, kompromituje biedną dziewczynę po malinach, chmielnikach, lepiankach, cmentarzach. Potrzebném to jest oczywiście do osamotnienia go w chwili katastrofy, ku czemu niemało pomaga i ta, w samą porę dla jéj utajenia, przypadła choroba Kostusi, nie mniej znać pod tém wszystkiém sztucznie naciągającą rękę reżyserki. Alboż i ta sama Kostusia, w nieszczęściu swém odprawiona z niczem przez wujaszka, zamiast chwycić się odrazu środków heroicznych a wielce wątpliwych, czemu nie korzystała z gotowości Kazimierza, który odjeżdżając, świadomy jéj uczucia, ofiarował się ze szlachetną bezinteresownością służyć jéj w każdym wypadku, a nawet prosił o to usilnie? Jest nawet nienaturalném, ażeby dziewczyna tak przemysłowa, a tak dbała o przedmiot swego kochania, zaniedbała tego pośrednictwa, mogącego być tak skuteczném na razie. Zestawienie tych okoliczności wskazuje, że autorka chciała gwałtem wyforytować Kostusię na bohaterkę, tylko konieczności jéj dróg usprawiedliwić nie zdołała.

Pomijam te zwyczajnie wysiłki fizyczne dziewczycy, która nazajutrz po powstaniu z tyfusu odbywa herkulesowy trud wykradzenia Sewera, a potem w orszaku waryata i zgrzybiałej mamki wytrzymuje bezkarnie wielomiesięczne zimna i niewygody, któreby sto razy silniejszego zabiły; przypuszczam taką wytrzymałość, ale czego zrozumieć nie mogę w osobie rozsądnej i poświęconej, to celu téj błąkaniny, to braku wszelkiego zdania sobie sprawy z tego, do czego ona prowadzi. Wszak Kostusi chodziło o to, ażeby Sewera uratować? Gdzież ona w téj błąkaninie mogła oczekiwać ratunku? Czy przez nią to spodziewała się powrócić waryatowi rozum? Kostusia pamiętała dla niego o wszystkiém, o dachu w nocy, o cieplej strawie, o okryciu, — tylko o jedynéj rzeczy rozsądnej (za co nieraz złość nas na nią bierze) zapomniała, o zasięgnięciu rady kuzyna, który i jako przyjaciel i jako lekarz, w kilka dni byłby pospieszył z pomocą. Albo czém wytłumaczyć zakrywanie przed ludźmi tego stanu Sewera, tak widocznego dla wszystkich? Gdzież znaleźć takie okazy naiwności jak państwo Tamarzańscy, którzy słowa nie mogąc wydobyć z obłąkanego, nie odstraszeni jego pozorem, powierzają mu taki posterunek w gospodarstwie jak straż leśną, parlamentując o tym interesie z jakąś przybłądą, o której mają nawet niekorzystne wyobrażenie. Gdzież powiadam, znaleźć podobnych ludzi, jeśli nie w potrzebie urzędzenia scenarjusza dla przyszłych wypadków, które nareszcie od przybycia

Michała wchodzi na drogę prostą i prawidłową, ale która też i w krótkce dobiega kresu opowiadania.

Są to wszystko błędy logiczne, elementarne, dowodzące słabego rachowania się z rzeczywistością; błędy, bez których jednak główny cel powieści,—heroizm Kostusi,—nie byłby osiągnięty, gdyż heroizm ten, albo nie byłby potrzebny, albo musiałby się zredukować do jakiegoś dość pospolitego minimum. Budowanie na błędach jest to budowanie na piasku, budowa może być sama przez się piękną, ale tylko w wyobraźni; postawiona na ziemi wywróci się. Nie mamy najmniejszej wątpliwości, że najbardziej poświęcona z dziewięć rzeczywistych, w warunkach Kostusi, nie poszłaby za jej programem, lecz czekałaby dróg rozsądniejszych, a więc skuteczniejszych, choć mniej dekoracyjnych.

Ale, przypuściwszy, że takie drogi zostały dostatecznie usprawiedliwione, czyli, że budowa stoi nie na piasku, lecz na granicie, zajrzyjmy do jej artystycznego wnętrza powieściowego. Oprócz postaci głównej, autorka wszystkie inne zaledwie zaznacza, niektóre nawet wprowadza na scenę jako osoby nieme, lub w charakterze statystów i figurantów. Do takich należy mianowicie ciotka Odachowska i jej dwie córki, państwo w Temrze, ojcym Rudowski. Nieco wydatniej, ale tylko jako sylwetka z podrzędnego planu przedstawia się Kazimierz, który ginie zaraz w pierwszych rozdziałach, by ukazać się dopiero w ostatnim i to na krótko. Sewer ma tu właściwie jedną tylko scenę, wcale ładną, następnie jako ruina umysłowa, należy już do gabinetu psychopatycznego. Jakkolwiek wszakże krótko się z niemi sprawia autorka, rysy jakie rzuca przelotnie, pozwalają czytelnikowi uzupełnić sobie wartość moralną: wiemy doskonale kto jest ten naskórkowo czuły wujaszek Odachowski; rozumiemy wybornie nawet tego ekonoma w Temrze, którego dewizą w stosunku do podwładnych jest przysłowie: „ręka rękę myje“,—oczywiście, w wodzie pańskiej; gotowiliśmy nawet pokochać młodego doktora Michała za pierwszym jego ukazaniem się w Temrze, jako człowieka i adepta nauki. Już to bo w ogóle autorka z pewną predylekcyą zajmuje się obrazowaniem młodzieży ze świata inteligencji, od której przyszłość społeczeństwa zależy, znać, że to ulubione myśli jej towarzystwo. Najwięcej na rzecz osób drugorzędnych poświęciła kolorytu stariej mamce, która tu odegrywa rolę giermka rycerskiej Kostusi, tylko jest to koloryt z jakim niełatwo spotkać się wśród gnuśnych i apatycznych staruszek ludowych, które sam wiek czyni egoistkami; mówi przytem jakimś językiem balladowym, zapożyczonym z książki, jakiego z ust żyjącej osoby tej kategorii nie słyszeliśmy nigdy i rozumuje też książkowo.

Takie to zjawiska grupują się około postaci głównej, około „Oniej“ i służą tylko za drobne środki do oświetlenia jej z punktu, z którego zapatruje się na nią autorka. Jakkolwiek możnaby czynić zarzuty utworowi, nikt wszelako bez niesprawiedliwości nie za-

przeoczy, że tu *sama przez się wzięta* natura kobiety, z danego punktu przedstawia się wiernie i sympatycznie, czy to w pierwszej fazie dziecięcego spokoju, czy w fazie poświęcenia; że te drobne szczegóły, z których składa się całość charakteru, czerpane są z żywych wzorów życiowych; że słowem, postać taka, jakkolwiek nie szerokim malowaną pędzlem, powstać może tylko pod technieniem talentu spostrzegawczego. Z tém wszystkiém jest to tylko postać, nie zaś charakter, budzący interes powieściowy. Jeżeli z tego wyrazu, po wie ś ć, uczynimy banalną nazwę wszelkiego opowiadania, pieczętkę fabryczną, stosującą się istotnie dzisiaj do całej swobodnej i rozdrobionej gienieracy tworów imaginacyjnych, jak rzeki, rzeczulki i strumyki spływających do jednego wielkiego oceanu poezyi,—to nie mamy o czém mówić. Lecz pamiętamy czasy, kiedy powieść miała swój charakter właściwy, cechujący się pewnym żywiołem dramatycznym, a nawet w ilości znacznej,—żywiołem, którego w „Onéj“ niéma wcale. Zanosilo się na powieść z początku, kiedy na drodze krzyżującej się z drogą obowiązku w przekonaniu Kostusi, stanął Kazimierz; ale go autorka przezornie usunęła. Obarczywszy ją ciężkimi utrapieniami, autorka uprzętnęła przed swą bohaterką wszelkie załamy i zboczenia psychiczne. Wprawiwszy ją w jeden stan psychiczny, skierowany do uratowania przez miłość kogoś pognębionego fizycznie, ustrzegła ją od wszystkiego, coby w tym stanie mogło sprawić zaburzenie, ruch, pokusę, niepewność własnej myśli i postępku, a tym sposobem i inny układ stanów psychicznych wywołać. Nakreśliła w rozwoju jéj linię prostą, według ekierki,—linię... siostry miłosierdzia, a niechże kto spróbuje zastosować powieść do siostry miłosierdzia w jéj stosunkach bezpośrednich, zakonnych. Jeżeli ktoś od powieści żąda pewnych zawikłań psychicznych, nieporozumień, przypadków wątpliwego wyjścia, walki o zasady,—temu „Ona“ powieścią nie będzie, tylko obrazem pewnego usposobienia duchowego, które wyradza tylko pewne sytuacje męczące, kłopotliwe, bolesne, lecz żadnej walki wewnętrznej nie wywołujące.

Kazimierz Kaszewski.

Die Begründung des deutschen Reichs durch Wilhelm I. Vornehmlich nach den preussischen Staatsacten von Heinrich von Sybol. München und Loipzig 1890.
Bd. I—IV.

Rząd pruski przyszedł do przekonania—być może niesłusznie, iż z r. 1871-ym zamknął bezpowrotnie jedną wielką epokę swych dziejów, a rozpoczął nową, która z przeszłością już liczyć się nie ma potrzeby. To, co było niedawno, uważa się za odległe, tak odległe, iż historyk może o téj przeszłości jaknajspokojniej rozprawiać. Dla tego téż ułatwiono w Berlinie przystęp do tajnych archiwów państwo-

wych. Dzięki téj okoliczności, mamy pod ręką dzieło pod powyżéj wymienionym tytułem, oparte na tajnym dotychczas materyale historycznym i możemy przypatrzeć się z blizka i szczegółowo półwiekowej pracy narodowej, której rezultatem jest obecne istnienie państwa niemieckiego pod przewodnictwem króla pruskiego.

Wiele ważnych przyczyn dziejowych złożyło się na to, iż, obok potężnej w Niemczech Austrii, zaczęło wzrastać po pokoju westfalskim państwo, które nietylko zdołało jéj potęgą wyrównać, ale nawet przewyższyć;—najważniejsze jednak leżały w samym ustroju Austrii.

Posiadała ona wiele i to rozległych krain, atoli każda z nich zamieszkała, przez inną ludność, której interesy zasadnicze były sprzeczne z interesami sąsiadów, pod jednym zostających berłem, a jeszcze sprzeczniejsze z interesami ogólnomiemieckimi. Celem polityki ogólnomiemieckiej było wzmocnienie granic zachodnich państwa, monarchia austriacka, jako taka, dążyła do nabytków na południu, pojedyncze zaś ludy pod panowaniem austriackim pragnęły przedewszystkiem autonomii. Nie dziw przeto, że gdy Austrii chodziło o poparcie najżywotniejszych interesów, to sprawy czystomiemieckie schodziły na plan drugi, ginęła dla Niemiec Belgia, ginał lewy brzeg Renu, ginęły Strasburg i Lotaryngia, a natomiast wzrastała Austria przez nabytek Toskanii i Wenecyi, równocześnie zaś słabła przez rozszerzanie się autonomii u jéj ludów. Nadto monarchia ta była ściśle katolicką, w Niemczech zaś żyły miliony ludzi, usposobione wrogo względem katolicyzmu.

Było to tedy koniecznością dziejową, by znalazł się ktoś taki, któryby zajął się obroną interesów polityki ogólnomiemieckiej i ludności niemieckiej. Zadanie to wziął na siebie król pruski. Prusy stanowiły zupełne przeciwieństwo Austrii. Mniejsze od niéj pięć razy co do obszaru, zdołały w ciągu dwu wieków zrzucić z siebie supremat polski, skupić ludność w jednolitą całość, ograniczyć potęgę stanów, utworzyć królestwo, opierające się na znacznej potędze militarnej i stanąć przez zdobycie Szląska i zabory w Polsce w rządzie mocarstw europejskich. W téj dopiero chwili zrozumiała Austria, że obok niéj stanął rywal i to taki, którego nie można było lekceważyć! Chwycono się tedy przeciw Prusom bardzo skutecznego środka—oto, wykluczając je z grona państw Rzeszy niemieckiej, pozbawiono je témsamém wpływu na tok spraw niemieckich. Gwałt nie mógł tu odnieść żadnego skutku, gdyż Prusy posiadały znaczną potęgę militarną, więc skierowano uwagę drobniejszych państw niemieckich na wszelkie ciemne strony polityki pruskiej i przedstawiono cele jéj w tak jaskrawem świetle, iż król pruski stał się najniepopularniejszą osobą w Niemczech, zwłaszcza południowych.

Dla tego téż gdy wybuchła rewolucya francuzka, a za nią poszły wojny napoleońskie, nie wystąpiły Niemcy solidarnie:—osobno uległy francuzom wojska pruskie, osobno austriackie i dopiero niebezpieczeństwo utraty niepodległości narodowej zdołało je połączyć!

Ze zgnieceniem Napoleona kończy się też i zgoda Prus z Austryą; po kongresie wiedeńskim drogi ich znów się rozeszły: Austrya wróciła do swych nabytków włoskich i t. z. polityki wschodniej, Prusy do pilnowania spraw niemieckich i gojenia ran wewnętrznych, w ostatnich wojnach poniesionych. Nie wiele one zdołały zdziałać teraz na polu polityki ogólnoniemieckiej; Austrya bowiem, stwarzając po pobiciu Napoleona t. z. Związek państw niemieckich, obejmujący pod jej przewodnictwem wszystkie nie zawisłe państwa niemieckie, sparaliżowała ich działalność na tém polu na długie lata. Każda śmielsza myśl pruska, każdy silniejszy zapęd króla znajdował tu skuteczną tamę, na której musiał się zatrzymać; Prusy, jeżeli chciały samoistną prowadzić politykę, musiały albo wystąpić ze Związku, albo go zawojować. Ani jedno ani drugie nie było na razie możebnem, wstąpiły tedy na drogę pośrednią t. j. rozpoczęły pozyskiwać i owładać państewka bliżej siebie położone i w ten sposób przełamywać siłę wpływu dworu austriackiego.

Tą drogą doszły one do stworzenia związku celnego obejmującego całe Niemcy z wykluczeniem Austrii i do uformowania armii, niezależnie od armii związkowej już istniejącej—dla obrony górnego Renu, także z wyłączeniem Austrii. O zdanie opinii publicznej nikt podówczas w Niemczech nie pytał—opinia ta bowiem w sprawach państwowych głosu zabierać nie mogła i nie miała ochoty. Lud nie miał czasu zajmować się takimi rzeczami, gdyż pracował nad odbudowaniem dobrobytu, który zniszczyły długoletnie wojny, a chociażby i czas się na to znalazł,—przeszkodziłaby mu w tém żelazna ręka księcia Metternicha, który podówczas nieograniczenie w Niemczech rządził i tłumił w zarodzie każdy objaw swobodniejszej myśli.

Dopiero gdy polepszył się byt materialny ogółu, obudził się w nim także zmysł krytyczny i wyrobiła odwaga do okazania go publicznie. Rządy ks. Metternicha zaczęły ludom niemieckim ciężyć i powstała myśl ich zrzucenia. Nie byłoby to łatwem, gdyby rządy państw niemieckich pozostały w zgodzie i przeciwko ruchowi ludowemu wystąpiły jednomyślnie, lecz właśnie podówczas wstąpił na tron pruski król Fryderyk Wilhelm III, który zaraz z początku okazał się skłonny do ustępstw na rzecz własnych poddanych i w ten sposób dodał odwagi innym do śmielszego występowania w obronie praw osobistych. Z roku na rok wzmagał się ten ruch ludowy coraz silniej, obejmował szersze koła i budził tém większe nadzieje, im bardziej było widocznem, że rządy państewek niemieckich słabną i same do ugody zdążają, aż wreszcie wybuchła w r. 1848 rewolucya w Paryżu i położyła ostatni kres oporowi rządów w Niemczech.

Bez większej walki i wysiłku zgodzono się tu na wybór parlamentu i oddanie mu kierownictwa w sprawie odrodzenia się swobodnych Niemiec, a dotychczasowy kierunek Rzeszy, t. z. Rada związkowa, rozwiązała się, oddając władzę swą w ręce Zarządcy państwa, arcyksięcia austriackiego Jana, którego wybrał parlament na

tę godność. Parlament rozbił się na dwa stronnictwa, które w najważniejszych właśnie sprawach nie zdołały dojść do pożądanego rezultatu; t. z. stronnictwo republikańskie, widząc się w mniejszości, opuściło niebawem parlament i starało się za pomocą oręża przeprowadzić swe zamysły, co mu się jednak nie powiodło, stronnictwo zaś drugie wypłynęło na niebezpieczne pole wielkiej polityki, usiłując połączyć całe Niemcy pod jednym monarchą. Było to już w chwili, gdy w Wiedniu i Berlinie złamano i zawładnięto ruchem ludowym. Austria tedy na propozycyą parlamentu, by wstąpiła do tego nowo utworzyć się mającego państwa, odpowiedziała odmownie, król zaś pruski, którego obrażeni na Austryą patryoci obrali cesarzem niemieckim, pogardził tą godnością ponieważ nie byłby się zdołał przy niej utrzymać. Posłowie stracili w ten sposób zupełnie zaufanie do dalszych prac parlamentarnych i rozjechali się, nie zapewniwszy żadnej egzekutywy dla swoich uchwał.

Myśl zjednoczenia wszystkich Niemców pod jednym berłem, stworzenia z nich jednolitego narodu była wielką, a chociaż zrealizowanie jej okazało się na razie niemożliwem, to nie pogrzebało jej na zawsze. Król pruski, który marzył o wskrzeszeniu dawnego państwa rzymsko-niemieckiego, podjął się jej utrzymania i wprowadzenia w życie. Wszelki gwałt, wszelki objaw rewolucyjny były mu wstrętnymi, droga tedy, którą miał zjednoczyć Niemcy, musiała być pokojową.

Odtąd polityka dworu pruskiego przybrała charakter wyraźny, ostatecznym jej celem było stworzenie cesarstwa niemieckiego. Do celu tego szło się rozmaitymi drogami i ścieżkami; od etapu do etapu, od jednej pozycyi do drugiej, najchętniej walczone przymierzami i przerzucaniem się na stronę rozmaitych mocarstw europejskich w miarę tego, jak kto więcej ofiarował, do walki na broń ostrą szło się dopiero w ostateczności. Ciekawa to praca, a jeszcze ciekawszymi środkami, za pomocą których się jej dokonywało.

Pierwsze kroki były postawione fałszywie.

Jak już wspomnieliśmy, król Fryderyk Wilhelm III miał wstręt do wojny i wszelkiej rewolucyi, u niego więc myśl zjednoczenia Niemiec nie przekraczała drogi pokojowej i wzajemnego porozumienia. Rada związkowa oddała r. 1848 władzę swą w ręce Zarządcy państwa, arc. Jana, i rozwiązała się, więc przez to samo rozpadł się i dawny Związek państw, parlament rozszedł się bez przeprowadzenia jedności; trafiała się tedy królowi pruskiemu sposobność zainicyowania nowego związku. W tym celu wezwał on państwa niemieckie do połączenia się z nim i zawiązania ściślejszych stosunków z Prusami. Zgłosiły się z chęcią zawiązania takich stosunków, które określano jako Unią, Saksonia, Hanower i kilkanaście państewek drobniejszych, Austria, mając u siebie wojnę węgierską, a będąc Unii tej zasadniczo przeciwną, ograniczyła się zrazu na oporze biernym. Rychło atoli, gdy przy pomocy Rosyi pokonała Węgrów i w ten

sposób siłę swą zbrojną zużytkować mogła na granicy północnej państwa, wystąpiła z groźnym protestem przeciw Unii pruskiej i powołała dawną Radę związkową, jakgdyby jeszcze Związek istniał, do Frankfurtu. Saksonia i Hanower opuściły natychmiast Prusy, a ksiązę heski, który również przystąpił do Unii i właśnie dążył do przewrotu ustroju państwowego, wezwał pomocy zbrojnej dawnego Związku przeciw swym poddanym.

W ten sposób istniały już dwie ważne i zasadniczo sprzeczne kwestye między Prusami i Austryą t. j. rozwiązanie Unii pruskiej i chęć Związku dawnego obsadzenia Hesyi wojskiem austryacko-związkowem, czemu król pruski się sprzeciwiał, gdyż przez Hesyą prowadziły ważne drogi wojskowe pruskie, które przez obcą okupacyą mogły dla Prus być stracone.

Do tych kwestyj spornych przyłączyła się trzecia. Jeszcze z polecenia dawniej Rady związkowej prowadziły Prusy egzekucyą wojskową w księstwie Holsztyńskiem przeciw Danii, która uciskała poddanych swoich narodowości niemieckiej. Obecna Rada związkowa, chcąc objawić w sposób energiczny swoją żywotność, wezwała Prusy do oddania Holsztynu w ręce wojsk związkowych. Prusy, które dały ludzi i pieniądze na tę wyprawę i poniosły największy trud prowadząc egzekucyą, odmówiły wezwaniu Rady związkowej, a tem samem i Austryi, która właściwie inicjowała akcyą przeciw Prusom.

Kwestye sporne między państwami rozstrzyga wzajemne porozumienie się, bezpośrednie lub sprowadzone za pośrednictwem państwa trzeciego — i wojna. Król pruski widział obojętność Austryi do tego ostatniego środka, ale ze swojej strony jej nie podzielał i chociaż część jego ministeryum była przeciwnego zdania, postanowił uciec się do pośrednictwa mocarstwa trzeciego. Wybór jego padł na Cesarza rosyjskiego, bawiącego podówczas w Warszawie; gdyby bowiem Rosya oświadczyła się przeciw Austryi, ta o wojnie z Prusami nawetby myśleć nie śmiała. Króla pruskiego jednak spotkał tu największy zawód; Cesarz rosyjski nie tylko, że nie zganiał polityki austryackiej, lecz i owszem pochwalił, a co gorsza, zapowiedział; ewentualność swęj zbrojnej pomocy. Za Rosyą pospieszyła i Francya; opinia publiczna oświadczyła się tu żywo przeciw Prusom i nie podlegało wątpliwości, że w razie wybuchu wojny, Austrya miałaby po swęj stronie prócz wojska rosyjskiego jeszcze i francuzkie. Spokorniały Prusy na widok trzech tak groźnych nieprzyjaciół i skapitulowały. Po żywém wymianie zdań, po zmobilizowaniu już armii zjechali się w Ołomieniec: minister austryacki, ks. Szwarzenberg i pełnomocnik pruski, hr. Manteufel i podpisali t. zw. punktacye, w których Prusy w każdęj, z trzech powyżęj wymienionych kwestyj spornych porobiły na rzecz Austryi ustępstwa, równające się zupełnej klęsce. Sprawę holsztyńską miano oddać pod rozwagę zwołanej ad hoc konferencyi, gdzie również i Unia pruska miała przyjsć

pod obrady. Prusy otworzyły w Hesji drogi wojskom związkowym i rozbroiły się, podczas gdy Austria zmniejszyła tylko liczbę żołnierzy i odsunęła armię od granicy północnej.

Po konferencji, która skończyła się wstąpieniem Austrii do Związku z całym obszarem jej krajów i zupełnym unicestwieniem Unii pruskiej, tudzież zawarciem tajnego przymierza Austrii z Prusami, w którym państwa te zapewniły sobie wzajemną pomoc dla utrzymania całego obszaru swych posiadłości, polityka austriacka skierowała całą swą usilność do zupełnego zgniecenia Prus, te zaś na każdym punkcie wyteżały wszelkie siły, by się z pod tej przewagi wy dostać. Pod pokrywką tedy niby „szczerj przyjaźni“ toczyła się między temi państwami zawzięta walka, w której z razu Austria brała górę, lecz w której w końcowym rezultacie Prusy odniosły zwycięztwo, zadając drobne lecz dotkliwe razy swemu wrogowi. W wojnie krymskiej nie mogła Austria wystąpić czynnie, chociaż się mocno zaangażowała w obec mocarstw zachodnich, gdyż Prusy ją opuścily, na konferencji paryzkiej poniosła klęskę, gdyż Prusy głosowały przeciw jej interesom, a wreszcie utraciła znaczną część posiadłości włoskich tylko dla tego, iż Prusy odmówily jej pomocy zbrojnej, do której były traktatem zobowiązane, a natomiast zaofiarowały pokojowe pośrednictwo, którym wzgardzily obie walczące strony.

Niepowodzenie Austrii we Włoszech odczuły całe Niemcy; lubiano ją tu i szanowano, przyczynę zaś ostatniego niepowodzenia upatrywano w rozbiciu się państw niemieckich, które, pozornie zjednoczone, nie posiadały żadnej powagi i siły, Prusy podawały na to jedno tylko lekarstwo jedyne, to jest powiększenie siły zbrojnej Związku—naród zaś cały żądał porozumienia się wzajemnego. Obydwa projekty zeszyły się tedy częściowo przy ich realizacyi, podczas kiedy w Niemczech zaczęły powstawać setki stowarzyszeń, mających na celu zbliżenie się jaknajściślejsze Niemców, Prusy znacznie powiększyły swą siłę zbrojną i zorganizowały ją na nowo.

Klęska tedy Austrii we Włoszech posunęła sprawę zjednoczenia Niemiec o jeden krok naprzód; od mglistej uchwały pierwszego parlamentu niemieckiego, stanowiącej jedność narodową, do faktycznego jej realizowania przez cały naród był przeskok olbrzymi. Ta sama jednak Austria, która się do sprawy tej mimowiednie przyczyniła, była jej zasadniczo przeciwna. Taką jedność, jakiej pożądał naród niemiecki, sprzeciwiała się zupełnie celom polityki austriackiej; można tedy było być zupełnie pewnym, iż Austria przeciw niej stanowczo wystąpi, chociaż naród niemiecki ofiarowywał jej w takich zjednoczonych Niemczech honorowe stanowisko. Skoro Austria o zjednoczeniu myśleć nie chciała i stawiać zamierzyła trudności, należało ją do tego zmusić, by się woli narodu poddała. Sprawa holsztyńsko-szlazwicka, która obecnie przyszła na porządek dzienny, przelamała opór Austrii.

Szlezwik był prowincją duńską od 9—14 wieku, poczem połączywszy się ściślej z Holsztynem, odpadł od Danii, z którą atoli r. 1460 na nowo się połączył, powołując królów duńskich na swój tron książęcy. Obydwa księstwa zachowały zupełną autonomią; posiadały swój sejm, sąd, indegenat i zezwalały na nakładanie podatków. R. 1712 przestali królowie duńscy powoływać sejmy księstw, ponieważ ich jednak nie obciążali nowymi podatkami, nie wywołali przez to żadnego silniejszego protestu. Ludność żyła spokojnie i chociaż nieraz miała powód do skargi na zbyt szorstkich monarchów, nie narzekała, lecz cierpliwie wypełniała swe obowiązki. Raz tylko zdawało się, że to względnie dobre pożyte ludności księstw z monarchami duńskimi zachwieje się. Było to r. 1806. Król Fryderyk VI, po rozwiązaniu się państwa niemieckiego, poczynił kroki do ścisłego połączenia Holsztynu i Szlezwiku z Danią i zniesienia ich odrębności, tymczasem boczna linia królewska Sonderburg-Augustenburg sprzeciwiła się temu tak stanowczo, iż król musiał się rzec na razie wykonania swych zamiarów. Jak gdyby dla zemśczenia się na niewinnym ludzie, rozwinął on cały zasób absolutyzmu i ucisku w księstwach i dopiero prąd rozruchów, który powstał po r. 1830, przyniósł im nieco swobody. Jeszcze większe koncesye dostały się w udziale księstwom, gdy dom królewski rozpoczął regulacyą owych praw sukcesyjnych, które wymagały jak najszybszego uporządkowania. Królewska linia męska wygasła; król, następeca jego i syn tegoż nie mieli męzkich potomków. W Danii, w myśl ordynacyi z r. 1660, po wygaśnięciu królewskiej linii męskiej, obejmowała tron linia żeńska, w księstwach zaś linia młodsza. Gdyby tedy stało się, co przewidywano i ostatni król duński zmarł bez pozostawienia dalszych potomków męskich, ówczesne królestwo duńskie musiałoby się rozpaść; kto inny panowałby w Danii, kto inny w księstwach. Fryderyk VI dążył do zmiany ustawy sukcesyjnej w księstwach, chcąc w nich zapewnić prawo następstwa dla linii żeńskiej;—czynił więc koncesye na rzecz ludu, by go zjednać dla swych projektów—i robił starania u dworów mocarstw europejskich dla uzyskania aprobaty. Nie o wiele jednak posunęła się ta sprawa za jego życia. Następeca króla Chrystyan postępował nieco energiczniej i wychodząc z tego zapatrywania, że mocarstwa europejskie będą musiały uznać to, co już znajdują jako fakt spełniony, rozpoczął księstwa spajać silniejszym węzłem z Danią. Zaprowadził w nich duńskie banknoty, w Flensburgu założył filią banku narodowego duńskiego, rozwiązał odrębną armią w księstwach, a ustanowił jedną wspólną dla całego państwa i mianował w garnizonach, zapelnionych żołnierzami z księstw, oficerami duńczyków, a wreszcie ogłosił, iż na podstawie badań naukowych okazało się, że zarówno w całym Szlezwiku jak i niemal w całym Holsztynie linia żeńska domu królewskiego duńskiego dziedziczy. Teraz nastąpiło, co przewidywał: Rosya, Austrya, Anglia i Francya uznały zapatrywania jego, jako słuszne, atoli ludność niemiecka

księztw, podburzona przez Rzeszę, ruszyła się przeciw niemu z takim oburzeniem, iż manifest ów pozostał bez mocy obowiązującej.

Po Chrystykanie objął tron duński Fryderyk VII.

W Danii z czasem wytworzyła się partya narodowa, która skierowała całą swą usilność do wzmocnienia ojczyzny przez powiększenie elementu duńskiego; — zdaniem jęj, posiadanie księztw dla Danii tylko o tyle mogło mieć jakąś wartość, o ile one posiadały ludność, władającą językiem duńskim, jako własnym, posiadającą téż same interesy narodowe i społeczne, co Dania, poczuwające się wreszcie z nią do ścisłej wspólności. Holsztyn pod tym względem nie miał z Danią nic wspólnego, w Szlezwiku zaś cale okręgi były na wskroś duńskie, na ten więc ostatni zwrócili uwagę swą duńscy patryoci i zapragnęli cały zdunizować. Król, wstępując na tron duński, zrozumiał w zupełności dążenia narodowe duńczyków i w myśl ich zamierzył postępować. Nadał Szlezwikowi ustawę liberalną, wciągnął go przez to do jedności państwowej i nie pozwolił mu już wstępować do Związku niemieckiego. Mieszkańcy księztwa, wspomagani przez Niemcy, podnieśli rokosz, król pruski zaś wkroczył do Szlezwiku na czele zbrojnej armii, by bronić go, jako kraju Związku, przed zamachami Danii. Dzięki energicznej interwencji Austrii i Rosyi prusacy musieli kraj opuścić, Dania zaś otrzymała przyrzeczenie, że mocarstwa nie będą jęj stawiać trudności w uregulowaniu stosunków wewnętrznych i prawa sukcesyjnego, byle przywileje księztw w sposób należyty i nie budzący wątpliwości zostały zagwarantowane. Tron duński z księztwami, wedle najnowszego projektu, dostawał się ks. Chrystyanowi von Glücksburg i jego potomkom; linia młodsza książąt Angustenburg zrzekła się przez najstarszego swego reprezentanta dochodzenia praw swych do księztw za pewną sumę pieniężną, a linia żeńska domu królewskiego zrzekła się praw do korony duńskiej, prawa narodowe księztw zostały w sposób należyty zagwarantowane i mocarstwa usankcjonowały wszystkie te postanowienia w t. zw. protokole lonydyskim. Danią z księztwami uznano tu jako jedną monarchią, prawo do objęcia w nięj panowania po Fryderyku VII miało należeć ks. Chrystyanowi von Glücksburg.

Mając w ten sposób zabezpieczoną całość monarchi, partya narodowa duńska rozpoczęła tém śmielęj agitacją wśród mieszkańców Szlezwiku dla przerobienia ich na duńczyków, rząd zaś, niepomny swych przyrzeczeń, danych mocarstwom europejskim, nie tylko nie stawiał jęj na tęg drodze przeszkód, lecz i owszem wspomagał. Związek niemiecki, czekał tylko na tę chwilę; skoro tylko duńczycy rozpoczęli uciskać mieszkańców księztw, Rada związkowa natychmiast rozwinęła żywą agitacją w obronie zagrożonych niemców i uchwaliła wysłanie do księztwa Holsztyńskiego znaczniejszej siły zbrojnej, by zagwarantowane przez rząd duński prawa księztw w sposób należyty zostały przeprowadzone.

Stało się to w chwili dla Danii najkrytyczniejszej; właśnie zmarł król Chrystyan VIII, a tron obejmował w myśl protokołu londyńskiego Chrystyan IX. W Danii nie stawiano mu żadnych trudności, Holsztyn atoli, a za nim Szlezwik wypowiedziały posłuszeństwo i oświadczyły się za linią Augustenburg, która teraz z prawami swemi, mimo poprzedniego zrzeczenia, się zgłosiła i o pomoc Związku prosiła. Austria była za utrzymaniem Chrystyana IX przy panowaniu nad księstwami, porozumiała się tedy z Prusami ażeby przeszkodzić księciu Augustenburg, tudzież żeby zapobiedz wszelkiej interwencji Związku, postanowiła wspólnie obsadzić Holsztyn wojskiem prusko-austriackim, usuwając zeń armią Związku. Po okupacyi Holsztynu nastąpiła okupacya Szlezwiку, a za nią wojna z Danią, która przestąpienie granic Szlezwiку przez Austryę i Prusy uważała za *casus belli*.

Dania postanowiła się tylko bronić; skoro tedy wojska austriacko-pruskie pod naczelnem dowództwem generała Wrangla wkroczyły do Szlezwiку, armia duńska cofnęła się aż do Eidery, a następnie do Danewerk, który stanowił pierwszą główną linię obronną duńską, uważaną za niezdobytą. Faktycznie nie udało się duńczykom powstrzymać armii nieprzyjacielskiej przy Danewerku; po trzydniowej obronie musieli się cofnąć i posunąć w głąb kraju, oddając Danewerk na pastwę sprzymierzonym. Szybkie i pomyslnie postępy armii austriacko-pruskiej wywołały niechęć i niezadowolenie mocarstw zachodnich, które nie życzyły sobie wcale zupełnego zgnębienia Danii i owszem pragnęły ją utrzymać przy posiadaniu wszystkich jej obszarów. Zwołano tedy na wniosek Napoleona konferencyą do Paryża i starano się strony wojujące pogodzić. Konferencya spełzła na niczem, okazały się bowiem tak znaczne różnice w zapatrywaniach co do warunków pokoju, iż wojna tylko rozstrzygnąć je mogła, co zupełnie odpowiadało tajemnym pragnieniom Prus, dążących do zupełnego zgnębienia Danii. Dalsza walka skończyła się klęską Danii i pokojem, w którym królestwo to rzekło się posiadania księstw Holsztynu i Szlezwiку na rzecz Prus i Austryi, mogących teraz niemi rozporządzać wedle upodobania.

Prusy natychmiast oświadczyły się z zamiarem zagarnięcia ich dla siebie. Austria, nie mogąc przy ich posiadaniu utrzymać króla duńskiego, postanowiła nie dopuścić Prus za żadną cenę do wzmożenia ich potęgi przez nowe nabytki, a ponieważ książę Augustenburg rościł sobie pretensye do panowania nad księstwami, Austria była gotową go popierać, a nadto uzyskać dlań teraz pomoc Związkowi niemieckiego. Zanim miała zapaść ostateczna decyzya co do posiadania księstw, objęły je w administracyą Austria i Prusy. Prusy rozpoczęły natychmiast kroki dla pozyskania sobie ludności i przeprowadzenia następnie zupełnej aneksyi kraju; Austria zaś ze swęj strony stawiała zacięty przeciw temu opór.

Prusy, widząc, że bez pobicia Austrii, księztw nie zdołają zanektować zaczęły się gotować do wojny, pozyskując dla siebie Włochy, które tylko czekały na zaangażowanie się Austrii, by ją napaść i odebrać Wenecyą, zabezpieczywszy się od strony Francji. Gdy już walka stanowczo miała wybuchnąć, zdołały się jeszcze poważnione mocarstwa porozumieć w ten sposób, iż podzieliły między siebie w zupełności zarząd księztwami; Prusy objęły Szlezwik, Austria Holsztynu.

Prusy natychmiast stłumiły wszelką agitacją, która się w księztwie rozwinęła za ks. Augustenburskim, Austria zaś z początku potajemnie, później jawnie, popierała ją wszelkimi siłami w Holsztynie i Związku niemieckim. Interwencja Prus spełzała na niczem; po raz wtóry zaostrzały się stosunki między dawniej sprzymierzonymi mocarstwami, w ten sposób, iż wojny ani odwiec, ani uniknąć już nie było można. Zbliżała się ona już w początkach r. 1866 szybkim krokiem.

Łoziński Władysław.—Lwów starożytny. Cz. II. Patrycyat i mieszczaństwo Lwowskie w XVI i XVII wieku. Z 73 rycinami w tekście. — Lwów 1890. Str. 305 nl. 4.

Władysław Łoziński, który zubożył już literaturę naszą kilku pracami, odnoszącemi się do dziejów cywilizacji społeczności polskiej w Galicji („O towarzystwie lwowskiem przy schyłku XVIII-go stulecia“. Lwów 1872. „Z estetyki i Życia“. Lwów 1872.—„Galliciana. Kilka obrazków z pierwszych lat historii galicyjskiej“. Lwów 1872)—rozpoczął w roku ubiegłym większych rozmiarów wydawnictwo naukowe pod ogólniejszym tyt. „Lwów starożytny“. Wyszłe dotychczas i znajdujące się już w handlu księgarskim dwa pierwsze tomy obejmują: I. „Złotnictwo lwowskie w dawnych wiekach“. Lwów 1889. Str. 109. Z 20 rycinami i 57 podobiznami *gmerków* czyli herbów mieszczańskich“. II. „Patrycyat i mieszczaństwo lwowskie w XVI i XVII wieku“. Lwów 1890. Str. 307. Z 73 rycinami w tekście“; zapowiedziane zaś jeszcze 2 tomy przedstawić mają: III. „Architekturę i rzeźbę“; IV. „Sztuki i rękodzieła“. Tom I-szy zajmują się szczegółowo jedną gałęzią pracy mieszczańskich, która wymagałaby więcej fachowego rozbioru technicznej strony dzieł artystów i rękodzielników lwowskich, ogólniejszy atoli interes budzi tom 2-gi tego poważnego wydawnictwa i dla tego postanowiliśmy podać o niem szerszą nieco wiadomość. P. Władysław Łoziński w najnowszym swoim dziele, którego tytuł w nagłówku podaliśmy, kreśli umiejętną ręką dzieje nie tyle ogółu mieszczaństwa, ile raczej zamożnego patrycyatu lwowskiego XVI i XVII-go wieku (jeżeli w porównaniu z miastami włoskimi może w miastach naszych być w ogóle mo-

wa o patrycyacie, jako korporacji osobnej z odrębnymi atrybutami obywatelskimi). Z poważnego dzieła p. Władysława Łozińskiego poznajemy stronę obyczajową, etyczną, handlową najznakomitszych rodów, głośnych dostatkami fortun Szolców-Wolfowiczów i Stanclowiczów, Kampianów, Boimów, Alembeków, Ostrogórskich, Domagaliczów i t. d. Lwów zamieszkały głównie przez ludność trzech obrządków, czyli jak powszechnym terminem ją oznaczano, przez „trzy nacye“: polską, ormiańską i ruską, był w istocie punktem stycznym różnych narodowości; jego bazyry targowe wabiły w mury miasta wschód i zachód. Po upadku mianowicie Kili i Kaffy stanowił Lwów na wielkim szlaku lądowym, wiodącym od wybrzeży Pontu, najznamienitszą stacją dla całej Lewanty i dla znanych w tych stronach pionierów handlu, Genuńczyków, którzy „per viam de Lolleo“ utrzymywali związek z koloniami zamorskimi był najbogatszym składem produktów południowego i oryentalnego, — świata, ostatnią etapą dla perskich, chińskich, indyjskich wyrobów, przez Trapezunt sprowadzanych.

Patrycyusze lwowscy wysyłają synów swoich na wykształcenie do Paryża, Bononii, Rzymu, a ci, powracając do rodzinnego miasta nietylko ozdobieni tytułami naukowemi doktorów, ale rozległą wiedzą, humanitarnym smakiem, wysokiem poczuciem piękna i zamiłowania dla sztuki, zaczerpniętém z klasycznej ziemi włoskiej, zaszczipiają te dobroczynne pierwiastki cywilizacyjne na rodzimym gruncie, nie wyrzekając się jednak zawodowego stanu ojców i ich łockia kramarskiego. Lwów, wzrastając w dobrobyt, przybiera pozory odrębnej rzeczypospolitej, umieszcza lwa, godło swoje zamiast w branie, na blankach wieży dla okazania, że potęga jego sięga poza mury miejskie, wykuwa na pounnikach na wzór sławnych liter starożytnego Rzymu S. P. Q. R. emblemat S. P. Q. L. oznaczający: Senatus Populus Que Leopoliensis, a mieszczaństwo umieszcza herby swoje, zwane gmerkami w portykach, domów lub na ratuszu, który uważa za swój prawdziwy kapitol. Mieszczanie bratali się i koligacili z szlachtą, górując nad szaraczkową rzeszą inteligencją i zamożnością, znajdowali też dostojnych ordędowników w osobach Zaslawskich, Tarnowskich, Zamojskich.

Lwów położony na pograniczu wschodu i zachodu, stanowił kilkakrotnie zapórę przeciw tureckiej i tatarskiej nawale, niszczącej dzierzawy rzeczypospolitej i ochraniał nieraz ofiarnością i bitnością mieszkańców swoich Polskę od najgorszych następstw, aż nareszcie pod naciskiem niesłychanych krzywd i łupieży, po wyczerpaniu się patryotycznego poświęcenia w oblężeniach z lat 1648 i 1655 począł zanikać, ubożeć i na znaczeniu tracić, pomimo nobilitacyi, którą w nagrodę za znakomite swoje usługi w najkrytyczniejszej chwili Rptej w r. 1659 od stanów sejmowych otrzymał.

Pośród obywatelstwa lwowskiego dzierży prym rodzina Szolców-Wolfowiczów, pochodząca od protoplasty Wolganga z Wrocławia, która z czasem doszedłszy do wielkiej fortuny i urzędów naj-

znaczniejszych w mieście, doczekała się w XVII wieku nobilitacyi od cesarza Rudolfa II-go, połączonej z tytułem baronów „de Wolfowicz“. Najwybitniejszym reprezentantem tego patrycyuszowskiego rodu jest Jan Szolc-Wolfowicz, który olbrzymi na owe czasy pozostawił majątek, wynoszący przeszło 400,000 złr. Obok nich równorzędne co do znaczenia zajmują miejsce Nowikampianowie, a z pomiędzy nich najbardziej zabłysnął Marcin Kampion i doktor medycyny Paweł, brat głośnego profesora akademii krakowskiej Wojciecha, nauczyciela królewicza węgierskiego Jana Zygmunta. Doktor Paweł, człowiek zimny, surowy i chciwy, był niepokonanym pieniaczem, egzekwował nielitościwie dłużników, a nawet miasto w sidła ujął za pomocą udzielania mu pożyczek na dobry zastaw. Doktor Marcin, idąc w ślady Pawła, ekonomicznie formalnie uciemieżał miasto, aż wreszcie namiętna przeciw niemu wybuchła walka, podżegana przez jego zawistnego przeciwnika Dr. Erazma Syxta. W zacie trzewieniu ogólnem krzywdzącej dopuszczono się niesprawiedliwości, pozbawiono go prawa miejskiego, zepchnięto w tłum pospółstwa bez czci i dopiero dekret królewski przywrócił mu urzędy i zrehabilitował go zupełnie w chwili, kiedy się na wieki z życiem rozstawał. Z Alembeków największego dorobił się rozgłosu Jan, wychowaniec uniwersytetu Padewskiego, po troszę poeta i uczony, któremu Starowski dedykował swoje „Penu historicum“. Milionowymi dostatkami rozporządzają Hanlowie, Ostrogórcy, Domagalicze i spolszczone włoskie rody: Alborowie, Gucci—Galwani, Montelupi, Vewelli, Massari, Bandinelli, Ducci i Ubaldini. Robert Bandinelli był twórcą pierwszej poczty we Lwowie w r. 1629, a król Zygmunt III przyjął go w serwitoryat, to jest w poczet sług swoich i nadał mu przywilej utrzymywania regularnej poczty do Włoch i innych krajów zagranicznych.

W połowie XVII wieku żydzi, ten merkuryusz w krwi mieszczaństwa polskiego, dotychczas na przedmieściach lokowyni, zwolna i na forum się przebijają, w gorączkowej i wytężającej konkurencyi, zwyciężką ręką wychodzą z walki handlowej z ludnością chrześcijańską, co wywołało waśń rasową, przebijającą się wymownie w wierszu Jana Alembeka, o ile nam się zdaje bardzo pokrewnym i duchem a nawet zwrotami—antysemickim inwektywom w poezyi Klonowicza.

Wszyscy ci obcokrajowcy, zabawiwszy jakiś czas na gruncie lwowskim, przyswajali sobie cywilizacyą polską i już w drugiej lub trzeciej generacyi zapominali o swoim pochodzeniu. W parze z poczuciem własnych sił i dostojności, szedł u mieszczaństwa lwowskiego instynkt wyższy, polot i zamiłowanie do sztuki, upodobanie w zbytku i monumentalnych zabytkach. Domy swoje budowali z architektoniczną brawurą, wieńczyli je figuralnemi attykami, pokrywali rzeźbą i krążgankami o kamiennych arkadach, wszystko według planów włoskich budowniczych, którzy miasto z popiołów podnieśli po strasz-

nym pożarze z r. 1527. Z pozostałych inwentarzy można wnosić o bogactwie gobelinów i obrazów szkoły włoskiej i niderlandzkiej, o księgozbiorach, znajdujących się u każdej inteligentniejszej rodziny do tego stopnia, że zwykły Łyk miejski, Istykowicz, zniknął zresztą nieznanym, pozostawia: statuty Sarnickiego i Łaskiego, dzieła Durandusa, Lipsiusa, Manutiusa, Erazma Rotterdamczyka, Machiawella, Horacego, Cycerona, Arystotelesa i t. d.

We Lwowie ścierały się rasy i krzyżowały pierwiastki cywilizacyjne wschodu i zachodu. Nacya Ormiańska, to był Oryent pod lwowskie przeniesiony Niebo, z azyatyckimi rodzimymi włościwościami, z żywością i bujnością umysłu, gościnnością, okazałością i przepychem w sprzętach, mowie i codziennem pożyciu, z zamięłowaniem do wygody i rozmarzania się pod wpływem haszyszu; ale przytém posiadali Ormianie wysoki umysł handlowy, dzielną, krewką ruchliwość i spryt znamienity, często wyzyskiwany przez królów polskich w dyplomatycznych potrzebach. Oni sprawiają urzędy drogomanów poselstw polskich, oni wodzą karawany w niebezpieczną drogę na wschód, w czém celują Serebkowicze karaban-baszowie, oni na tronie wołoskim osadzają gospodarów, pośród nich szuka przytułku żona wojewody Mohiły, a nie jeden gospodarczuk do ich bramy kołacze. Jest to żywioł wielce użyteczny, poddający się łatwo assymilacyi, pełen życzliwości dla ziemi, która ich ugościła.

Inaczéj zupełnie ma się rzecz z Rusinami. Zajmowali oni dosyć podrzędne stanowisko, zamykali się sami w sobie, a chociaż polski strój noszą, polskim władają językiem, w Stauropigii, to jest w zborze wyznaniowym po polsku radzą, na grobowcach i trumnach polskie kładą napisy, to jednak zdradliwą ukrywają niechęć dla Polski, podsycaną uczuciem społecznej zawiści. Na pozór spolszczeni nigdy Polakami nie byli; pozbawieni ducha zmysłu publicznego, żadnej samoistnej nie dorobili się zasługi, ani na polu życia narodowego, ani religijnego. Jedynie z nazwiskiem kupca Dawidka częściej się można spotkać w aktach konsularnych, który począł wznosić wieżyczkę przy skromnej naówczas cerkiewce miejskiej, lecz jakby dla stwierdzenia, że Rusini o własnych siłach nic zdziałać nie zdołają, wali się ta wieża, aż dopiero Konstanty Korniakt ją podźwignął. Dwuznacznicy, nie troszczący się o dobro miasta, opuszczają je w chwilach najcięższych wojennych przesileni r. 1648 i powracają w jego mury po krwawych ofiarach obywatelstwa, a ci, którzy zdobyli się na odwagę przeczekania u siebie burzy, nie przyczyniają się do obrony i wzbudzają tylko niepewność i podójrzenie. Polacy obchodzili się z nimi umiarkowanie i sprawiedliwie nawet w wypadkach, w których prawo obowiązujące podawało im broń skuteczną przeciw Rusi. Pan Łoziński przedmiotowo prostuje fakty, tendencyjnie przedstawione przez Zubrzyckiego w „Kronice miasta Lwowa“ i przytacza niezmiernie ciekawą i ważną dla stosunków rusko-polskich skargę drukarza Skólskiego, który uwikłany w proces z Stauropigią o drukowanie książek

ruskich, zawarowaném przez osobny przywilej wyłącznie Stanropigii, wymownie dowodził, że wszystko, co tylko z pod prasy bractwa wychodzi, wymierzone jest przeciw religii katolickiej i królowi.

Nie możemy tu streszczać innych po mistrzowsku skreślonych szczegółów, jak np. o Vewellim, zabiegliwym kupcu, który umknąwszy z brukulwowskiego, wraca do Lwowa jako pełnomocnik sułtański z tytułem „magnificus dominus“, o zabawnym lecz niefortunnym romansie podtatusiałego wdowca p. Baltazara Grabowskiego z nadobną Rusinką Natusią Hrehorowiczówną, która płacąc p. Baltazarowi umizgami za podarki, pozwala się wykraść i poślubić młodemu Cyrykowi Paparze, wskutek czego sprawa poszła przed kratki sądowe.

W pracy p. Łozińskiego nie ma architektonicznej równości i symetrii, nie ma ciągłości faktów i wyczerpujących charakterystyk bądź to ludzi, bądź to instytucyj, wskrzeszonych z martwych, archiwalnych papierów, co też sam autor najlepiej odczuł, zastrzegając się z góry: „nie będzie w tym obrazie dużo jednolitości i całości, będzie się on musiał składać z drobnych rysów i przypominać zniszczoną mozaikę, w której albo został tylko sam kontur, który nie daje szczegółów, albo same tylko różnobarwne szczegóły, które nie dają konturu“, ale jest w tej pracy architektoniczna pogoda i wykwintny zmysł estetyczny, jest w niej subtelna siła artystycznego smaku i daru obrazowania. Język Łozińskiego w całym tego słowa znaczeniu wytworny, przechodził niemałe trudności w naginaniu się do suchego materiału i zrósł się z jego treścią, w przesłicznych słowach najmniejsze oddając drobnostki. Z każdej kartki wieje pietyzm i poszauowanie z gorącą połączone miłością dla opracowanego przedmiotu, to też autor włożył w książkę trochę więcej niż dobrą metodę i talent, bo potęgę uczucia, przez co w ramach naukowej monografii pomieścił rodzaj barwnej ujmującej powieści kilku pokoleń. Ale trzeba też przyznać, że dzieło Łozińskiego często grzeszy jednostronnością, że punkt ciężkości przenosząc na stosunki obyczajowe, nie odsłania zupełnie życia politycznego patrycyatu i drobniejszych mieszczan, nie pokazuje ich nam w czynnościach urzędowych na ratuszu, w rolach ławników, konsulów, burmistrzów, niepostrzeżenie niemal zatrzymuje się nad sprawami wyznaniowymi w grodzie, w którym religijne pierwiastki ścierały się z większą niż gdziekolwiek szorstkością już od czasów Kazimierza Wielkiego i na chwilę tylko, w mglistém oświeceniu przesuwa przed nami postać arcybiskupa Torossowicza. Przez przedstawienie stosunków ludności do władcy, zyskałby obraz na wykończeniu, ujrzelibyśmy mieszczanina nie tylko za ladą sklepową, lecz także w kościele i w świecie etycznych poglądów, spotkalibyśmy się z słynnym arcybiskupem Solikowskim, którego autor żadną miarą nie powinien był ominąć. Wykształcenie dzieci mieszczańskich po macoszemu zaznaczono, gdyż dowiadujemy się o niem dopiero w chwili, kiedy dorośli synowie patrycyuszów spieszą za granicę. A cóż dotąd robili? przecież musieli mieć jakieś nauki przygotowawcze?

Autor nie dotyka prawie wcale ustroju prawno-politycznego mieszczaństwa lwowskiego, nie nadmienia nic o partykularyzmie ustawowym nacyi ormiańskiej, a chociaż tu i owdzie cytuje epizody z ciekawszych procesów, pomija sposób ich prowadzenia. Ze wszystkiego domyślać się można, że Lwów miał liczną palestrę, ale jaką ona była, jak swój proceder prowadziła, napróźnoby w dziele szukać. Ostatni, króciutki rozdział pobieżnie bardzo szkicuje typ małomieszczanina tak, że śmiało można zawyrokować, iż książka sprzeniewierzyła się tytułowi, gdyż wyłącznie jest prawie poświęcona patrycyatowi, a drobniejsze, uboższe mieszczaństwo tylko okolicznościwo bierze na uwagę. Historyk literatury znajdzie w książce Łozińskiego kilka nieznanych szczegółów do życia Szymonowicza. Żałować trzeba, że niepospolitej doniosłości rękopis X. Józefowicza, złożony w zbiorach Ossolińskich, z którego i Łoziński często korzysta, dotychczas nie doczekał się druku. Kończąc to treściwe sprawozdanie o znakomitej publikacji naukowej P. Władysława Łozińskiego mamy niewątpliwą nadzieję, że w dalszej części autor uwzględni uwagi, któreśmy mu objawić się ośmielili i z bogaci literaturę naszą działem monumentalnym, na jakie się dotychczas historia cywilizacji miast europejskich nie zdobyła, z wyjątkiem może jednej Wenecyi, szczytując się monografią pióra Molmentiego.

Ernest Deiches.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Rzut oka na stosunki międzynarodowe państw europejskich. Przemówienie Waddingtona. Sprawy wewnętrzne w Austro-Węgrzech, we Włoszech, Niemczech i Francji.—Bułgaria i Armenia. — Projekt inspekcji zbożowej w cesarstwie rosyjskiem.—Wnioski t. zw. komisji rolniczej Senatora Plewego przy ministerstwie spraw wewnętrznych w kwestyi przesilenia rolniczego. — Z dziedziny naukowej: Posiedzenie Wydziału historyczno-filozoficznego Akad. Um. w Krakowie dn. 20 czerwca 1890 (Stanisław Krzyżanowski „Dyplomy i kancelarya Przemysława II-o; A. Blumenstock „O nieznanym Zbiorze kanonów w Bibl. Genevève w Paryżu“) „Krajowa komisya statystyczna“ w „Wydziale krajowym“ w Galicyi. — Dobroczynność: „Schronienie Galignaniego pod Paryżem dla zasłużonych uczonych, literatów, księgarzy i t. d.—Z archeologii: Odkryty skarh w miasteczku Touste w Galicyi; nowe odkrycie w Pompei.

W dziedzinie spraw międzynarodowych przez cały miesiąc sierpień nie milkło pokojowe echo poprzednich miesięcy roku bieżącego. Wśród nieustannych manewrów mniejszych i większych mas wojskowych na lądzie i na morzu, podczas próbowania nowych dział, karabinów i prochu bezdymnego, w oczach tworzących się nowych szwadronów i batalionów, przy stosowaniu nowych środków taktyki do nowej broni i nowego silniejszego prochu, na wałach nowych lub wzmacnianych starych warowni tudzież na budujących się nowych żelaznych drogach strategicznych wzdłuż i wszerz Europy nie przestawano otrębywać zabezpieczonego trwałego rzekomo pokoju! „Jestem uszczęśliwiony—mówił William Harry Waddington, dzisiejszy ambasador francuzki przy rządzie angielskim, na uczcie u prefekta departamentu Aisne, dokąd jako członek rady generalnej przybył z Londynu—,jestem uszczęśliwiony, że pośród rolników i przemysłowców mogę oświadczyć, iż pokój europejski dawno już nie był do tego stopnia, jak dzisiaj, zapewniony. Niewątpliwie ciągle tleją pierwiastki zapalne na półwyspie bałkańskim, ale na wszystkich dworach, we wszystkich gabinetach panuje mocne postanowienie, aby spraw rozdrażniających nie poruszać i pokoju świata nie narażać na niebezpieczeństwo. Nikt też nie myśli uderzać na Francją, ponieważ wszystkim wiadomo, że ona, wsparta na własnej potędze i gotowości do własnej obrony, nie myśli zagrażać nikomu. Atoli taki stan rzeczy nie powiniennem nas do snu kołysać: nie szczędźmy największych nawet ofiar, aby piękną naszą armią utrzymać na osiagniętej już wysokości. Potęga Francji jest jedną z walnych rękojmi pokoju europejskiego“. To samo hasło rozbrzmiewa z Berli-

na, ile razy potężny już militarizm niemiecki nowych ofiar od narodu żąda: „potężne Niemcy są najważniejszą rękomią pokoju europejskiego“; to samo zapewnienie dolatuje nas z podniosłych zwykle toastów cesarza Wilhelma II-go, który, niby nowożytny Odysseusz, nie przestaje parlamentować z sąsiednimi dworami cesarzów, królów i książąt, nie słabnąć ani na chwilę w organizowaniu coraz potężniejszej gotowości wojennej. Tymczasem sama ta gotowość wojenna budzi pewien niepokój nietylko u najbliższych sąsiadów zachodnich i wschodnich, bo straszy wszystkich mara przebiegłego Ulissesa, traktującego z Trojańczykami o wydanie Grekom uwiezionej Heleny wraz ze zrabowanymi skarbami greckimi. Cała Europa pragnie utrwalenia pokoju; ale, patrząc na fakta i zjawiska tak wojowniczego charakteru, trwoży się na łada pogłoskę, niepewnością położenia ogólnego, a bezustannie niepokojona coraz silniejszą surmą wojskową, wśród trwożliwego oczekiwania wygląda zimowych sessyi parlamentów, sądząc, że tam z niepowstrzymaną gwałtownością odezwia się tłumione namiętności i trudności wewnętrzne nie tylko w granicach ligi pokojowej, ale wszystkich niemal państw zachodnio-europejskich.

Żądanie Młodo-Czechów wskrzeszenia przez gabinet Taaffe'go Korony Czeskiej, z jej wszystkimi atynencyami historycznymi, można szanować jako najpiękniejszy z ideałów narodowych, ale nie podobna go uznać za praktyczny program polityczny, przeciwnie program tak szumnie głoszony nie tylko, że nie ma w danej chwili żadnej wartości praktycznej, ale ku wielkiej uciechu centralistów niemieckich, może się obrócić na szkodę aspiracyi narodów słowiańskich w Austro-Węgrzech. Z upadkiem gabinetu hr. Taaffe'go, zaangażowanego w postanowioną ugodzie klubu Staro-Czeskiego z Niemcami, poniosłaby niezawodny uszczerbek idea rządów autonomicznych pojedynczych krajów i narodów słowiańskich, rozwijających się w ostatnich czasach dosyć normalnie w indywidualności swojej. — Irrydyntyzm włoski, potrząsając gabinetem Crispiego, nie wzmacnia węzłów, łączących Włochy z państwami ligi pokojowej, a sentymentalne uniesienia ku Francji, bardzo sympatyczne dla idealistów, mnożą trudności w zakłopotaném przez stosunki ekonomiczne Królestwie.

W Niemczech kończy się z dniem 1-go października r. b. termin obowiązujących przepisów wyjątkowych przeciwko socyalistom: burzliwy wiec socyalistów we Friedrichshain pod Berlinem, gdzie dla przywrócenia spokojności musiano z areny manewrów ściągnąć kilka oddziałów wojska do Berlina, zdaje się zapowiadać, że tłumione gwałtownie przez kilka lat aspiracye demokracji socyalistycznej, ośmielone fantastycznymi programami Wilhelma II, podyktowanymi przez d-ra Hintzpetera, a zganionymi przez ks. Bismarcka, odczują z tym większą energią z chwilą usunięcia srogiego rygoru policyjnego. Któż może przewidzieć, czy do rozwiązania zagadnień socyalnych, w obec których okazała się za słabą konferencya międzynarodowa, nie wypadnie się uciec do komend wojskowych?

Rzeczypospolitęj francuzkięj, szczęśliwęj przy ostatnim układzie z Anglią w sprawach kolonizacyi afrykańskięj, z trudnością przychodzi zorganizowanie silnego stronnictwa prawdziwie republikańskiego; przewaga pnących się do władzy coraz drobniejszych koteryi utrudnia śmielszą akcyą w zakresie polityki międzynarodowęj.

Podłaźliwość Turcyi względem aspiracyi bułgarskich obrusza podęjrźliwość Serbii i Grecyi, a rozpaczliwęj obrony Ormian przeciw swywoli muzułmańskięj nie można uważać za dowód uspokojonego Wschodu.

Trapiące Europę już od kilku lat przesilenie rolnicze zwraca coraz pilnięszą na siebie uwagę rządów europęjskich, ponieważ pomyślne stosunki ekonomiczne stanowią zawsze najważniejszy warunek racjonalnego, spokojnego rozwoju pomyślności i dobrobytu państwowego. W Rossyi minister finansów i minister spraw wewnętrznych występują z coraz nowemi projektami na tęp polu, a istniejąca przy ministerstwie spraw wewnętrznych t. zw. Komisyja rolnicza senatora Plewego pracuje nad szczegółowemi wnioskami w kwestyi przesilenia rolniczego. Oprócz projektów ulepszenia dróg boczných, (o częp w Zesz. marcowym r. b. (str. 420) pisaliśmy), urządzenia elewatorów (Zob. w Zesz. niniejszym str. 405), zasługuje na ogólniejszą uwagę projekt prawa o inspekcyi nad handlem zbożowym, sporządzony przez ministryum skarbu, który podług dzienników petersburskich zawiera przepisy następujące:

Dla nadzoru nad prawidłowęp rozgatunkowywaniem i oczyszczaniem zboża wszelkiego rodzaju, mają być w całęp państwie utworzone komitety inspekcyjne, złożone z członków, przedstawionych przez inspekcyą zbożową, któręj własnością jest elewator, lub przez miejscową radę gospodarczą, zarządzającą eksploatacyą elewatora— i z członków, wybranych z pośród miejscowego komitetu giełdowego lub Towarzystwa rolniczego; przewodniczyć będzie osoba, mianowana przez departament handlu i przemysłu. W razie, gdy elewator będzie miał prawo wydawania pożyczek na zastaw przyznanego zboża z Banku państwa, do składu komitetu inspekcyjnego wchodzi prezes Banku państwa z prawem głosu. Obowiązkiem inspekcyi będzie ustanawianie co rok odpowiedniego normalnego gatunku dla każdego rodzaju zboża. Czynność ta musi być uskutecznoną przed 13-ym września każdego roku, a próby ustanowionych normalnych gatunków zboża wystawione będą w zapieczętowanych i hermetycznie zamkniętych naczyniach w kantorze składu lub w elewatorze, oraz na giełdzie miejscowęj i w innych miejscach, według uznania komitetu inspekcyjnego. Gatunkowanie zboża według prób normalnych będzie obowiązkiem inspektora składu lub elewatora; czynność ta ma się odbywać pod kontrolą komitetu. Inspektora składu lub elewatora zatwierdza na urządzie departament handlu i przemysłu. Członkowie inspekcyi nie mogą osobiście trudnić się handlem lub meklerstwem, ani też w ogóle prowadzeniem jakichkolwiek operacyj zbożo-

wych. Zboże, zaopatrzone w świadectwo inspekcji co do gatunku, odstawia się do miejsca przeznaczenia albo w zapieczętowanych i za plombowanych znakami składu lub elewatora workach czy wagonach, albo pod kontrolą specjalnych nadzorców, mianowanych przez komitet i pod osobistą ich odpowiedzialnością. Inspekcja zbożowa podlega władzy ministra skarbu, a bezpośrednio departamentowi handlu i przemysłu. Kontrola inspekcji ma się rozciągać nad handlem zbożowym nie tylko na rynkach wewnętrznych, ale w portach i na komorach lądowych.

Co do kwestyi przesilenia rolniczego oświadcza się t. zw. Komisya rolnicza senatora Plevego, ustanowiona przy ministerstwie spraw wewnętrznych za wprowadzeniem w życie następujących zasad programowych: 1) organizacyi prawidłowego kredytu leśnego na zasadach wzajemności; 2) poparcia ulepszenia ras bydła; 3) asekuracyi państwowej zasiewów i bydła; 4) zachęcania sił intelektualnych do oddawania się rolnictwu; 5) zmiany konfiguracyi wsi przy pomocy gruntów państwowych, tam gdzie to jest koniecznym z powodu nadzwyczaj niedogodnego położenia użytków; 6) poparcia rozwoju intensywnego gospodarstwa wpośród włościan i drobnych właścicieli; 7) poparcia przeobrażenia gospodarstw na wielkie warsztaty przemysłowo-rolnicze; 8) protekcyi rozwoju uprawy nasion i produkcji specjalnych; 9) rozpowszechniania siewu traw i pomnożenia gospodarstw hodujących bydło; 10) jaknajrychlejszego wprowadzenia powszechnego systemu warrantów w dziedzinie handlu zbożowego; 11) zniesienia cła od narzędzi i maszyn rolniczych; 12) ogólnej rewizyi i reformy systemu podatkowego; 13) jaknajprędzszego ukończenia operacyi pomiarowej; 14) poparcia organizowania się towarzystw i związków rolniczych i 15) poparcia eksportu produktów przemysłu rolniczego. („K r a j” Nr. 33, z dnia 29-go sierpnia 1890 r.).

Dnia 20 czerwca 1890 roku odbyło się pod przewodnictwem dr. Zolla posiedzenie Wydziału historyczno-filozoficznego Akademii Um. w Krakowie, na którym dr. St. Krzyżanowski streszczał wyniki swjej pracy p. t. „Dyplomy i kancelarya Przemysława II“. P. Krz. obliczył, że zachowało się 185 dyplomów Przemysława II., między niemi 106 (3 podwójne) oryginałów; autor widział 100 oryginałów, nie widział 6. Po omówieniu ostatnich wydawnictw, rozdzielił autor oryginały podług miejsca przechowania i oznaczył wartość kopii. Rozdział następny poświęcił rozbirowi kryteriyów zewnętrznych wspólnych wszystkim dyplomom. Trzeci rozdział zastanawia się nad znamionami zewnętrznymi. Przy pomocy wiadomości kancelaryjnych grupuje autor dyplomy w pewne szeregi, by następnie zbadać ich pismo. Wynikiem tego badania jest wniosek p. Krz. że *datum per manus* w zasadzie oznacza pisarza; wyjątki nader nieliczne dyplomów pisanych z ramienia odbiorców nie obalają głównej zasa-

dy. Wyższość kancelaryi wielkopolskiej nad małopolską, gdzie przeważa to, co w Wielkopolsce jest wyjątkiem, nawet nad zachodnioniemiecką i pomorską, gdzie jak badania Buchwalda i Perlbacha dowodzą, również pisanie dyplomów przez odbiorców jest częstszem. Dalej zestawia autor pieczęcie używane przez Przemysława, przechowane dotychczas, i wskazuje ciekawy fakt przepieczętowywania dyplomów pieczęcią większą bezpośrednio przed koronacją, z którą nowa królewska pieczęć powstała. W rozdziale czwartym zestawia autor dwie grupy: jedną odbiorców, drugą ułożoną ze względu na treść prawną przywilejów, i stara się oznaczyć zależność formy od nich. Zwraca uwagę na znaczenie interwenientów i stara się rozwiązać zagadnienie, czy i w jakich dyplomach świadkowie mają świadczyć o czynności prawnej, będącej przedmiotem dyplomu, a kiedy są świadkami samego wystawienia dyplomu. W rozdziale ostatnim zastanawia się autor nad związkami kancelaryi wielkopolskiej, zaznacza stanowisko kanclerzy wyłącznie honorowe, wskazuje ważne stanowisko notaryuszów. Nawiązując do rozdziału drugiego udowadnia, że faktyczna kancelarya wielkopolska spoczywała w ręku jednej rodziny, Tiloni i jego braci. Podczas pobytu Przemysława w Krakowie istniała chwilowo osobna kancelarya, której notaryuszem był Gisler. Kancelarya królewska dostała się Świętosławowi, który nosił tytuł notaryusza i protonotaryusza. Kancelarya ta nie wielką odegrała rolę. Do pracy swęj dołącza autor rejestra wszystkich dyplomów Przemysława II i drukuje trzy nieznanne.—Następnie dr. A. Blumenstock czytał: „O nieznanym zbiorze kanonów, zachowanym w Bibliotece Ste Geneviève w Paryżu. (Rp. C. I. fol. perg. z XII w.). Theiner w *Disquisitiones criticae* p. 186 podał krótką o nim wzmiankę. Treść poszczególnych rozdziałów stanowią, jak we wszystkich zbiorach tego rodzaju, kanony koncyliów, ustępy listów papieżkich i wyjątki z pism Ojców Kościoła. Zbiór nie jest zupełnym; brak mu kilku ksiąg. Subtelną kombinacją doszedł autor wbrew Theinerowi do przekonania, że zbiór ten powstał pomiędzy pontyfikatem Aleksandra II, a redakcją Dekretu Iwona, a jeszcze dokładniej, między epoką Aleksandra II a pontyfikatem Urbana II, za którego *Coll. trium part.* prawdopodobnie powstała. Ponieważ zbiór, o którym mowa, nie zajmuje się Papieżem osobno, ani sprawami Kościoła, dowodzi to, że powstał po za Włochami; zdaje się, że powstał w Niemczech, i że kompilator czerpał z dawniejszych zbiorów, lecz nie historycznych tylko systematycznych. Wszakże bliższe porównanie okazuje, że zbiór paryski niezawisłym jest od zbioru Burcharda, pomimo, że po nim powstał.

W wydziale krajowym we Lwowie utworzono świeżo „Krajo-
wą komisją statystyczną“, która może korzystnie wpłynąć na postęp badań naukowych w dziedzinie stosunków ekonomicznych w Galicji. Kierownicy biura statystycznego, dr. Pilat i dr.

Rutowski, przedstawili sprawozdanie z dotychczasowych czynności tegorocznych, a zarazem program prac dalszych. Oddział d-ra Piłata opracowuje w dalszym ciągu statystykę własności tabularnej, statystykę handlu Galicyi z Niemcami, skład ciał wyborczych w miastach, które otrzymały nową ustawę gminną, statystykę opodatkowanych (dla użytku reformy drogowej), wreszcie statystykę uprawy tytoniu. Oddział statystyki handlu i przemysłu, pod kierunkiem d-ra Rutowskiego, ma już kompletnie zebrany materiał do statystyki przemysłu domowego, który ogłosi w 5 lub 6 zeszytach, zawierających monograficzne przedstawienie każdej gałęzi, poczem zamierza wydać całość statystyki przemysłowej Galicyi, już nie w monograficznych opracowaniach, ale w zestawieniach tabelarycznych. Oprócz tego przygotowuje p. R. kompletny obraz udziału Galicyi w budżecie Państwa od r. 1772, a z wszelkimi szczegółami od r. 1816 do lat ostatnich. Rocznik III wydanych przez to biuro wiadomości statystycznych jest na ukończeniu. Wreszcie zamierza dr. Rutowski rozpocząć wydawnictwo wielkiego dzieła, obejmującego całość statystyki Galicyi, opracowanej już nie tylko tabelarycznie, ale z tekstem analitycznym i historycznym.—Komisyja przyjęła bez zmiany przedstawione sprawozdania, a programy prac dalszych zatwierdziła, obejmując równocześnie zamierzoną wielką pracę d-ra Rutowskiego.

Przy uniwersytecie jagiellońskim w Krakowie z początkiem nowego roku szkolnego (1 października r. b.) otwartym będzie wydział rolniczy. Program wykładów i skład grona profesorów jest już ułożony i będzie wkrótce ogłoszony. W pierwszej zaraz chwili urządzoną będzie rolnicza stacya doświadczalna na gruncie za rogatką warszawską, дарowanym na ten cel przez zarząd miasta Krakowa. W półroczu zimowém wykładane być mają przedmioty następujące: 1) Wstęp do nauki rolnictwa; 2) Fizyka doświadczalna; 3) Główny zarys zoologii i botaniki; 4) Anatomia zwierząt domowych; 5) Chemia nieorganiczna; 6) Geologia; 7) Petrografia i t. d., tudzież 8) Główny zarys prawa cywilnego i 9) Cwiczenia w zakresie botaniki i zoologii. Wykłady tych przedmiotów nie będą jeszcze w tój chwili tworzyły osobnego Wydziału rolniczego (fakultetu agronomicznego), lecz będą faktycznie należały do wydziału filozoficznego, którego profesorowie przeważnie powyższe lekcyje miewać będą.

Schronienie Galignaniego pod Paryżem. Dwaj bracia Galignani, dorobiwszy się na dziennikarstwie i księgarstwie znacznego majątku, przekazali go w całości na różne cele dobroczynne, między innymi na schronienie dla 100 zasłużonych pensyonarzy, starszych wiekiem nad lat 60. Połowa tych pensyonarzy ma płacić po 500 fr. rocznie za całkowite utrzymanie, druga połowa otrzymywać je będzie bezpłatnie, mianowicie: 10 księgarzy lub drukarzy, 20 uczonych, 10 pisarzy i 10 artystów, wybranych przez

właściwe stowarzyszenia i Akademią francuską. Do schrenienia tego mają prawo nie tylko pensyonarze, lecz i wdowy po nich i dzieci. Otóż w wykonaniu woli zapisodawców, zbudowano w Neuilly pod Paryżem obszerny gmach trzypiętrowy, z dwoma bocznymi oficynami; urządzone go odpowiednio i otwarto w lipcu 1889 r. Budowa domu kosztowała 700,000 fr. urządzenie 134,000 fr.; na utrzymanie zakładu pozostał jeszcze kapitał, przynoszący 132,000 franków rocznie.

Zakład urządzony ze wszystkiemi dogodnościami i komfortem, mieści w sobie: wspólną jadalnię, salę do zabawy i gier towarzyskich, czytelnię, bibliotekę, kaplicę, łazienki, lecznicę z 5 siostrami miłosierdzia do dozoru, wreszcie po jednym pokoju z gabinetem dla każdego pensyonarza. Do zakładu należy obszerny ogród, założony na przestrzeni około 7,000 metrów. Osobny regulamin przepisuje godziny wizyt, spacerów, zebrań u wspólnego stołu i t. p.; pensyonarze jednak nie trzymają się zbyt ściśle regulaminu, postępują swobodnie i czują się zupełnie zadowoleni.

S k a r b. W miasteczku Touste, powiatu skalackiego, wyorał parobek dworski na polu zwaném „Okopy“, dawny skarb, składający się z około tysiąca sztuk monety srebrnej, nadzwyczaj dawniej i rzadkiej. Obok groszy praskich króla czeskiego Wacława II z r. 1278, z których kilka przestemplowane są stemplami polskimi, węgierskimi, a nawet filią francuską i obok bardzo ładnie utrzymanych monet mołdawsko-wołoskich, znajdują się przeważnie monety złote i pieniądze krymskiej hordy, najrozmaitszych form i znaków, a między temi wiele bracteatów. P. Władysław Fedorowicz, właściciel tego skarbu, na jego polu wykopanego, okazał go numizmatykom lwowskim, którzy poradzili mu nadać się do gabinetu numizmatycznego nadwornego w Wiedniu, gdzie mu powiedziano, że pomiędzy temi monetami znalazło się wiele takich, które jeszcze nigdzie nie zostały opisane i proszono go, aby po jednym okazie z tych ostatnich ofiarował dla zbiorów cesarskich. Różne okoliczności pozwalają wnosić, że był to skarb, który podczas jednego z napadów mongojskich wiózł z sobą Mongoł, wracający z Zachodu, a zapewne po drodze z Toustem ubity, tam go zostawił. Już sama nazwa pola, na którym ten skarb wykopano: „Okopy“, wskazuje, że horda, okopawszy się na tém miejscu, odpoczywała, a nawet może się i bronić była zmuszona.

Odkrycie w Pompei. Niedawno odkopano w Pompei dom pięcio-piętrowy, dotykający jedną ze ścian wzgórza. Na piętrach niższych mieściły się kąpiele publiczne. Sale kąpieli zimnych, ozdobione wykwintnemi i dobrze zachowanemi freskami. Trzy piętra górne były przeznaczone na mieszkania. W jednym z nich znajduje się sala, ozdobiona freskami, które dotychczas zachowały się w dobrym stanie. Jedna z fresk wyobraża Bellerofonta, siedzącego na Pegazie.

WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

Fr. Piekosiński: „Poczet najstarszych pieczęci“. — „Założenie mennicy warszawskiej. 1817 r.“. — M. Thullie: „Podręcznik teorii mostów“. — Cz. I. Belki proste. — Sprawozdania meteorologiczne za I-sze półrocze 1889 r. — Sempołowski: „Gospodarstwo łąkowe“. — Wybór poezji M. Konopnickiej. — T. T. Jeź: Rycerz chrześcijański, powieść. — Ks. R. Wójcik: „Opis kościoła w Łanach Wielkich“. — Al. Czołowski: „Położenie starego Halicza“. — Ant. Prohaska: „Latopis litewski“. — J. Mycielski: Z pod wieży Eiffel. — Rob. Krumbholz: „O Żmundzinach i Zakonie niemieckim“ (po niem.). — Werk Gust. „Opinie i życzenia w sprawie reformy szkolnej“ (po niem.). — Dr. Lewiński: „Nasze dzisiejsze żydostwo“. — Bilbasow „Historia Katarzyny II-ój“ (po ross.).

— Dr. Franciszek Piekosiński wydał w osobnej odbitce z „Wiadomości numizmatyczno-archeologicznych“ studium swoje pod tyt.: „Poczet najstarszych pieczęci szlachty polskiej z tematów runicznych“ Kraków 1890. Z 48 rycinami w tekście. Jest to poważna praca naukowa, zajmująca odrębne stanowisko w obec „Studiów heraldycznych“ prof. Ant. Małeckiego.

— Także w osobnej odbitce z tegoż czasopisma ogłoszono w Krakowie: rozprawę p. t. „Założenie kamienia węgielnego pod mennicę warszawską dnia 16 Czerwca 1817 r.“.

— „Podręcznik teorii mostów“ dla inżynierów i słuchaczy szkół politechnicznych z 144 rysunkami w tekście; 5 tablicami. Część I-sza. Belki proste. Tom I-szy. Belki statycznie wyznaczalne. Opracował Maksymilian Thullie, prof. szkoły polit. we Lwowie. Lwów 1890. Str. 166,8. Praca sz. profesora łączy w sobie wyniki najnowszego stanu nauki z warunkami praktycznego zastosowania.

— Oddział Warszawski Towarzystwa popierania przemysłu i handlu. Sekcja II. Sprawozdania meteorologiczne za pierwsze sześć miesięcy 1889 r. Materiału do tego cennego wydawnictwa dostarczyły obserwacje, nadsyłane ze stacyi meteorologicznych, rozrzuczonych po Królestwie Polskiem, oraz w gub. Kijowskiej, Podolskiej, Wołyńskiej i Mińskiej. Stacyj tych w końcu pierwszego półrocza r. z. było 29. Prócz każdodziennych notowań stanu barometru, termometru, termografu, wilgoci względnej, stopnia zachmurzenia, kierunku i siły wiatrów, oraz wysokości opadu, przy każdym miesiącu znajduje się porównawczy z innemi krajami przebieg zjawisk atmosferycznych. Wydawnictwo to jest jedynym u nas z pomiędzy objawów samodzielnej, a zmuśnionej pracy w zakresie meteorologii.

— Dr. Antoni Sempołowski: „Gospodarstwo łąkowe“. Warsz. 1890 r.

— W ostatnich czasach ukazał się w ozdobnym miniaturowym wydaniu bardzo trafnie dokonany „Wybór poezyi“ Maryi Konopnickiej. Równocześnie ukazała się mała książeczka téjże autorki, zawierająca rozprawę o Mickiewiczowskiej „Odzie do młodości“.

— T. T. Jeż „Rycerz chrześcijański“, powieść na tle dziejów Albanii w XV w.

— Ks. Romuald Wójcik: „Pobożne czytanie o Św. Wojciechu. z monografią kościoła w Łanach Wielkich“. Z obrazkiem. Warsz. 1890 r.

— Aleks. Czołowski: „O położeniu Starego Halicza“. Z 2-ma tablicami. Lwów 1890. Str. 23. Odbitka z Pamiętnika 2-go Zjazdu historyków polskich.

— Antoni Prohaska, Latopis litewski. Rozbiór krytyczny. Lwów 1890 r. Str. 58.

— Jerzy Mycielski. Z pod wieży Eiffel. Wrażenia i opisy. Kraków 1890. Str. 244. Jest to sprawozdanie z zeszłorocznej wystawy międzynarodowej paryzkiej napisane na podstawie estetyki przeważnie z działu sztuk pięknych.

— W Królewcu wyszło w ostatnim czasie dzieło w języku niemieckim pod tyt. „Samaiten u. d. deutsche Orden bis zum Frieden am Melno=See. Von Krumbholtz Rob. 8“, ważne dla dziejów Prus z czasów zakonu niemieckiego.

— Weck Gust. „Vor der Eutscheidung. Meinungen und Wünsche zur Schulreform“. Berlin 1890, 8. Str. 65.

— W Berlinie wyszła bezimiennie ciekawa broszura p. t. „Unser heutiges Judenthum“ (Berlin 1890), która z postępowego stanowiska żydowskiego zastanawia się nad antysemityzmem i zarzuca żydom, iż wobec podszczywań antysemitycznych, nie zrobili nic, ażeby usunąć przyczynę rozwijającego się w Europie antysemityzmu. Żydzi pogrążeni albo w zupełnym indyferentyzmie religijnym, albo w formalizmie, sprzecznym z tegoczesnym duchem czasu, nie nawidzą antysemitów, ale nie mają odwagi wejść w siebie i u siebie przeprowadzić reformy. Autorem broszury ma być adwokat poznański dr. Lewiński, starozakonny, pochodzący z Włocławka. („Wiek“).

— Bilbasow: „Historja Katarzyny II-jej“. (Istorijskaja Ekateriny Wtoroj). Petersburg 1890. T. I-szy. Pierwszy tom dzieła Bilbasowa, obejmujący epokę od 1729—1762 r. zapowiada w Autorze historyka poważnych dążeń naukowych: opowieść jest spokojna, przedmiotowa, jasna i bardzo interesująca dla dziejów upadającej Rptéi. Zebrany obfity materiał źródłowy obrobił Autor umiejętnie tak, że praca ta ściśle historyczna zasługiwać będzie po jej wykończeniu na rozbiór szczegółowy.

N e k r o l o g i a.

† Dnia 9-go Sierpnia 1890 r. umarł w Warszawie **Romuuald Hube**, Członek rady państwa, senator, ostatni z profesorów b. uniwersytetu Aleksandrowskiego w Warszawie, mąż wielce zasłużony w naszej literaturze prawniczej.—Ur. w Warszawie 1803 r., Romuuald Hube był synem Michała, niegdy sekretarza przybocznego przy ministrze, sekretarzu stanu Brezie (za K-stwa warszawskiego), a ostatnio referendarza stanu Królestwa Polskiego. Początkowe nauki pobierał w Dreźnie, (gdzie ojciec jego był sekretarzem i archiwistą przy ministrze stanu Brezie), ukończył szkoły u Pijarów w Krakowie, potem uczęszczał na uniwersytet w Warszawie, gdzie otrzymał w r. 1823 stopień magistra prawa i administracji, udał się do Berlina i słuchał wykładów takich profesorów jak: Savigny, Hegel, Steffens, A. Boeckh, K. Ritter i in. W r. 1825 wrócił do kraju i 1826-go wykładał prawo kryminalne na uniwersytecie jako *magister legens*; następnie zaś, po uzyskaniu naukowego stopnia doktora obojga praw, został także profesorem zwyczajnym i wykładał od 1828—1829 historią prawa rzymskiego, niemieckiego i francuzkiego, oraz prawo kryminalne. Po rozwiązaniu uniwersytetu przeszedł R. Hube do służby w sądownictwie jako prokurator sądu kryminalnego w Warszawie. W r. 1834, kiedy ustanowioną została w Petersburgu komisya do rewizyi i ułożenia praw Królestwa Polskiego, tak zwana później komisya kodyfikacyjna, pod prezydencją hr. Sperańskiego, powołany został Hube na jój członka, a w r. 1856 został jój prezesem. W czasie pobytu w Petersburgu, obok właściwych obowiązków, miał czynny udział w pracach prawodawczych Cesarstwa, a gdy w roku 1843 otworzono w Petersburskim uniwersytecie dwie katedry nauki prawa polskiego, Hube wykładał przez lat cztery: historią prawodawstwa polskiego, prawo kanoniczne, karne i administracyjne. W r. 1845 towarzyszył hr. Błudowowi, nadzwyczajnemu posłowi, do Papieża Grzegorza XVI dla zawarcia konkordatu, a później do Piusa IX-go.

Po rozwiązaniu komisji kodyfikacyjnej w r. 1861, Hube powrócił do Warszawy, gdzie powołany został do rady stanu, a po wyjeździe margr. Wielopolskiego do Petersburga dla popierania wypracowanych przez niego reform w Królestwie Polskiem, mianowany został dyrektorem głównym prezydującym w komisji rządowej wyznań religijnych i oświecenia publicznego. W tymże roku 1861 Hube został mianowany senatorem Cesarstwa, a w kilkanaście lat później członkiem Rady Państwa.

Wysoka służba publiczna, nie wyczerpywała jednak działalności Hubego. Przedewszystkiem z powołania, zamiłowania i temperamentu, był Hube uczonym badaczem, poświęconym nauce. Studya swoje rozpoczął Hube bardzo dawno, (Ulpiani fragm. 1826); on to

bowiem należał do założycieli i współpracowników najdzielniejszych „*Themidy Polskiej*“, która wychodziła od r. 1828—1830. Również dawno spotykamy jego prace w zagranicznych czasopismach. W roku 1830 ogłosiły „*Jahrbücher für wissenschaftliche Kritik*“ pracę sprawozdawczą Hubego p. t. „*Geschichtliche Darstellung der polnischen Civil-und Criminal-Gesetzgebung bis zu den Zeiten der Jagellonen von Lelewel*“.

Nie możemy w tém miejscu zapisać licznych prac Hubego, które już to jako rozprawy pejedyncze w czasopismach („*Themis Polska*“, ¹⁾ „*Tygodnik petersburski*“ 1839 i 1844 („*O statutach małopolskich*“), „*Biblioteka Warszawska*“ ²⁾, lub też jako obszerniejsze dzieła—stanowią ozdobę literatury polskiej; mianowicie w dziedzinie historii prawa polskiego położył Hube obok Zygmunta Helcla niepożyte zasługi. Poprzestajemy też na wymienieniu celniejszych: „*Ogólne zasady nauki prawa karnego*.“ Warszawa—1830, „*Antiquissimae constitutiones synodales provinciae Gnesnensis*“. Petersburg—1856, „*Studia nad kodeksem karnym r. 1818*“. Warszawa—1863“. „*O znaczeniu prawa rzymskiego i rzymsko-bizantyjskiego u narodów słowiańskich*.“ Warszawa—1868, „*Historia prawa karnego ruskiego*“. Warszawa—1870—72, tomów 2. Jako część historii praw karnych słowiańskich: „*Prawo polskie w wieku XIII*“. Warszawa—1874, „*Statuta Nieszawskie z 1454 r.*“ Warsz. 1875, „*Prawo polskie w XIV wieku*“. Ustawodawstwo Kazimierza“. Warszawa 1881. „*Prawo polskie w 14-ym wieku. Sądy, ich praktyka i stosunki prawne społeczeństwa w Polsce ku schyłkowi 14-go wieku*“. Warsz. 1886. Nakł. Red. Bibl. Um. Prawnych. Nadto wydał wiele prac w językach łacińskim i francuzkim, już to z dziedziny teorii prawa, już to w przedmiocie pojedynczych obcych prawodawstw. Hube posiadał nader cenny i obszerny księgozbiór, którego katalog przed laty dwudziestu kilku wydał w języku francuzkim. Znaczną część tego księgozbioru złożył w darze już przed pewnym czasem bibliotece jagiełońskiej w Krakowie, pozostawiwszy sobie to tylko, co mu do jego studyów, w których do końca życia nie ustawał, było koniecznie potrzebném.

¹⁾ Szczegółowo wymienił F. M. Sobieszczański (Encyklop. powszechna Orzelbranda) (T. 12 str. 242 i 243) zamieszczone tu 10 rozpraw.

²⁾ 1853 I str. 1—46 „*Przyczynek do objaśnienia historii statutu wislickiego*“.—1863 III str. 416 „*O formułach sirmondskich*“—1866 II str. 1 „*Kodeks cywilny włoski*“—1867 IV str. 1 „*Rękopis XV-o wieku. Postępowanie sądowe w Czechach*“. 1872, IV str. 169. „*Pogląd na nowsze prace około wyjaśnienia historii praw Słowian południowych*“.—1873. III, str. 131. „*Mniemany statut króla Aleksandra o legitymacyi dzieci*“.—1873. IV, str. 219 „*Kilka aktów oryginalnych sądowych z w. XIV i XV*“.—1874. II. str. 438. „*Statut wartski Władysława Jagielly*“.—1874, IV. 184. *Roty przysięg krakowskich z końca w. XIV*“.—1885, II. str. 1 „*Dwa rękopisy średniowiecznego zbioru praw kościelnych gnieźnieński i krakowski*“.

† Dnia 9-go sierpnia zmarł nagle w Berlinie, dokąd się był udał na kongres lekarski, prof. uniwersytetu **Ludwik Adolf Neugebauer**, ordynator szpitala Ś-go Ducha, jeden ze znakomitszych członków grona lekarzy warszawskich. Ś. p. Neugebauer urodził się 6 maja 1821 r. w Dojutrowie pod Kaliszem. Gimnazjum ukończył w m. Brzegu na Szląsku; studia akademickie w naukach lekarskich odbył w Dorpacie i Wrocławiu, gdzie w r. 1845 otrzymał stopień doktora medycyny i chirurgii. Po skończeniu uniwersytetu odbywał wycieczki naukowe po znakomitszych klinikach europejskich, jak w Berlinie, Paryżu i Wiedniu, Przez dwa lata pełnił obowiązki asystenta w klinice położniczej we Wrocławiu, w r. 1849 wrócił do kraju, w którym przodkowie jego od dwóch wieków mieszkali, i osiadł w Kaliszu jako lekarz tamtejszego szpitala św. Trójcy. Obszerna wiedza, prawość charakteru, energia, zjednały mu licznych wielbicieli. Gdy więc w r. 1857 założono akademią medyczną w Warszawie, powołano młodego lekarza na profesora anatomii. Katedry tej ustąpił Neugebauer profesorowi Hirszlowi, sam zaś objął katedrę ginekologii i położnictwa, którą piastował i aż do zgonu w uniwersytecie w akademii medycznej, w szkole głównej.

Zmarły jako członek wielu towarzystw lekarskich odbierał za swe prace hołdy świata uczonego; pracował też gorliwie na polu piśmiennictwa naukowego. Wydał takie dzieła jak „Anatomia opisowca ciała ludzkiego“, wyłożona podług Józefa Hyrtla razem z J. F. Nowakowskim (3 tomy. Warsz. 1860—1865). 1861 r., „Akuszerya. T. I. Fiziologia i dyetyka ciąży etc.“ 1874 r. Oprócz tego obmyślił i wykonał kilka przyrządów, ułatwiających ciężkie zadanie ginekologa i akuszera, mnóstwem prac drobnych i artykułów zasilając literaturę medyczną.

† Dnia 16 Sierpnia 1890 r., zmarł w Pizie **Se weryn hr. Uruski**, Ochmistrz dworu J. C. K. Mości, b. marszałek szlachty gub. warszawskiej, kawaler orderów, przeżywszy lat 73. Ur. się w Galicyi. Otrzymałszy staranne wychowanie w kraju i zagranicą oddawał się chętnie pracom naukowym. W chwili, gdy na polu piśmiennictwa zajmowano się kwestyą włościańską, Uruski występował za bezwarunkowem uwłaszczeniem, co obudziło żywą polemikę. Dla obrony swego poglądu wydał z druku: „Polemika o kwestyi włościańskiej w r. 1856—1857. (Warszawa 1857), tudzież w obszerniejszym zakresie zamierzone dzieło p. t. „Sprawa włościańska, wyjęta z nowożytnych polskich ekonomistów“. Warsz. 1858 i 1860. T. I-szy w 2-*ch* częściach. Oprócz tego: „Rodziny senatorskie polskie i litewskie“. Tablic XXIX fol. druk. około 1861 r. (bez tyt.) fol.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE TRZECIM

z roku 1890.

strona

Historja współczesna.

Rosya i Anglia na dalekim wschodzie. Przez Adama Darowskiego.	1
Niemcy i Anglia w Afryce wschodniej. (Znaczenie traktatu angielsko-niemieckiego z dn. 1-go lipca 1890). Przez Eugeniusza Lipnickiego.	329

Ekonomia i nauki społeczne.

Zniesienie propinacyi w Galicyi. Przez Stanisława Starzyńskiego.	34, 370
Robotnicy w Europie. (Les classes ouvrières en Europe. Etudes sur leurs situation materielle et morale par René-Lavollée. 3-me edit. Paris 1888). (C. d.)	99
Elewatory i warranty, ich znaczenie handlowe.	405

Szkola i pedagogika.

Kwestya reformy gimnazyalnej w Niemczech. III. Przez Prof. Antoniego Okolskiego.	50, 221
Spuścizna literacko-pedagogiczna po Stanisławie Jachowiczu. Przez Floryana Łagowskiego.	163, 392

Higiiena.

Sen i bezsenność. (Dok.) Przez d-ra Władysława Chodeckiego.	74
---	----

Historja polska.

O rozwoju sztuki wojennej w Polsce wieku XV. (dok.). Przez Konstantego Górskiego.	85
---	----

Nauki przyrodzone.

Kronika przyrodnicza. Kilka słów wstępnych. — Z astronomii: Zaludnienie gwiazd i tegoż warunki. — Księżyc. — Mieszkańcy Uranusa. — Hipoteza Ehrlicha. — Z meteorologii: Wpływ zaćmień słonecznych na atmosferę ziemską. — Z geografii: Etnograficzna definicya narodowości. — Ilość stowarzyszeń geograficznych na kuli ziemskiej. — Ze statystyki: Stosunek snu do marzeń sennych. — Z fizyologii: Wpływ ciałek krwi jednego zmysłu na wrażliwość zmysłów innych. — Z biologii: Walka ciałek krwi z mikroorganizmami. — Odkrycia Mecznikowa. — Rola śledziony w życiu ustroju organicznego. Zestawił Maryan Dimmel.	183
--	-----

Język polski.

Gwara warszawska w społecznym języku literackim. Przez L. W. Szczerbowicza.	202
---	-----

Filozofia.

Pessimizm w Niemczech. Przez Wojciecha hr. Dzieduszyckiego. .	359
---	-----

Literatura.

Pierwsze dziecko. Nowella. (Dok.). Napisał Kz. W.	118
Niefortunne próbki socjalizmu komunizmu. (Szkic powieściowy). Przez Wielisława.	248
Brzydka dziewczyna. Powieść. Przez Zygmunta Grabowskiego. . .	421

Kronika zagraniczna.

Kronika paryzka, literacka, naukowa i artystyczna. „Życie artysty“, przez Juliusza Breton. — Ustępy z pamiętników Talleyranda, ogłoszone w angielskim dzienniku „Times“; protestacya księcia Broglie. — Zapowiedziane reformy w uniwersytetach francuzkich. — Mowa Renana w imieniu kolegium francuzkiego, przy wydobyciu zwłok Mickiewicza w Montmorency. — „Wystawa rzeźb i obrazów na polach elizejskich. — „Odrodzenie we Włoszech“, Munkaczego. — „Sufit do ratusza“ Henryka Loyy. — „Lady Godiva“ Juliusza Lefebre. — „Wyścigi w cyrku rzymskim“ p. Checa. — „Sonata przy świetle księżycy“ p. Benjamin-Constant. — „Niewiasty u Grobu Zbawiciela“ p. Bouguereau. — „Pracza i Ostatnie kwiaty“ Juliusza Breton. — Portrety Bonata i Wenkera. — Artyści nasi na wystawie: Pani Biłska, panna Emilia Dukrzyńska; pp. Rejzner, Ciesielski, Kowalski, Prze-

piórski, Wojciech Kossak. Rzeźbiarze nasi pp. Marcinkowski, Bogdański, Boryszewski, Zawilski. Pani Andriolli i panna Aniela Wisłocka. — Salon na polu Marsowém. — „Bitwa pod Jeną“ Meissoniera. — „Sztuka i natura“, Puvisa de Chavannes. — Wykład Chemii, obraz dekoracyjny do Sorbony l'Hermit'a. — „Święty Marcin“, Lerolla. — Portrety Carolusa Duran. — Góralki Waclawa Szymanowskiego. — Opera Berlioza: „Beatrice i Benedykt“. — Stuletni obchód Lamartina. — „Pamiętniki marszałka Mac-Mahon“. — „Paryż i wybrzeża Normandyi“ p. Chmieleńskiego. . .	260
--	-----

Przegląd piśmiennictwa krajowego i zagranicznego.

Ruch literacki południowo-zachodniej Europy, skreślił Edward Porębowicz w Krakowie r. 1889. (Dok.) Przez J. A. Świącieckiego.	128
Kazimierz Gliński. Czarodziejka. Romans. Tom I. Warszawa. 1890 8-o str. 333. Przez J. K. Dworzaczka.	145
Wydawnictwo Gebethnera i Wolffa: 1) Jak się uczyć i jak uczyć innych. Napisał A. Dygasiński. Warsz. 1889 str. 239. 2) Jak mówić po polsku? Gramatyka popularna. Napisał A. G. Bem. Warsz. 1889. Str. XI + 342. 3) Jak pisać po polsku czyli Stylistyka języka polskiego. Przez Wład. Korotyńskiego. Ocenił L. W. Szczerbowicz.	286, 441
Stanisław hr. Rzewuski. Hrabia Witold. Powieść. Warszawa 1890. Przez J. K. Ehrenberga.	297
Wincenty Rapacki. Hanza: powieść z XV wieku. Warszawa, 1890. Trefniś nowelle, obrazki i szkice. Warszawa, 1890 r. Przez Kazimierza Kaszewskiego.	302
Marya Rodziewiczówna.—Ona. Warszawa, 1890. Przez Kazimierza Kaszewskiego.	454
Die Begründung des deutschen Reichs durch Wilhelm I von Heinrich v. Sybel. München u. Leipzig 1889. Przez dr. Zygmunta Lisiewicza.	462
Władysław Łoziński: „Lwów starożytny. T. II-gi „Patrycyat i mieszczaństwo lwowskie w w. XVI i XVII-ym“. Lwów 1890. Przez Ernesta Deichesa.	471

Kronika miesięczna.

Lipiec. — Niepewność stosunków międzynarodowych. — Wynurzenia urzędowe w delegacji austriackiej w Peszcie, i w sejmie rzeszy niemieckiej w Berlinio. Ks. Bismarck maleje. — Międzynarodowy kongres więzienny w Petersburgu. — Ukaz Najwyższy o zmianie przepisów, dotyczących pracy małoletnich i kobiet w fabrykach i zakładach rzemieślniczych. — Akt zamknięcia roku szkolnego w instytucie głuchoniemych. — Wnioski oddziału rzemieślniczego Tow. popierania przemysłu i handlu w przedmiocie szkół przemysłowo-rzemieślniczych. — Projekty zamierzonej reformy szkół gimnazyalnych w Rossyi. — Sprawozdanie Muzeum rapperswyl-

skiego za rok 1889.—„Spółka ziemiska z ograniczoną poręką“ w Poznaniu.—Odezwa p. Erazma Majewskiego w celu uzupełnienia polskiego słownika nazw botanicznych. 150

Sierpień. — Rzut oka na politykę europejską: Polityczne znaczenie układu między Anglią i Niemcami w sprawie afrykańskiej; porozumienie między Francją i Anglią co do protektoratu nad Madagaskarem i koloniami francuzkich na zachodniem wybrzeżu afrykańskiem.— Ces. Wilhelm II w podróżach. — Stosunek Państwa Kongo do Belgii.—Stosunki na półwyspie bałkańskim.—Imponujące położenie cesarstwa rosyjskiego wobec państw europejskich pod względem finansowo-ekonomicznym i politycznym.—Ameryka środkowa wśród zaburzeń rewolucyjnych.—Zamach Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej na produkty europejskie. — Zjazd lekarzy polskich w Krakowie, — Tow. pedagogicznego w Bochni—i historyków we Lwowie.—Zamknięcie wydawnictwa „Kłosy“ w Warszawie.—Wykaz liczby lekcji tygodniowych w gimnazyach męzkich w Cesarstwie i Królestwie.—Z dziedziny sztuk pięknych: Nowy obraz Jana Matejki „Zaślubiny Kazimierza Jagiellończyka z arcyksiężniczką Elżbietą, córką cesarza Albrechta r. 1453“.—Odtworzona cela Ś-go Stanisława Kostki w Rzymie.—Wykaz przyczyn przymusowej sprzedaży dóbr w Królestwie Pruskiem, a mianowicie: w W. Ks. Poznańskiem, Prusach wschodnich i Zachodnich i na Szlązku. 310

Wrzesień. — Rzut oka na stosunki międzynarodowe państw europejskich. Przemówienie Waddingtona. Sprawy wewnętrzne w Austro-Węgrzech, we Włoszech, Niemczech i Francji.—Bułgaria i Armenia.—Projekt inspekcji zbożowej w cesarstwie rosyjskiem. Wnioski t. zw. komisji rolniczej Senatora Plewego przy ministerstwie spraw wewnętrznych w kwestyi przesilenia rolniczego. — Z dziedziny naukowej: Posiedzenie Wydziału historyczno-filozoficznego Akad. Um. w Krakowie dn. 20 czerwca 1890 (Stanisław Krzyżanowski „Dyplomy i kancelarya Przemysława II-go; A. Blumenstock „O nieznanym Zbiorze kanonów w Bibl. Geneviève w Paryżu“) „Krajowa komisya statystyczna“ w „Wydziale krajowym“ w Galicyi.—Dobroczytność: „Schronienie Galignaniego pod Paryżem dla zasłużonych uczonych, literatów, ksęgarzy i t. d. — Z archeologii: Odkryty skarb w miasteczku Touste w Galicyi; nowe odkrycie w Pompei. . . . 477

Wiadomości bibliograficzne.

Lipiec. Księgarnia Stan. Giojsztora: Katalog zbiorowy. Nr. 7.—Ant. Małecki: „Studia heraldyczne“ (str. 158). Wł. Łoziński: „Patrycyat i mieszczaństwo lwowskie w XVI i XVII w.“ — Herberta Spencera: Systemat filozofii syntetycznej. Socyologii cz. IV-a: „Instytucyo obrzędowe.—Szczepański Alfred: Listy z Wiednia (Ser. 2-a).—Słownika geograficznego zes. 121. (początek tomu XI).—„Niwa“ Nr. 12. 158

Sierpień. — Fertig: Bibl. Jagiellońska. — Dr. Somkowicz: Wyd. archiw. lwowsk. — Finkel i Sawczyński: „Bibliogr. histor.“—A. Bonis:

- Materiały do hist. księgarstwa. — Wład. Mickiewicz „Żywot Adama Mickiewicza“. — Nr. 26-ty „Kraju“ poświęcony rozprawom o Ad. Mickiewiczu. — Prace o Mickiewiczu: Chociszewskiego, Belzy, Wy-słouchowej. — Cybulski: Hygiena szkolna. — Falb Rudolf: Przewroty we wszechświecie. — Berdau Feliks: Botanika leśna: Flora Tatr; — Grzyby krajo-we. — Dobrzycki „dr. Tyt. Chałubiński“. — Franke: Szkolnictwo przemysłowe na wyst. paryżkiej 1889. — Jeske August „Gramat. polska“, „Świat i dzieci“. — Libicki: Ustrój instyt. prawodawczych ros. — „Słownik geogr.“ Zesz. 122. — Janowicz: „K. Bolsunowskiego Solidy Bolesławowe“. — Krzyżanowski „Dy-plomy Bolesł. wstydl.“ — Lepszy „Turzonowie w Polsce“. — Łuszczkiewicz Wł. „Restauracya w kościele P. Maryi w r. 1889“. — „Materiały do kli-matografii Galicyi“. — Paczkowski: „D. gr. Kurfurst u v. Kalkstein“. — Pawłowski „Hist. geogr. Karte v. Preussen u Pommerellen“. — Książeczki dla ludu: M. Brzezińskiego, Br. Grabowskiego. — Prohaska. Materiały archiwalne z metryki litewsk. 1348—1607. — J. K. Plebański: „Olbrycht Karmanowski, poeta w XVII. — Nr. 15 ty „Niwie“ z d. 1-go sierp. — Aleks. Czołowski: Jezupol. — Zeissberg: D. Baseler Frieden u. d. 3 Thlung Polens (1794—1795). — M. Massonius: „Kant's transcendental Aesthetik“. 320
- Wrzesień.* — Fr. Piekosiński: „Poczet najstarszych pieczęci. — „Za-łożenie mennicy warszawskiej 1817 r.“ — M. Thullie: „Podręcznik teoryi mostów.“ Cz. I. Belki proste. — Sprawozdania meteorolog. na I-sze półroczcie 1889 r. — Sempołowski: Gospodarstwo łąkowe. — Wybór poezyi M. Konop-nickiej. — T. T. Jeż: Rycerz chrześcijański, powieść. — Ks. R. Wójcik: „Opis kościoła w Łanach Wielkich“. — Al. Czołowski: „Położenie starego Halicza“. — Ant. Prohaska: „Latopis litewski“. — J. Mycielski „Z pod wie-ży Eiffel“. — Rob. Krumbholz: „O żmudzinach i zakonie niemieckim“ (po niem.) — Weck Gust. „Opinie i życzenia w sprawie reformy szkolnej“ (po niem.). — dr. Lewiński: „Nasze dzisiejsze żydowstwo“ (po niem.). — Bilbasow: „Historya Katarzyny II-iój. T. I (po ross.). 484

Nekrologia.

- Ś. p. Oskar Kolberg (str. 159). — Ś. p. Edmund Stawiski (str. 325). — B. p. Maksymilian Fajans (str. 328). — Ś. p. Romuald Hube (str. 486). — Ś. p. dr. Ludwik Adolf Negebauer (str. 487). — Ś. p. Sewe-ryn hr. Uruski. 488

Ogłoszenia.